

OSIECZNICA DZIEJE ZIELONEJ GMINY

JOANNA SAWICKA ZDZISŁAW ABRAMOWICZ



OSIECZNICA

DZIEJE ZIELONEJ GMINY

JOANNA SAWICKA ZDZISŁAW ABRAMOWICZ

OSIECZNICA



DZIEJE ZIELONEJ
GMINY



tekst:

JOANNA SAWICKA

ZDZISŁAW ABRAMOWICZ

zdjęcia:

ARCHIWUM GMINY

OSIECZNICA

ARCHIWA PRYWATNE

WŁODZIMIERZ ŁAPIŃSKI

opracowanie graficzne:

MARTA KONARSKA

skład i łamanie:

BARTOSZ ŁAPIŃSKI

OSIECZNICA

DZIEJE ZIELONEJ GMINY



Szanowni Państwo !

Zielona Gmina - Osiecznica
to jedna z największych obszarowo jednostek
administracyjnych naszego kraju. Jej powierzchnia ma niemal 440 kilometrów
kwadratowych, z czego ponad 26,5 tysiąca hektarów zajmują obszary leśne.
Stanowi to około 61% całego terytorium. Na tereny rolnicze przypada tu jedynie
około 3300 hektarów, a więc zaledwie 7,5% obszaru gminy.
Osiecznickie włości leżą na Nizinie Śląsko-Łużyckiej, w Borach Dolnośląskich.
Cenną enklawę niezwykle urokliwej, bujnej przyrody stanowi w nich pokryta
w większości puszcza, płaskodenna, dochodząca miejscami do 25 metrów głąbo-
kości, dolina rzeki Kwisy. Nie brakuje też u nas obiektów zabytkowych
i pamiątek historycznych.

Przybywający do naszej gminy Goście mają wyjątkową okazję
znaleźć się z dala od uciążliwego gwaru współczesnego świata, w najpiękniejszym
i najzdrowszym miejscu na Dolnym Śląsku. Czysta woda i świeże powietrze
najlepiej bowiem regenerują nadwątłone tempem współczesnej
egzystencji siły człowieka.

Zapraszamy Państwa do korzystania z wyznaczonych na terenie gminy
szlaków rowerowych, konnych, pieszych i kajakarskich. Warto również spacerować
naszymi ścieżkami: geologiczną, na której znajdziecie Państwo otwarte utwory
geologiczne oraz ciekawe formy skalne, jak również przyrodniczą
- opisującą uroki lasu i jego mieszkańców.

Czeka tu na Państwa puszcza bolesławiecko-zgorzelecka o niepowtarzalnym
uroku, malownicze krajobrazy i ciekawe zabytki architektury. To prawdziwy raj
dla wędkarzy i myśliwych, a także miłośników minerałów, ceramiki i rękodziela
artystycznego. Co godne jest podkreślenia - żyją tu gościnni oraz pracowici ludzie.
Są niezwykle dumni z osiągniętych sukcesów, chętnie i z wielką życzliwością witają
wszystkich odwiedzających tę piękną ziemię.



Miejscowy samorząd od wielu lat dba zarówno o utrzymanie możliwie największego obszaru nieskażonej przyrody, jak i gospodarczy rozwój gminy i zapewnienie miejsc pracy osobom tu mieszkającym. Jedno z działań priorytetowych stanowi podnoszenie estetyki wszystkich osiedlnickich wsi i osad.

Najbardziej znanym zabytkiem na terenie gminy jest Zamek Kliczków, w którym zlokalizowane zostało centrum szkoleniowo-konferencyjne z zapleczem hotelowym, basenem oraz SPA. Właściciele obiektu zapraszają do odwiedzenia zamku. Goście są zawsze mile widziani, a my z radością przyjmujemy wzrastające zainteresowanie całą naszą gminą.

Ochronie przyrody służą poważne inwestycje proekologiczne, takie jak zwodociągowanie i skanalizowanie wsi oraz wybudowanie nowoczesnej oczyszczalni ścieków. Dbamy o drogi, dużą wagę przykładamy także do stworzenia godnej bazy oświatowo-rekreacyjno-sportowej dla naszych mieszkańców. Przykładem tego są szkoły w Osiecznicy, Świętoszowie, Tomisławiu, Parowej i Ławiszowej. Boisko „Orlik” w Osiecznicy, boiska piłkarskie w Parowej i Osiecznicy oraz boiska wielofunkcyjne ze sztuczną nawierzchnią w każdej naszej miejscowości dają nieograniczone możliwości krzewienia kultury fizycznej i uprawiania sportów. Jesteśmy w trakcie budowy krytej pływalni, która z pewnością będzie dobrze służyła społeczeństwu gminy i osobom przyjeźdnym.

Na wspomnianej już, jednej z najczystszych rzek polskich – Kwisie, pracuje kilka elektrowni wodnych, zasilających energetyczną sieć kraju. Tereny nadbrzeżne staramy się zachować jednak tak, by nie zniszczyć ich naturalnego piękna, by dobrze służyły mieszkańcom i gościom jako miejsca wypoczynku i rekreacji. Od setek lat w tutejszych lasach odbywały się polowania, również dzisiaj tradycje łowieckie na terenie gminy są kultywowane.

Oddawana do rąk Państwa książka „Osiecznica – dzieje zielonej gminy” nie wyczerpuje opisów wszystkich walorów i piękna, jakie możemy naszym Gościom zaoferować. Nie taki zresztą cel przyświecał decyzji władz gminy o wydaniu tej publikacji. Pragniemy za jej pośrednictwem zachęcić Państwa do osobistego odwiedzenia naszych stron, obejrzenia urokliwych zakątków Borów Dolnośląskich, zapoznania się z miejscami owianymi legendą, a także skorzystania z bogactwa natury, jakim nasza ziemia została obdarzona tak szczerze.

Jako wójt Zielonej Gminy serdecznie zachęcam wszystkich Państwa do skorzystania z niniejszego zaproszenia.

Waldemar Nalazek



OD WEHRAU DO OSIECZNICY

W tym krótkim rozdziale przedstawiamy zwięzłą historię nazw wsi Zielonej Gminy, a także ich zmian, dokonywanych w trakcie minionych lat. Zaczynamy oczywiście od jej stolicy – Osiecznicy.

Jej nazwa została wymieniona w roku 1393. Brzmiała ona wtedy Wehrau. Prawdopodobnie było to pierwsze pisemne odnotowanie ówczesnego miana wsi. Słowo Wehrau jest pochodnym od niemieckiego Wehr – oznaczającego jaz, tamę lub zaporę – ale również znaczącego tyle co opór, obrona. Według lokalnych historyków legendarnym określeniem Osiecznicy było niegdyś Teufelswehr, czyli Diabli Jaz. Tak też została ona opisana na mapie z roku 1753.

Etymologia tej nazwy niewątpliwie wywodzi się od naturalnego, bardzo malowniczego spiętrzenia wód Kwisy, od dawien dawna nazywanego przez miejscową ludność Diabelskim Jazem.

Po II wojnie światowej specjalna komisja Urzędu Rady Ministrów, powołana do ustalenia nazewnictwa wsi i miast na Ziemiach Odzyskanych,

starła się niejako zaadaptować wcześniejszą, niemiecką nazwę Osiecznicy poprzez jej przetłumaczenie, a następnie znalezienie polskiego odpowiednika, jak najbardziej zbliżonego treścią do pierwotnego miana.

Wzięto jednak pod uwagę przede wszystkim fakt, iż słowo Wehren znaczy tyle co bronić. Najprawdopodobniej nie zapoznano się z lokalnymi dziejami i warunkami terenowymi – zwłaszcza ukształtowaniem w tym miejscu koryta rzeki, przegrodzonego ogromnymi głazami, przez które z wielkim szumem przedziera się spieniona Kwis. Członkowie komisji, uznając najwidoczniej tłumaczenie nawiązujące do obrony za właściwą podstawę do nadania polskiej nazwy, skorzystali ze słowiańskiego pojęcia osieku, to jest leśnej, ufortyfikowanej osady. Oficjalnie przy tym wytłumaczono, że wobec braku materiałów historycznych zastosowano „chrzest nazewniczy” – obdarzając wieś mianem Osiecznicy.

Raz jeszcze trzeba podkreślić, że pierwotna nazwa Wehrau nie nawiązywała do broni czy obrony, lecz do istniejącego przy wsi, naturalnego spiętrzenia wody, czyli owego skupiska ogromnych bloków skalnych, zakłócających bieg rzeki.

Autor wielu ciekawych publikacji historycznych, Waldemar Bena, podał w swoich pracach, iż krótko po wojnie wieś funkcjonowała jako Lisek. Jego zdaniem nie miało to uzasadnienia historycznego. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, iż jedną z części dawnej Osiecznicy zwano Fuchs (czyli lis) i zapewne dlatego taką nazwę na krótko nadano całej wsi.

Profesor Stanisław Rospond w swoich rozważaniach nad nazwą Osiecznicy wskazywał, że niemiecki wyraz Wehr stał się podstawą do nadania wielu określeń innym miejscowościom z terenów Pomorza i Śląska. Przykładem są Wehrhof, Wehrenfelde, Wehrdorf. Przytoczył jednak przykłady świadczące o tym, że niektóre z nich były tłumaczeniem starych polskich nazw. Stąd przypuszczał, iż Wehrau ma związek z polskim Bron, Bronno, czy też staropolską broną – to jest bramą, tamą.

Sąsiadujący przez Kwisę z Osiecznicą Kliczków początki swojej nazwy wyprowadza z dwóch określeń, używanych na przełomie XIII i XIV wieku. W roku 1297 był to więc Clicchdorff, natomiast Cliczdorf w roku 1305. W roku 1353 tę samą wieś znano jako Kliczdorf.

Później, w roku 1417, funkcjonowała jeszcze forma Kliczdorff.

Haude pisał w tym kontekście o słowiańskim słowie *klic* – oznaczającym klucz – i stad wywodził nazwę powstałej osady. Edward Dewiz sugerował zaś czeską etymologię Klitsch lub Klic. Dla wersji, przypisującej pochodzenie słowa Kliczdorf od klucza, jako uzasadnienie podawano fakt, iż wieś ta miała kluczowe znaczenie jako punkt wyjściowy do Łużyc.

Wspomniany już wcześniej wybitny polski językoznawca, profesor Rospond, uważał jednak, że formę przedwojenną ustalono błędnie, ponieważ słowo „kliczków” nie pochodzi od słowa klucz, lecz *klicz* – to jest od staropolskiego pojęcia krzyk. Tak mogły się bowiem komunikować niegdyś ze sobą osoby podchodzące w tym strategicznym miejscu do Kwisy. By przeprowadzić w nim „rozmowę”, konieczne było głośne krzyczenie do siebie z przeciwległych brzegów rzeki. Trzeba jeszcze wspomnieć, że po wojnie w dokumentach polskiej administracji wieś nazwano Kleszczowa, a dopiero w 1947 roku zastąpiono ją oficjalną nazwą Kliczków.

Nazwę zupełnie nienawiązującą do wcześniejszej formy ma dzisiejszy Świątoszów, bowiem dawny Neuhammer to Nowa Kuźnia. Takie określenie sprzed lat dość wyraźnie sugeruje, że w okolicy istniała już przed powstaniem tej osady jakaś starsza od niej kuźnica, zapewne wytapiająca żelazo z miejscowych rud darniowych.

Z kolei Osieczów jest mianem bardzo zbliżonym do pierwotnego określenia owej wsi, bowiem w roku 1305 pisano właśnie o niej Oseczow. Sto siedemdziesiąt jeden lat później, w roku 1476, występuje forma Aschitzaw, potem Assesaw, i wreszcie w Księdze Ławniczej odnotowano ją jako Aschieczau. Z kolei na mapie z 1736 roku jest już Aschitzau – i tak wieś zwano do roku 1945.

Po wojnie występowała najpierw jako Osieczków, a dopiero później przekształcono jej nazwę na Osieczów.

Warto zauważyć, że właśnie w odniesieniu do Osieczowa słusznie rozpoznano etymologię miana, zastosowaną dość niefortunnie w przypadku Osiecznicy.

To zapewne w miejscu dzisiejszego Osieczowa musiała się znajdować prastara obronna osada słowiańska, zwana przez miejscowych osiekiem – i stąd jej pierwotna, wymieniona w roku 1305 nazwa.

Rozciągnięty naprzeciw Osieczowa wzdłuż koryta Kwisy, leżący na zachodnim jej brzegu Tomisław swoją nazwę zawdzięcza imieniu założyciela wsi, niejakiemu Tammo (Thamm). Imię to stanowiło zdrobnienie imienia Dankmar, oznaczającego strażnika, wartownika. W roku 1406 wieś zwano Tommendorf, w roku 1487 Tommendorff, w roku 1504 Thommendorff, w roku 1507 Thomendorf, a w roku 1664 Domendorf i Dommendorf. Na mapie wykonanej w roku 1736 jest już Timmendorf. Gwarowo na wieś mówiono Tunndurf.

W roku 1945 początkowo używano nazwy Tomin, później postanowiono o zmianie na Tomisław.

Zlokalizowana znacznie dalej na północ wieś Przejęśław w roku 1445 wymieniona została w źródłach jako Primelsdorf, siedem lat później jako Primilsdorf, zaś w roku 1460 jako Premysldorf. W XVI wieku był już Primsdorf, a w roku 1668 Prinzdorf – i ta forma pozostała do roku 1945. Nazwa wsi pochodzi od słowiańskiego imienia Przemysław, i człowiek o takim imieniu musiał zapewne być jej założycielem. Jak podaje natomiast jeden z miejscowych kronikarzy, swoje miano wieś wzięła od imienia młodego mężczyzny, który utopił się tu w Kwisie.

Po wojnie początkowo zwano wieś Przemyśl, potem dopiero wprowadzono oficjalnie nazwę niezmienną do dzisiaj.

Bardzo ciekawe są koleje losu nazwy wsi Ławszowa. Określenie etymologii tej nazwy jest stosunkowo łatwe. Przedwojenna Lorenzdorf znaczyła tyle co wieś Wawrzyńca. Laurentinus to w starożytności osoba odznaczona liśćmi wawrzynu – zwycięzca. I tenże Wawrzyniec założył osadę, uzyskując zgodę księcia na jej lokację na prawie niemieckim.

Nazwa wsi pojawia się pierwszy raz w źródłach w roku 1233, gdy Ławszowa wspomniana jest wśród innych osad jako Laurenzi villam.

W roku 1305 występuje ponownie łacińska Laurencii villa. Potem funkcjonuje już tylko forma niemiecka z przyrostkiem – dorf. Najpierw jest to Laurenczindorf, potem w 1492 roku Lorencesdorf, w roku 1668 Lurtzendorff, dziewięć lat później Lortzendorf wreszcie w roku 1796 Lorzendorf. W wieku XIX jest to już Lorenzdorf.

Po wojnie nazwę zmieniono na Ławszowa, co nijak nie nawiązuje do pierwotnej nazwy, która powinna brzmieć Wieś Wawrzyńca. We wcześniejszym okresie osadę po drugiej stronie Kwisy zwano Schöndorf – Piękna Wieś. Jest to rzeczywiście przepiękna okolica, urzekająca każdego, kto w te rejony zagłąda – ale tej odrębnej nazwy już dzisiaj nie ma...

Parowa – dawniej Tieffenfurt – w roku 1499 zostaje wymieniona w kontekście informacji o kuźnicy, pracującej przy przeprawie przez rzeczkę Czarną Wielką. W czasie zakładania osady musiał tam istnieć głęboki, ale zapewne przejezdny bród. I w nawiązaniu do tego faktu wyprowadzono nazwę wsi. Tief – głęboki, Furth – bród. Jak łatwo zauważyć, powojenna nazwa nie ma nic wspólnego z pierwotną.

Z kolei położony na południe od Parowej Ołobok swoje miano ma zawdzięczać imieniu czczonemu tutaj bożka pogańskiego zwanego Mała Pocca, Mohalybog, Mielbog, Muhlbg i wreszcie Mühlbock. Tę etymologię można jednak traktować raczej jako miejscową legendę. W latach 1448, 1449 i 1450 wspomina się miejscowość Molbach, później Molbog i Mohlbocke. Następnie w roku 1491 Muelbock, 1498 Moelbock i Melbog, wreszcie w 1499 Mühlbock. W roku 1945 pierwszą polską nazwą było Ołobole, zaś później zmieniono ją na Ołobok.

Bronowiec – to kolejna niewielka wieś, której obecna nazwa nie ma nic wspólnego z dawną. W roku 1393 pisze się o niej w dokumencie kupna okolicznej puszczy przez Rechenbergów „bis an den Snellenfort” i „von dem Snellenfort”. Później był jeszcze – w roku 1498 – Schnellefort i Schnellenfurth w 1581 roku. Gwarowo mówiono i pisano o wsi Schnellfurt.

Schnellenfurth – to typowy toponim, stara forma składała się z dwóch niemieckich wyrazów – Schnelle i Furt znaczących razem tyle, co szybki bród.

Trudno powiedzieć dzisiaj, dlaczego właśnie tak tę niewielką osadę określono. Prowadziła tędy droga celna ze Śląska do Górnych Łużyc. Być może stosunkowo łatwo i szybko pokonywano tu po dnie Czarną Wielką, bądź też rzeka ta miała tu wartki, bystry nurt.

Poświętne – dawne Heiligensee – to ślad czczenia w tym miejscu pogańskiego bożka o nieznanym imieniu. Jak informują źródła – samo Święte Jezioro miało powstać na miejscu, gdzie czczono jego figurę.

W roku 1422 zapisano Heilgen Zee, w roku 1457 Helgin Sehe, w 1498 Heiligensehe i Heyligensehe. W roku 1555 pojawiło się Helgensehe. Łatwo się zorientować, że obecna polska nazwa Poświętne nawiązuje w jakimś sensie do pierwotnego miana tej wsi.





Odcisk lakowy pieczęci prywatnego sekretariatu Solms-Barutha

MIEJSCE NA MAPIE EUROPY

Dzieląca dzisiejszą gminę na niemal równe połowy rzeka Kwis stanowiła w przeszłości niezwykle ważną granicę pomiędzy różnorodnymi kulturami i organizmami państwowymi. Obecnie uznaje się ją za zachodnią granicę Dolnego Śląska i wschodnią Górnych Łużyc.

Jak przyjmuje większość historyków, Kwis stanowiła też zachodnią granicę państwa Mieszka I. Poza nią rozciągała się kraina Serbów łużyckich, podlegających wpływom niemieckim.

Zapewne nie była to jednak ścisła granica w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Tereny współczesnej Gminy Osiecznica, od wieków porośnięte gęstą puszcza, były trudno dostępne i w związku z tym niewielką łączność utrzymywały z odległą władzą.

Rzeka Kwis na zachód od Odry (dopływ lewego jej brzegu), odgraniczała Polskę mieszkową od Serbów łużyckich i Milczan, których ziemie już wówczas w skład Rzeszy niemieckiej wchodziły. Na przestrzeni zatem od pasma gór Czeskich do Odry, Kwis odgraniczała państwo Mieszka od Rzeszy.

Gloger Zygmunt, **Geografia historyczna ziem dawnej Polski. W tekście 63 autentycznych rycin**, Kraków 1903

W rękach piastowskich prawobrzeżna część dzisiejszej gminy Osiecznica pozostawała aż do roku 1392, kiedy to po bezpotomnej śmierci księcia Bolka II Świdnickiego w 1368, a później wdowy po nim – księżnej Agnieszki (1392), całe Księstwo Świdnicko-Jaworskie przeszło pod panowanie Królestwa Czeskiego. Zachodnia część jego granicy przebiegała najprawdopodobniej właśnie wzdłuż Kwisy. Warto tu wspomnieć, że Księstwo Świdnicko-Jaworskie było ostatnim niezależnym z piastowskich księstw śląskich.

Tereny rozciągające się na lewym brzegu Kwisy, należące już do Łużyc, zostały również ściśle związane z państwem czeskim za sprawą cesarza Karola IV, który włączył je – obok Śląska i Moraw – do Korony św. Wacława.



Śladem piastowskich porządków pozostał podział administracyjny kościoła katolickiego, dla którego rzeka Kwis stanowiła południowo-zachodnią granicę archidiecezji gnieźnieńskiej aż do roku 1821.

Kraje Korony św. Wacława – a wraz z nimi część obecnych terenów gminy Osiecznica – przeszły pod panowanie Habsburgów w roku 1526, po śmierci Ludwika, syna króla Czech i Węgier – Władysława. Obszar na lewym brzegu Kwisy stanowił wschodnie rubieże elektorskiej Saksonii.

Kwis rozdzielala nie tylko rejony geograficzne, była również umowną granicą dla idei religijnych. Śladem takiego podziału są widoczne do dziś

Bunzlauer Pforte (Bolesławieckie Wrota). Znajdują się one w murze okalającym kościół w Tomisławiu. Na przełomie XVII i XVIII wieku przychodzili tędy na protestanckie

nabożeństwa ewangelicy z Bolesławca i okolic. Przekraczając sasko-śląską granicę, wchodzili na teren Łużyc, gdzie panowała wolność wyznania. Po przyłączeniu Śląska do Prus w roku 1742 Fryderyk Wielki ogłosił wolność religijną i Bolesławieckie Wrota przestały być potrzebne.

Ostateczne zjednoczenie rozdrobionych państw i państewek niemieckich dokonało się w roku 1871 za sprawą Prus, będących początkowo królestwem, potem cesarstwem. Od tego momentu definitywnie

znika granica na Kwisie. We władaniu państwa niemieckiego gmina Osiecznica pozostała aż do końca II wojny światowej.

Tyle mówi „wielka” historia. Raz jeszcze warto podkreślić, że granice sprzed wieków nie miały tak ścisłego i precyzyjnie wytyczonego przebiegu, jakim określa się terytoria współczesnych państw.



Mur cmentarza przykościelnego w Tomisławiu z epitafiami

Zdecydowana większość mieszkańców w całej Europie bezpośrednio odczuwała tylko władzę najbliższą – w postaci królewskich czy cesarskich namiestników oraz właścicieli ziemskich, do których należały tereny niejednokrotnie przewyższające obszar przeciętnej współczesnej gminy.

Niemniej właśnie w dokumentach nadań własności ziemskich widać wyraźnie również zależności państwowe. Pierwsze znane nam nadania własności Osiecznicy i jej okolic dla rodu Rechenberg sygnował w roku 1393 książę Jan ze Zgorzelca, choć bliższym – w sensie odległości – ośrodkiem władzy był oczywiście Bolesławiec, znajdujący się jednak po drugiej stronie Kwisy. W 1590 roku list lenny przedstawicielom tego samego rodu wystawił cesarski starosta Górnych Łużyc i Zgorzelca. Wymienia w nim folwarki należące do margrabstwa łużyckiego: Tomisław, Osiecznicę, Przejęsław, Ławszową, Ołobok, Parową, Poświętne i Bronowiec – wszystkie leżące na lewym brzegu Kwisy lub oddalone od niej na zachód.

Początki położonego po drugiej stronie rzeki Kliczkowa związane są już nie z Łużycami i Cesarstwem Niemieckim, tylko z Piastami Śląskimi, co potwierdza *Kronika Książąt Polskich*. Ten pierwszy wiarygodny dokument dotyczący Kliczkowa (powstały w roku 1297) przypisuje istniejący tu zamek księciu Henrykowi V i jego synom. Z zapisu wynika ponadto, że castrum Clicchdorff przynależy do terytorium bolesławieckiego. Castrum, czyli zamek, miejsce warowne, stanowiące jeden z elementów linii zamków obronnych, chronić miało księstwo przed atakiem od strony zachodniej.

Z terytorium bolesławieckim związany też był u swoich początków Osieczów, a poza nim Ławszowa, Kliczków i Tomisław, które to miejscowości wymienione są w *Księdze Uposażeń Biskupstwa Wrocławskiego* w roku 1305.

Granice państwowe często okazywały się mniej trwałe od podziałów lokalnych. Na początku XX wieku właściciele fabryk porcelany z Parowej sygnowali swoje wyroby znakami podkreślającymi ich śląskie pochodzenie (litera S jako skrót od Silesia), aby odróżnić je od porcelany

produkowanej w pobliskiej saksońskiej Miśni. Fakt interesujący o tyle, że sama Parowa była wsią graniczną. Od wprowadzenia podziału na powiaty na początku XIX wieku część leżąca na lewym brzegu Czernej Wielkiej należała do powiatu zgorzeleckiego, a część prawobrzeżna do bolesławieckiego. Ta lokalna granica również zniknęła na mocy nowego podziału administracyjnego z roku 1938, zgodnie z którym całą Parową włączono do powiatu bolesławieckiego.

W ciągu długich wieków istnienia miejscowości na terenie dzisiejszej Gminy Osiecznica granice i przynależności terytorialne zmieniały się wielokrotnie.

Prześledzenie wszystkich tych zmian obecnie wydaje się niemożliwe ze względu na skąpe dane źródłowe. Nie jest ponadto naszym celem dokonywanie geodezyjnych podziałów, lecz zaprezentowanie Czytelnikowi wszystkich walorów tej ziemi, która ma tak wiele do zaoferowania ciekawemu światu podróżnikowi.

ODPRYSKI WIELKIEJ HISTORII

Dzieje człowieka żyjącego w zorganizowanych społecznościach, także na terenach w granicach obecnej gminy Osiecznica, zapoczątkowało wzniesienie dawno temu pierwszych ludzkich osad nad Kwisą. Świadczą o tym wielokrotnie dokonywane tu odkrycia archeologiczne. W opublikowanej w 2007 roku pracy Krzysztofa Demidziuka *Archiwalia do archeologii ziemi bolesławieckiej (do roku 1945)* znajdujemy wiele cennych informacji o znaleziskach z terenu Gminy Osiecznica. Publikacja dotyczy wykopalisk z przełomu XIX i XX w oraz lat trzydziestych, ale znaczących odkryć archeologicznych dokonywano tu zarówno przed, jak i po II wojnie światowej. Badania archeologiczne prowadzone niemal w każdej miejscowości gminy dowodzą, że był to teren atrakcyjny dla osadników od wielu tysięcy lat. Znalezisk pochodzących z epoki neolitu dokonano w Poświętnym, Ławszowej, Ołoboku, Parowej i Osiecznicy. Z epoki brązu pochodzą przedmioty znalezione w Kliczkowie i Tomisławiu.

Opisywany przez nas obszar podczas wielowiekowego istnienia tu ludzkich siedzib i miejscowości uniknął w zasadzie wątpliwego zaszczytu bycia terenem wielkich bitew. Nie miały tu więc miejsca spektakularne wydarzenia, które odmieniłyby losy świata. Jednak położenie niemal w centrum Europy nie pozwoliło nigdy tutejszym mieszkańcom uniknąć nieszczęść, które zwykle dotyczą uczestników „wielkiej historii”.

Już u samego początku czasów historycznych, czyli tych, które znamy nie tylko dzięki archeologom, ale również ze źródeł pisanych, Osiecznica dostała się w tryby historii politycznej Europy. Z racji swego położenia tereny te stanowiły element systemu obronnego państwa pierwszych Piastów.

Ślady wczesnośredniowiecznej osady obronnej znaleziono w Kliczkowie. Samo usytuowanie zamku do dziś wskazuje na jego typowo militarne przeznaczenie. Położony na wzniesieniu, na prawym brzegu Kwisy, miał zabezpieczać granicę przed atakami ze strony zachodniej.

Potwierdzeniem znaczenia klickowskiej warowni było umieszczenie nazwy zamku w dokumencie, który dzisiaj nazwalibyśmy

umową międzypaństwową (choć zawartą między panem i wasalem). W piśmie owym, wystawionym 3 lipca 1353 roku, władca Księstwa Świdnicko-Jaworskiego, książę Bolko, pan na Książu i Świdnicy, zawiera układ z Karolem, królem rzymskim i czeskim. Uznał w nim za dziedziczkę księstwa swoją bratanicę, królową rzymską i czeską – Annę. Pośród wymienionych w piśmie posiadłości znalazł się również Kliczków. Jak już wiemy, układ zaczął obowiązywać po śmierci wdowy po Bolku, księżnej Agnieszki.

Całe Księstwo Świdnicko-Jaworskie weszło w skład Królestwa Czech.

Ziemię osiecznicką, jak już wcześniej wspomniano, szczęśliwie ominęły wielkie bitwy historyczne. Nie znaczy to jednak, że zawsze było tu sielsko i spokojnie.

Jeszcze za życia księżnej Agnieszki odbyła się „mała wojna” o drogę prowadzącą ze Śląska na Dolne Łużyce. Wybudował ją książę Bolko II Świdnicki. Dla ochrony traktu przed rabusiami powstała też osada i warownia nazwana Nowym Dworem (Nowoszów), wzniesiona nad Czarną Wielką.

Nowy szlak handlowy stał się solą w oku mieszczan ze Związku Sześciu Miast Łużyckich (Budziszyn, Zgorzelec, Żytawa, Kamieniec, Lubań i Lubij). Jak zwykle w takich sytuacjach chodziło o pieniądze. Kupcy podróżujący ze swymi cennymi towarami i pieniędzmi przez Nowoszów omijali jedyny do tej pory trakt, słynną Via Regia, prowadzący przez Zgorzelec. I właśnie zgorzeleccy mieszcianie uknuli intrygę, dzięki której przekonali rajców pozostałych miast do wysłania zbrojnych dla zniszczenia kolejnej siedziby rabusiów.

W rzeczywistości zamierzali zrównać z ziemią warownię w Nowym Dworze (Nowoszowie). Doszło do tego niedługo po śmierci księcia Bolka i zgorzelczanie czuli się w związku z tym bezkarni. Osadę zdobyto i spalono, niszcząc przy okazji pobliskie kuźnie. Uprowadzono również poddanych księżnej Agnieszki.

Ku zaskoczeniu napastników zniszczenie puszczańskiej osady wywołało poważne reperkusje. W sprawie tej na dworze praskim interweniowali Kazimierz Wielki, krewniak Bolka i Ludwik Węgierski. Biskup praski, zastępujący nieobecnego wówczas Karola IV, wszystkich

wezwanym do Pragi przedstawicielom miast wtrącił do więzienia. Związek wysłał więc poselstwo do księżnej z przeprosinami i propozycją zadośćuczynienia. Zobowiązano się między innymi do odbudowy zniszczonej osady. Wiązało się to oczywiście z nowymi obciążeniami finansowymi miast i wywołało spory wewnątrz Związku.

Sprawa zakończyła się w 1377 roku, gdy Nowy Dwór nad Czerną Wielką kupił wójt krajowy Benesz z Dubu i wkrótce odsprzedał ją zgorzeleckim mieszczanom, ci zaś niebawem zamknęli trakt wybudowany przez Bolka, pozbawiając tym samym osadę nad Czerną wszelkiego znaczenia.

(W. Bena, *Dzieje puszczy zgorzelecko-osiecznickiej*, Zgorzelec 1999.)

Nie znamy żadnych świadectw pisanych, ani nawet przekazów ustnych, mówiących o uczestnictwie mieszkańców naszej gminy w wielkim konflikcie religijno-politycznym, który wstrząsnął całymi Czechami w latach dwudziestych i trzydziestych XV wieku. Mowa oczywiście o wojnach husyckich. Mimo braku dokumentów możemy się domyślać, że wojenna

zawierucha nie ominęła leżących, wydawałoby się na uboczu miejscowości. Wiemy bowiem, że wojska husyckie splądrowały pobliski Bolesławiec. Wiadomo również, że wojska Górnych Łużyc walczyły po stronie cesarza Zygmunta Luksemburczyka przeciw husytom. „Kacerze” w odwecie wielokrotnie wkraczali na tereny Górnych Łużyc grabiąc i niszcząc wiele miejscowości. Możemy tylko domniemywać, że interesujące nas osady również padły ofiarą działań wojennych, a jeśli nawet nie doznały bezpośrednio uszczerbku, na pewno nie ominęła ich groza tej okrutnej wojny.

Według niepotwierdzonych źródłowo pogłosek zniszczeniu w jej trakcie uległ między innymi kościół w Ławszowej, wzniesiony w 1376 roku. Wobec całkowitego braku źródeł dotyczących wojen husyckich na naszym terenie interesującym śladem jest napis widoczny na jednej z mapek geodezyjnych Parowej, pochodzącej z początku XX wieku. W pobliżu działek o numerach 121, 187, 205, po drugiej stronie rzeczki widnieje napis Hussiten Schanzen. Być może jest to miejsce jednej z wielu potyczek wojen husyckich?



Echa innego wielkiego konfliktu polityczno-religijnego, który ogarnął większość Europy w pierwszej połowie XVII wieku dostrzegamy w bardzo skąpych zapiskach kronikarskich, jakie zachowały się do dzisiejszych czasów. Wojna trzydziestoletnia (1618–1648) doprowadziła do ogromnych zniszczeń materialnych i wyludnienia szczególnie Europy Środkowej, w tym oczywiście Śląska i Łużyc. Najwięcej ofiar powodowały nie starcia zbrojne, lecz nieustanne napady i grabieże przemieszczających się wojsk różnych stron konfliktu. Dzieła zniszczenia dopełniały nadciągające później głód i choroby zakaźne. Podczas jednej z fal zarazy, w roku 1623, wieś Osieczów udzieliła wsparcia mieszkańcom bolesławieckim, przeznaczając na ten cel pięć i pół szefli zboża oraz miód. (1 szefel równał się 9 garnców, tj. 36 kwart chełmińskich, tj. 64,08 litrów.)

Dowodem trwogi wzbudzanej przez wojskowe grabieże jest inna notatka kronikarska zapisana w roku 1640, a dotycząca Kliczkowa. Odnotowano w niej (zapewne z wielką ulgą), że rajtarzy kwaterujący w Bolesławcu i okolicznych miejscowościach oszczędzili jedynie Kliczków.

Konkurujące, a w czasie wojen zwalczające się odłamy religijne podzieliły również mieszkańców osiecznickich miejscowości. Ze spisu pastorów pełniących posługę w Tomisławiu dowiadujemy się, że pastor Jakub Abrode został podczas wojny trzydziestoletniej wygnany ze Śląska, nie znamy jednak żadnych bliższych szczegółów tego wydarzenia. Innym świadectwem podziałów wyznaniowych są notatki z roku 1654. Wtedy to przekazano ponownie katolikom świątynie w Kliczkowie i Ławszowej, zajęte wcześniej przez protestantów.

Istniejącym do dzisiaj w naszym regionie śladem wojny trzydziestoletniej jest niewielki pagórek usytuowany przy drodze leśnej z Kliczkowa do Bolesławca, kilkaset metrów za leśniczówką. Jest to pozostałość po zbiorowej mogile, w której grzebano zmarłych z okolicznych miejscowości. Wywożenie zwłok daleko poza obszar wsi miało zapobiec szerzącym się wówczas epidemiom chorób zakaźnych wyludniających całe miejscowości.

Tak jak przez całą Europę, przez Łużyce i Śląsk również przetoczyły się armie uczestniczące w kontynentalnym konflikcie wojen napoleońskich. Opisywany przez nas region „widział” nawet samego „boga wojny”, cesarza Napoleona. Co prawda nie podróżował on przez samą Osiecznicę, ale przejeżdżał kilkakrotnie drogą między Bolesławcem a Zgorzelcem, przekraczając prusko-saską granicę w Zebrzydowej. Zatrzymywał się nawet na nocleg zarówno w Bolesławcu, jak i Zgorzelcu.

W samej zaś Osiecznicy wojska napoleońskie pojawiły się podczas kampanii roku 1813, gdy epoka cesarza Francuzów nieuchronnie zmierzała ku końcowi. Wtedy to do Osiecznicy dotarli żołnierze II Korpusu Piechoty pod wodzą marszałka Claude’a Victora i II Korpusu Kawalerii generała François Sebastianiego.

Wojska wyruszyły rankiem 25 maja 1813 roku z Bielawy Dolnej w kierunku Węglińca i dalej do Osiecznicy. Żołnierze pokonali w ciągu 16 godzin

33 km trasy, wiodącej lasami przez Węgliniec i Parowę. Marszałek Victor pozostał w Osiecznicy, a gen. Sebastiani przeniósł się do Kliczkowa. Oddziały pozostały na miejscu do godz. 10 następnego dnia, kiedy wojska Wielkiej Armii przekraczały Kwisę, podążając za wycofującymi się na wschód oddziałami koalicji antynapoleońskiej. Poza wymienionymi już formacjami cesarskimi przez ziemie osiecznickie przemaszerował też VII Korpus, przekraczając 25 maja Kwisę w Osieczowie.

Marszałek Victor otrzymał rozkaz marszu do Szprotawy. Wojska skierowały się wzdłuż Kwisy w wyznaczonym kierunku, jednak 26 maja o godzinie 18 marszałek meldował z Luboszo-
wa, że jego oddziały będą maszerować nadal po zapadnięciu zmroku, jednak z uwagi na zmęczenie żołnierzy forsownym marszem z poprzedniego dnia nie udało mu się osiągnąć celu w wyznaczonym czasie. Wieczorem kawaleria Sebastianiego stanęła w Łozach i Puschkau (nieistniejącej już dziś wsi pomiędzy Świętoszowem, a Szprotawą), a piechota w Świętoszowie i Zeissa (położonej na południe

od Świętoszowa, również dziś nieistniejącej). Do Szprotawy oddziały marszałka Victora dotarły rankiem 27 maja 1813 roku.

Jak w każdej z napoleońskich kampanii, także i w tej nie zabrakło Polaków. Podczas rozejmu, w sierpniu 1813 roku, w Kliczkowie stacjonowali ułani z 1 Pułku Szwoleżerów. Jak opisano to w jednej z kronik pułkowych, w Kliczkowie przebywało 60 ułanów pod dowództwem kapitana Jankowskiego. Co więcej, zaproszeni przez kapitana, zjawili się tam również **Jan Hipolit Koziętulski** (dowódca jednej z najsłynniejszych szarż



nie tylko wojen napoleońskich – bitwy w wąwozie Samosierry) oraz księżę Dominik Radziwiłł, a także pułkownik Tomasz Łubieński (wslawiony potem udziałem w powstaniu listopadowym).

Miejscowa ludność nie miała jednak powodów do zadowolenia z pobytu szwoleżerów, bowiem, jak każde wojsko podczas każdej z wojen, potrzebowali odpowiedniego zaopatrzenia.

W jednym ze śląskich periodyków pisano potem:

Ledwie stacjonujący w Kliczkowie lansjerzy przekonali się o biedzie tamtejszych wieśniaków, to zaczęli rekwizycję sąsiednich wsi śląskich i saskich, które jeszcze nie zaznały wojsk. Wszystkie rodzaje bydła, zboża, siana itd. zostały przywiezione jakby mieli się tu zaprowiantować na kilka lat. Byli rozrzutni i stracili wszystkie zebrane zapasy. (...) Zwykły żołnierz żądał na śniadanie chleb, masło, czasem też mięso i alkohol. Na obiad chciał zupę, wołowinę, czasem pieczeń i piwo. Na kolację oczekiwał to samo, co na obiad. Lepsze jadło chciał korpus oficerski. Na śniadanie kawę, na obiad cztery, a nawet pięć, a na kolację zwyczajnie 5 misek wina lub mocnego piwa. Na deser oczekiwał smakołyków, lodów, malin poziomek, jagód z cukrem i za każdym razem kawę, (...) niejeden generał żył gorzej niż oni tutaj. (cyt. za: M. Olczak, **Kampania 1813, Śląsk i Łużyce**, Warszawa 2004.)

20 sierpnia pułk otrzymał rozkaz wymarszu w kierunku Lubania i połączył się z pułkiem szaserów przed Zgorzelcem. Po raz ostatni regularne oddziały Wielkiej Armii przeszły przez ziemię osiecznicką podczas odwrotu po przegranej bitwie nad Kaczawą. 1 września III Korpus opuścił swoje pozycje na lewym brzegu Kwisy pomiędzy Kliczkowem, Zebrzydową i Nowogrodźcem i skierował się w stronę Zgorzelca.

Daleko od Śląska i Łużyc rozgrywały się bitwy wojny francusko-pruskiej, toczonej w latach 1870 – 1871. Po jej wygraniu przez Prusaków dowodzonych przez Otto von Bismarcka wdzięczny naród stawiał pomniki i sadził Dęby Zwycięstwa lub Dęby Pokoju. Do dziś taki Dąb Pokoju rośnie w Kliczkowie. Pomnik poległych w tej wojnie odsłonięto w Parowej w roku 1874, upamiętniając na nim nazwiska:

Hanisch, Ad. Hirche i Herkt z Parowej oraz Sauer z Ołoboku, a także Aug. Hirche z Poświętnego. Obelisk nie zachował się do czasów współczesnych, wiadomo jednak, że umieszczony na nim napis brzmiał:

PAMIĘCI ŻOŁNIERZY POLEGŁYCH I ZMARŁYCH
DLA KRÓLA ORAZ OJCZYZNY.
WDZIĘCZNA GMINA KOŚCIELNA.

W roku 1876 w centrum Osieczowa odsłonięto pomnik ku czci poległych z tej wsi.

Sto lat po zakończeniu wojen napoleońskich rozpoczęła się pierwsza w dziejach ludzkości wojna ogarniająca cały glob. Ani Śląsk, ani Łużyce nie ucierpiały bezpośrednio wskutek działań wojennych, ale nie było wówczas miejsca, zwłaszcza w Europie Środkowej, którego nie dotyczyłyby skutki tego totalnego konfliktu. Wszystkie kraje przestawiły swe gospodarki na produkcję dla potrzeb wojennych, co oczywiście miało już bezpośredni wpływ na życie społeczeństw. Przede wszystkim jednak każde z państw uczestniczących w konflikcie potrzebowało ciągle nowych żołnierzy. Każde miasto i wieś w Niemczech wysyłało na fronty I wojny światowej młodych mężczyzn, często nie rozumiejących celu i sensu toczonych przez siebie walk. We wszystkich niemal wsiach i miastach, po nastaniu pokoju stawiano pomniki utrwalające dla potomnych nazwiska tych, którym nie udało się wrócić.

W Kliczkowie pomnik odsłonięto w roku 1923. Stał on w centrum wciętej w skarpe malowniczej wnęki

terenowej, przy drodze biegnącej górną krawędzią doliny Kwisy w kierunku nieistniejącego dziś mostu wiszącego, gdzie obecnie rzekę przegradza zapora i zabudowania nowej elektrowni wodnej. Wykonano go z dużego głazu, oszlifowanego z jednej strony, na której to płaszczyźnie umieszczono nazwiska siedemnastu żołnierzy pochodzących z tej niewielkiej wsi, poległych na różnych frontach. Zachowało się zdjęcie tego monumetu, dzięki któremu znamy też nazwiska na nim umieszczone. Są to:

E. Doring 9.9.14
M. Nüfsler 10.11
M. Gnaden 8.3.15
W. Kensch 14.8
R. Flanz 8.15.16
H.Höhn 22.5.17
E. Kiesch 10.7
M. Günther 31.8
E. Kicke 27.10. 17
E. Tschachne 22.11
F. Nanck 22.12
K. Milde 20. 3.18
F. Wrabetz 25.4
E. Müller 29.4
M. Schubert 23.10
A. Flanz 1.11
P. Nitschke 17.9.16



Według niektórych mieszkańców, przybyłych do Kliczkowa już po 1945 roku, nieruszany przez kilkadziesiąt lat od zakończenia ostatniej wojny kamień ten został ostatecznie zrzucony do wykopanego dołu i zasypany przez spychacz warstwą ziemi. W miejscu tego szczególnego „pochówku” ma podobno spoczywać nadal.



Nieco inny w kształcie pomnik postawiono także w Osieczowie.

Ogrodzony metalowym płotkiem pomnik upamiętniał wszystkich żołnierzy pochodzących z Osieczowa, którzy polegli w czasie wojen: 1866 roku, w latach 1870 i 1871 (wojna francusko-pruska) i na frontach pierwszej, ogólnoświatowej hekatombi. Centralny element monumentu stanowiła stojąca na prostopadłościennym, piaskowcowym cokole wysoka kolumna, przepasana mniej więcej w połowie wysokości złotym wieńcem laurowym i zwieńczona głowicą jońską. Na jej szczycie widniała sylwetka czarnego orła z rozpostartymi skrzydłami, wczepionego w wierzchołek potężnymi, złotymi szponami.

Po bokach kolumny umieszczono dwa oparte na prostopadłościennych cokołach, ostro zakończone kamienne słupy, na których przedniej ścianie, w połowie ich wysokości, wyrzeźbiono niemieckie hełmy, przepasane wieńcem.

Monument został po 1945 roku rozebrany i zakopany w pobliżu miejsca jego pierwotnego usytuowania.

W ostatnich latach, w trakcie generalnego porządkowania otoczenia kapliczki, stojącej na jego miejscu, a zbudowanej na podwyższonym skwerze w centrum wsi, w pobliżu mostu drogowego nad Kwisą, łączącego Osieczów z Tomisławiem – wymurowano też mur oporowy, wzmacniający część obrzeży tego trawnika. Przy okazji prowadzenia prac ziemnych wydobyto bardzo dobrze zachowane, najprawdopodobniej wszystkie, a w każdym razie znaczącą część elementów tegoż monumentu.

Przez pewien czas leżały one w pobliżu kapliczki na prywatnej posesji, potem złożono je przy kaplicy cmentarnej czynnej obecnie, ale wytyczonej i służącej pierwszym pochówkom już przed wojną, dużej nekropolii w Tomisławiu.

Mimo wieloletniego przebywania fragmentów pomnika w ziemi zachowały się na nich doskonale widoczne imiona i nazwiska poległych, wyryte w głównym elemencie monumentu, piaskowcowym graniastosłupie o wysokości około jednego metra i krawędzi kwadratowej podstawy o boku blisko 80 centymetrów.

Wyryte litery pokryto niegdyś złotą farbą, przetrwała ona do dzisiaj.
Pomnik przed zniszczeniem był dużą, bogato zdobioną kompozycją.
Na trzech ścianach głównego elementu widnieją nazwiska:

I

Paul Grohmann 10. 9

Paul Werner 30. 9

1917

Ernst Pöhl 23.1

Karl Zöllner 25.1

Bruno Günzel

II

Karl Schulz

Paul Schubert

Friedrich Kindler

Hermann Kindler

1919

Willi Kranz

III

Fritz Kranz 4.4

Herm. Meyer 8.7 (Hermann)

Rich. Gansel 30.7 (Richard)

Paul Wunsch 8.3

1918

Herm. Werner 30.3

Na miejscu owego obiektu – zresztą częściowo wykorzystując głązy dawnego cokołu z wrytym napisem R. Rindfleisch „Bunzlau”, będącym zapewne autografem twórcy tego monumentu – wzniesiono kapliczkę stojącą tam do dziś.

W Parowej tablice upamiętniające żołnierzy poległych na frontach I wojny światowej, a pochodzących zarówno z tej wsi jak i pobliskich miejscowości umieszczono w kościele. Nie są one obecnie widoczne, ale znamy wyryte na nich nazwiska :

DLA UPAMIĘTNIEŃ POLEGŁYCH W WOJNIE
1914–1918
WIEŚ PAROWA

we Francji:

Paul Röder, Paul Zeidler, Otto Vogel, Willi Barth, Fritz Brile, Paul Brauer, Otto Gerber, Adolf Gielio, Willi Pöhl, Max Wiodner, Feliks Kühn, Paul Starke, August Riedel, Paul Grieger, Martin Liebig, Arthur Münzig, Ewald Speer, Gustaw Barth, Oswald Petermann, Alfred Kahlmann, Ernst Schirmen, Artur Petermann, Gustaw Nitschke, Stanislaus Wolff, Erich Hoerepoll, Hermann Kutter, Wiliam Liebig, Martin Schüller, Karl Schuster, Erwin Besser, Erich Krüger, Bruno Schulz, Emma Jackisch,

w Rosji:

Max Fiebig, Richard Heim, Artur Eichborn, Richard Besser, Max Müller, Paul Barch, Hermann Krahel, Max Speer, Gustaw Speer, Max Barth, Hermann Barth, Max Münzig, Artur Rösemann, Adolf Schlenker, Robert Pomsel, Wilii Gebhardt, Max Jackisch, Hermann Jackisch, Adol Krause, Paul Görlitzer

we Włoszech:

Erwin Görlitzer, Wilii Sielzer,
Karl Hummel in Mazedonien

w ojczyźnie:

Hermann Görlitzer, Johann Hannich, George Liebig, Karl Jander, Otto Hennig.

(razem są to 62 osoby)

Tablica druga:

DLA UPAMIĘTNIEŃ POLEGŁYCH W WOJNIE
1914–1918
WIEŚ OŁOBOK

we Francji:

Erich Walter, Willi Pöhl, Paul Zippel, Gustaw Zippel, Adolf Schader,
Karl Zippel, Alfred Arnold, Adolf Liebig, Hermann Horold, Paul Specht,
Alt. Liebig, Gustav Gross, Fritz Hoffmann, Hermann Schade, Alfred Gorerlitzer, Hermann Harnsch, Richar Grenewohl

w Rosji:

Oskar Schmidt, Paul Stern, Karl Hanke, Paul Baselt, Robert Sauer, Paul Müller, Paul Hanisch

w Rumunii:

Karl Schafer, Otto Görlitzer

w kraju:

Emil Müller, Ewald Liebig, Ernst Arnold, Paul Schulz

(razem 30 osób)

Gmina (wieś) Poświętne

we Francji:

Johann Arndt, Karl Krause, Max Hirche, Willi Krause, Oswald Köhlig, Paul Hirche, Karol Wunsch, Oswald Scheder, Adolf Streit, Artur Markisch, Paul Hurnniel, Paul Schafer, Wilhelm Geissler

w Rosji:

Adolf Berg, Artur Fiebig, Paul Thomas, Robert Engmann, Gustav Görlitzer, Richard Wunschmann, Reinhardt Herold

w kraju :

Max Umlauft, Fritz Scholz

(razem 22 osoby)

O. Kettner, A. Schafer, A. Gabor, M. Buchwald, W. Hartwig, H. Seidel, O. Henschel, K. Knaschke, H. Helbig, A. Schwartze, P. Gebauer, G. Reiter, F. Knasche, P. Umlaut, E. Gross, K. Seidel, O. Walter, P. Föhlisch.

Swoich mieszkańców uczciło również Poświętne monumentem stojącym niegdyś w centrum osady, przy szkole, na rozstaju dróg, w pobliżu przepływającej poniżej Czernej Wielkiej. Na porośniętym dziś roślinnością kamieniu nie można już odczytać pełnych nazwisk. Domyślać się jedynie można ich brzmienia oraz miejsc i dat śmierci poległych synów wsi Poświętne.



Wydarzenia I wojny światowej w dzisiejszej gminie Osiecznica najbardziej odczuwalne były w Świętoszowie, skąd po intensywnych szkoleniach poligonowych na front wyruszały kolejne oddziały niemieckie. Utworzono tu również wielki obóz jeniecki dla kilkunastu tysięcy jeńców rosyjskich.

Umieszczono ich w barakach w pobliżu wieży ciśnień. Aby utrudnić jeńcom ewentualne uciezki, rozdawano im specjalne bony, mające zastąpić miejscową walutę, które nie miały żadnej wartości poza obozem i natychmiast zdradzały pochodzenie ich posiadaczy. Bony obok nominału 1, 2, 5, 10, 25, 50 fenigów miały napis Gefangenenerlager Neuhammer. W roku 1919 w świętoszowskim obozie przebywało jeszcze ponad trzydzieści trzy tysiące jeńców rosyjskich. Trzy lata wcześniej jego władze zezwoliły na wykonanie specjalnego monumentu, który stanął na jenieckiej nekropolii.

Projektantem i wykonawcą tego poświęconego towarzyszom niedoli pomnika, odsłoniętego uroczyście 24 lipca 1916 roku, był pochodzący ze Smoleńska Rosjanin – Wasilij Piskunow Babugin. Okazały monument przedstawia cesarskiego dwugłowego orła szykującego się do odlotu z cokołu. Układ skrzydeł ma najprawdopodobniej symbolizować także przygarnięcie do siebie wszystkich pochowanych na nekropolii. Poniżej umieszczono pisany cyrylicą tekst:

ПОКОЈ З ВАМІ РОСЫЈСЦЫ ЖОЛНІЕРЗЕ

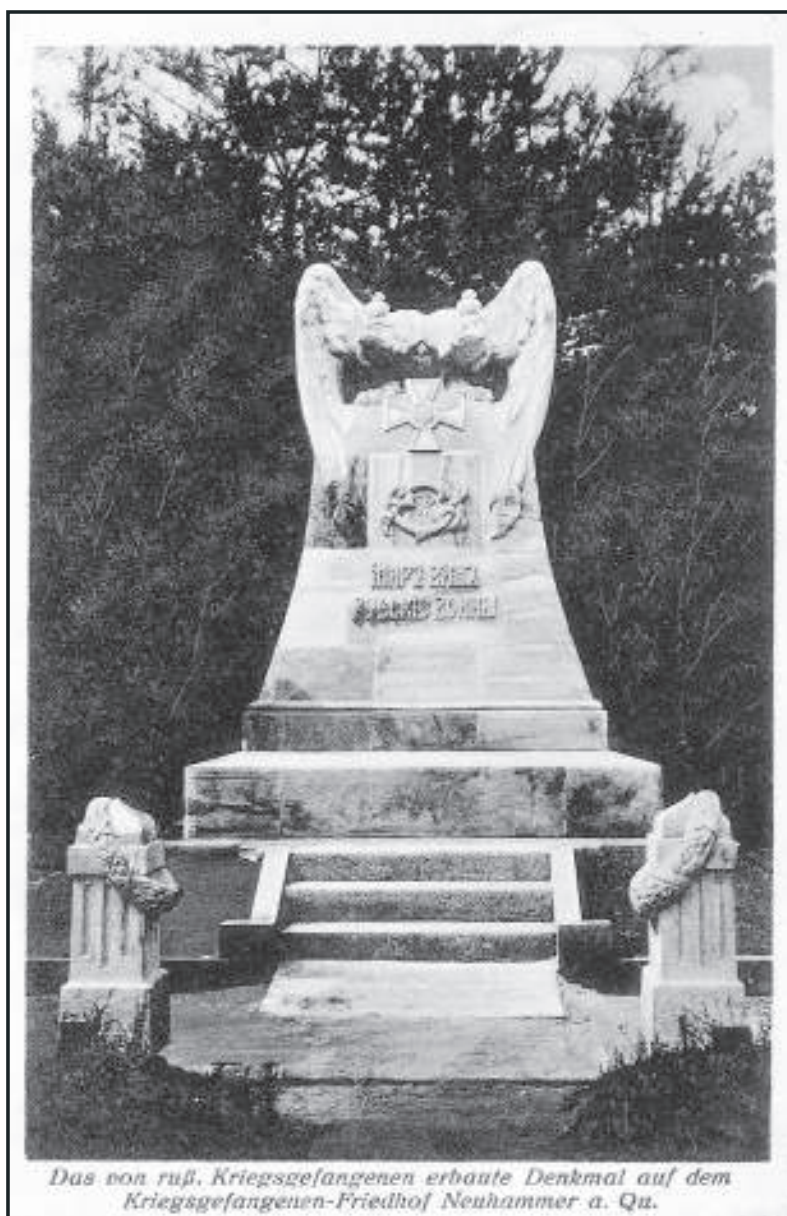


Rosyjscy jeńcy wojenni

27 marca 2009 roku na odrestaurowanej nekropolii, przy stojącym w jej granicach odnowionym pomniku, przeprowadzono podniosłą, międzynarodową i religijną uroczystość. Dokonano tu uroczystego pochówku ekshumowanych żołnierzy radzieckich i ich rodzin, zmarłych w latach 1945–1992. Ceremonię, kończącą starania o godne pogrzebanie ludzkich szczątków rozsianych wcześniej po różnych zaniedbanych cmentarzach świętoszowskiego poligonu, jak również uświetniającą ponowne poświęcenie odnowionego zabytkowego monumentu z czasów I wojny światowej, zorganizowała Gmina Osiecznica w porozumieniu z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Konsulatem Generalnym Rosji w Poznaniu. Uczestniczyli w niej reprezentanci władz lokalnych Gminy Osiecznica, miasta i powiatu Bolesławiec oraz Konsul Generalny Rosji, jak również przedstawiciele attaché Białorusi i Rosji i Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Obrzędy religijne prowadzili duchowni prawosławni i katoliccy, zaś ceremoniał wojskowy zabezpieczyła Kompania Honorowa 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

W uroczystości wzięli ponadto udział uczniowie Zespołu Szkół w Świętoszowie, harcerze i zuchy oraz mieszkańcy Świętoszowa.



Świętoszowski pomnik żołnierzy rosyjskich – jeńców wojennych z czasu I wojny światowej

Wydarzenia historyczne, które najbardziej dotknęły gminę Osiecznica to oczywiście czas II wojny światowej. Ten globalny kataklizm nie oszczędził prawie żadnego zakątka Ziemi, a na naszych terenach spowodował nie tylko śmierć tysięcy żołnierzy i cywilnych mieszkańców, ogromne zniszczenia, ale i całkowitą wymianę ludności zamieszkałej na obszarze nazwanym po jej zakończeniu Ziemią Zachodnimi lub Odzyskanymi.

Powstające w Niemczech po zakończeniu pierwszej, ogólnoswiatowej he-



Przegląd formacji paramilitarnej na dziedzińcu zamku w Kliczkowie

katomb, ruchy polityczne, które w efekcie doprowadziły do wybuchu kolejnej globalnej katastrofy, nie wydawały się początkowo aż tak złowieszcze.

Dla pokonanych i upokorzonych Niemiec – urzędowo od 1919 roku nazywanych Rzeszą Niemiecką – rozpoczął się wtedy czas **Republiki Weimarskiej**. Ale sporo obywateli tego kraju było wręcz wrogo nastawionych do powojennej rzeczywistości. Również i w gminie Osiecznica część jej mieszkańców chętnie demonstrowała swoje niezadowolenie i pragnienie odwetu „za Wersal”.

Kiedy zaczęła działać nazistowska partia, na terenie gminy Osiecznica pojawili się miejscowi SA-mani w brązowych mundurach i powstały komórki organizacyjne NSDAP – Narodowosocjalistycznej

Niemieckiej Partii Robotników (*Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei*).

W pewnym okresie działania jej osiecznickich oddziałów ich szefami byli: w Ławszowej Richard Hiller, w Pstrążu Hermann Korn, w Parowej Kurt Gubat i w Osiecznicy Kurt Wüste.

Po dojściu w 1933 roku Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech bardzo szybko nastał okres intensywnych przygotowań do kolejnej wojny. Widać to było zwłaszcza w Świątoszowie, gdzie koszary i place ćwiczebne zaroili się od wojska. W okresie tym zresztą poligon świętoszowski rozbudowano do rozmiarów, plasujących go na czołowym miejscu wśród innych hitlerowskich militarnych ośrodków szkoleniowych.

Wybuch wojny nie zaskoczył zbyt wielu mieszkańców gminy, karmionych nazistowską propagandą.



Uroczystości państwowe i hucznie obchodzone ważne rocznice – a do rangi takich należały między innymi urodziny Hitlera – uświetniało czasem przybycie do gminy kreisleitera z Bolesławca, parady członków Hitlerjugend i inne pokazy siły i zwartości przedstawicieli „herrenvolku”.

Oczywiście nie wszystkim się to udzielało, ale ci byli w mniejszości i – znając metody „nawracania” przez Gestapo – woleli milczeć...

Świątoszów na pocztówkach z okresu międzywojennego



Wieści o bitwach i zmianach w przebiegu frontów docierały do mieszkańców spokojnych śląskich i łżyckich wsi tylko za pośrednictwem gazet, radia i przysyłanych nekrologów. Część ludzi zapewne nie zdawała sobie sprawy z istnienia na terenie gminy obozów jenieckich, a zwłaszcza z warunków, w jakich żyli przetrzymywani tam żołnierze. O przerażającym Stalagu 308 piszemy szerzej w rozdziale poświęconym świętoszowskim poligonom.

Niecałe 30 km od Świętoszowa, w pobliżu Żagania założono obóz dla jeńców alianckich. W nim to właśnie zorganizowano jedną z najsłynniejszych ucieczek II wojny światowej, a trasa kilku uciekinierów prowadziła przez osiecznickie ziemie.

W marcu 1944 roku z obozu jenieckiego Luft III uciekło wydrążonym samodzielnie podkopem kilkadziesięciu alianckich lotników – w tym kilku Polaków w służbie RAF. Do ścigania zbiegów ruszyły wszelkie niemieckie służby mundurowe i ludność cywilna. Ucieczka odbiła się szerokim echem w całym świecie nie tylko z powodu jej niezwyklego przebiegu, ale także po ustaleniu, iż zamordowano

w odwecie 50 schwytanych już uciekinierów. Zbrodnia dokonana na jeńcach miała stanowić okrutną przestrozę dla tych, którzy chcieliby szukać podobnej drogi do wolności. Ucieczka odbyła się w nocy 24 marca 1944 roku, a dwóch spośród uciekinierów, na piechotę zmierzających ku wolności przez topniejący śnieg – Paul Royle i Edgard Humphreys – trafiło nocą w okolicę Parowej. Tu, niestety, ich schwytano i osadzono w miejscowym areszcie. Spotkali w nim innych lotników, złapanych wcześniej – Johnyego Marshalla i Arnošta Valentę. Po krótkim czasie do celi wtrącono jeszcze jednego żołnierza alianckiego – Alberta Armstronga. Parowski epizod słynnej wielkiej ucieczki zakończył się rano odwiezieniem pojmanych jeńców do Żagania.

II wojna światowa zbliżała się jednak do nieuchronnego końca, część generałów niemieckich postanowiła pozbyć się swojego zbrodniczego wodza. 20 lipca 1944 roku dokonano na niego zamachu w potężnej kwaterze mieszczącej się koło Kętrzyna, nazywanej *Wilczym Szańcem*. Właściciele Kliczkowa, Solms-Baruthowie byli powiązani z wojskowymi spiskowcami.

Warto temu aspektowi poświęcić nieco więcej miejsca.

Fryderyk Herman zu Solms-Baruth urodził się w kliczkowskim zamku 25 marca 1886 roku. W okresie III Rzeszy, jako chrześcijański humanista, należał do grona ludzi przeciwnych partii NSDAP i całej hitlerowskiej władzy. On i podobni mu przeciwnicy nazizmu spotykali się w znanym majątku von Moltkego, w Krzyżowej.

Tam także zrodził się plan zamachu na Adolfa Hitlera i **Operacji Walkiria**. Zamach przeprowadzono w **Wilczym Szańcu** 20 lipca 1944 roku. Według czołowych przedstawicieli niemieckiego ruchu oporu, dążącego do obalenia reżimu nazistowskiego i przejęcia władzy w Niemczech, tylko wcześniejsze pozbawienie życia Adolfa Hitlera mogło zapewnić sukces przygotowywanemu przewrotowi. Po przeprowadzeniu przez wojskowych zamachu rządu miał objąć gabinet kierowany przez Carla Friedricha Goerdelera jako kanclerza. Plan ten określono mianem **Operacji Walkiria**. W przygotowaniu zamachu uczestniczyli spiskowcy z Wehrmachtu, działający w ścisłym kontakcie z cywilnymi opozycjonistami **Kręgu z Krzyżowej**, założonego przez Helmuta Jamesa hrabiego von Moltke.



Helmut James
von Moltke

20 lipca 1944 roku w kwaterze Hitlera nazywanej **Wilczym Szańcem** kaleki pułkownik hrabia Claus Schenk von Stauffenberg podłożył bombę w sali narad naziemnego baraku, jednak „wódz” przeżył wybuch. Wieść o tym szybko dotarła do Berlina i spiskowcom nie udało się wzniecić ogólnoniemieckiego powstania. Żołnierze, którzy wcześniej wykonywali rozkazy von Stauffenberga, odmówili ich dalszej egzekucji. Oddziały wierne Hitlerowi natychmiast podjęły zakończoną powodzeniem kontrakcję. Wkrótce po tym rozpoczęły się czystki, które doprowadziły do zamordowania niemal pięciu tysięcy przeciwników nazizmu.



Friedrich III zu Solms-Baruth

Z najbardziej brutalną i nieludzką działalnością nazistów Solms-Baruth spotkał się w swoim własnym otoczeniu już po wybuchu wojny. Jego wielkie lasy graniczyły z terenami poligonu w Świętoszowie.

W roku 1941, po rozpoczęciu wojny ze Związkiem Sowieckim, granica jego włości stykała się z obszarem utworzonego na poligonie obozu jeńców wojennych dla Rosjan, czyli ze Stalagiem 308 Neuhammer, nadzorowanym przez SS. Jeńcy byli traktowani okrutnie, harowali jako robotnicy leśni dla SS i Wehrmachtu. Solms-Baruth spotkał się z tym wielokrotnie, i swoją wiedzę na temat bestialstwa wobec zniewolonych Sowieców usiłował przekazać władzom hitlerowskim wyższego szczebla w swoich pismach, sądząc naiwnie, że to coś zmieni.

Pewnego razu widział przemarsz nadzorców SS z około osiemdziesięcioma jeńcami wojennymi, przechodzili oni przez jego las, położony tuż obok lagru. Najprawdopodobniej nadzorcy nie dostrzegli Barutha. Jeńcy byli zmaltratowani, potwornie wychudzeni i osłabieni, w strzępach odzieży. Nadzorcy katowali ich dla zabawy, wyszarpywali z szeregu i strzelając jak do tarcz, zabijali. Pozostali musieli zwłoki zabierać i nieść w kolumnie. Pewnego dnia jeden z niemieckich robotników leśnych, Heinrich Hirsche, by ulżyć doli tych ludzi, w porozumieniu z Solms-Baruthem podszedł potajemnie do ogrodzenia obozu i podrzucił jeńcom chleb, mięso i ziemniaki. Sprawa była uzgodniona z trzema wartownikami, którzy mieli za łapówkę w postaci dziczyzny udawać, że tego nie widzą.

Wydawało się, że wszystko przebiegło zgodnie z planem, jednak o świcie następnego dnia do majątku kliczkowskiego wjechał samochód SS, które szukało owego robotnika. Ten jednak zorientował się w sytuacji i uciekł. Solms-Baruth próbował natychmiast porozumieć się z siedzibą powiatową NSDAP w Bolesławcu, rozmawiał z kreisleiterem Fritzem Lehmannem, ale ten oburzony interwencją zbył go niczym. Baruth powoływał się na łamanie konwencji genewskiej. Szef powiatowy NSDAP nie zamierzał nic zrobić w tej sprawie, zresztą Baruth wielokrotnie miał być przez niego wcześniej nagabywany, ale kategorycznie odmówił wstąpienia do NSDAP.

Zabiegi hrabiego za sprawą donosu Lehmana dotarły do Berlina i rozwścieczyły samego Himmlera. Również Karl Hanke, gauleiter Dolnego Śląska był poinformowany o sprawie i oburzony postawą właściciela Kliczkowa.

Przez cały czas Solms-Baruth utrzymywał kontakty z Helmutem Grafem von Moltke z Krzyżowej, gdzie szykowano zamach na Hitlera.

W roku 1944 Solms-Baruth kolejny raz zwrócił na siebie uwagę służb nazistowskich. Doniesiono im, że miał on powiedzieć, iż ta wojna Hitlera niedługo padnie. Wezwano go na Gestapo w Bolesławcu.

Wkrótce potem musiał opuścić Kliczków.

Zamkiem zawładnęła NSDAP, obejmując nad nim zarząd i formalnie wydziedziczając jego prawowitego właściciela. Himmler wydał osobiste polecenie, zakazujące przyjęcia jakiegokolwiek odwołania się Solms-Barutha w tej sprawie.

Po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku Solms-Baruth i jego brat zostali pojmani i uwięzieni przez Gestapo na budzącej grozę ulicy Prinz-Albert-Strasse 8. Potem, po załamujących nocnych przesłuchaniach przeniesiono ich z innymi do Poczdamu.

Baruthów miano postawić przed słynnym z szybkiego wydawania wyroków śmierci Sądem Ludowym, ale właśnie kończyła się wojna, co ich ocaliło. Wiadomo na przykład, że spiskowców gościli właściciele niedalekiego zamku w Gościszowie, których również dosięgła fala represji, jaka po zamachu ogarnęła całe Niemcy.

Nieco wcześniej ze znanej historycznej budowli, zamku w Żaganiu, wobec nadciągającego zagrożenia jego bogatych, wręcz bezcennych zbiorów zamierzano usunąć większość zgromadzonej tam olbrzymiej kolekcji rękopisów – między innymi Goethego i Beethovena – a także prace wielu innych sław nauki i sztuki. Podobnie zamierzano postąpić z innymi dobrami. Na temat tego posunięcia toczyły się spory pomiędzy Herbertem Knigge, zarządzającym lennem żagańskim, chcącym zasoby zamku wraz z woluminami przewieźć do pałacu w Borowinie koło Szprotawy, a profesorem Guntherem Grundmannem – konserwatorem zabytków Prowincji Śląskiej, który był temu pomysłowi przeciwny, proponując ich umieszczenie w Kliczkowie. Chcąc lepiej zorientować się w sytuacji, odwiedził on nawet osobiście warownię kliczkowską 26 czerwca 1944 roku.

Projekty zarówno Kniggego jak i Grundmanna były dość naiwnymi pomysłami, bowiem ukrycie czegokolwiek w zamkach niemal równie znanych jak obiekt żagański, nie mogło stanowić ich prawdziwego zabezpieczenia. Ostatecznie w nocy z 15 na 16 października nastąpiła częściowa ewakuacja wyposażenia żagańskiego zamku, zaś kolumna załadowanych wywozonymi dobrami samochodów udała się w nieznanym nam do dzisiaj kierunku.

Z zamku kliczkowskiego także wywieziono część jego wyposażenia i zbiorów, co odbyło się pod nadzorem Gestapo również w nocy. Pozostało jednak sporo nakryć kryształowych, księgozbiory i inne cenne przedmioty. Tuż po wojnie kryształowe wazony służyły jako ustawiane na ogrodzeniu cele, do których strzelali pijani oficerowie sowieccy, urządzający sobie zawody.

Jak można przeczytać w książce Bolesława Dolaty *Wyzwolenie Dolnego Śląska w roku 1945* (wyd. Ossolineum), Osiecznica została zajęta przez oddziały sowieckiej 3 Armii Pancernej Gwardii w dniu 13 lutego 1945 roku. Jej dowódcą był generał pułkownik Paweł Rybałko. Walczyły tu także oddziały 48 korpusu piechoty 52 Armii Ogólnowojskowej dowodzonej przez generała pułkownika Konstantina Korotiejewa. Od północnego zachodu wspomniane siły rosyjskie stykały się z 4 Armią Pancerną generała pułkownika Dimitrija Leluszenki.

W osiecznickich lasach jako przeciwnik operowała głównie 6 Volks-Grenadier-Division, a także Führer Grenadier Divizion. Pojawiały się również różne, doraźnie klecone z niedobitków Wehrmachtu i innych formacji ugrupowania. Walki były nadzwyczaj ciężkie i krwawe. Rozmiękłe pola i pobocza utrudniały ruch czołgów i pozostałych pojazdów bojowych. Wiele rosyjskich T-34 oraz IS-2 ugrzęzło, wiele też padło ofiarą specjalnych niemieckich grup bojowych uzbrojonych w pancerfausty. Także niemieckie czołgi PzKpfw „Panther” oraz starsze PzKpfw IV pozostały na polach bitewnych.

Wycofujący się na zachód niemiecki 1 Batalion 40 Pułku Grenadierów Pancernych z 17 Dywizji Pancerniej, którego dowódcą zaledwie dzień wcześniej mianowano majora Friedricha Ferdynanda, po 11 lutego zjawiał się w okolicach Osiecznicy. Formacji tej przydzielono blisko dwadzieścia dział pancernych „Hetzer”. Jej zadaniem było zajęcie wsi i przygotowanie w niej i na jej przedpolach pozycji obronnych.

Konieczne stało się wcześniejsze, nocne rozpoznanie terenu, na które wyruszyli motocyklem z koszem dwaj oficerowie – porucznik Fürst i podporucznik Brummer. Pojazdem kierował trzeci żołnierz.

Kiedy maszyna wtoczyła się na most na Kwisie, zaczajeni przy jego wylocie sowieccy czołgiści, których tank wcześniej zdażył zająć dogodną pozycję ryglującą przeprawę, rzucili w stronę Niemców granat ręczny, niszcząc ich motor. Dziwnym, lecz szczęśliwym dla Niemców zrządzeniem losu nikt z jego załogi nie został nawet ranny. Zwiadowcy rzucili się do wzebranej rzeki i dotarli do swoich. Natychmiast po ich przybyciu odpalono zainstalowane wcześniej ładunki i wysadzono stalowe przesła mostu.

W dniu 12 lutego, naciskani potężnymi uderzeniami Rosjan, Niemcy opuścili Osiecznicę. Nocą z 13 na 14 lutego wojsko sowieckie odcięło jednak także drogę zaopatrzenia hitlerowskich oddziałów od strony Parowej, na krótko odblokowaną jeszcze 14 lutego. Były to już ostatnie boje na tej ziemi, wkrótce oddziały niemieckie odeszły z niej na zawsze.

Przez wiele lat w trakcie prac ziemnych w lasach, na polach i nieużytkach znajdowano szczątki żołnierzy obu stron.

Zapewne jednak część ciał spoczywa tam do dziś.

Dzięki kilkukrotnym powojennym ekshumacjom znamy nazwiska części poległych tu Rosjan. Na podstawie zachowanych dokumentów sporządziliśmy listę pochowanych w gminie Osiecznica, których ciała następnie przewieziono na cmentarz w Bolesławcu.

W roku 1948 wydobyto szczątki:

*por. Atasjana Usjana Mirwobajewa.
sierż. zw. Władimira Aleksandrowicza Owsianikowa
i Grigorija Fiedorowicza Pluty nieznanego stopnia.*

Pięć lat później, w roku 1953, przewieziono do Bolesławca i uroczystie pochowano znalezione resztki ciał:

*sierż. Iwana Jakowlewicza Szkuty,
Anatolia Wasiljewicza Kaszuby nieznanego stopnia,
szer. Iwana Makarewicza Korszunowa,
Aleksandra Iwanowicza Szinkarjaka nieznanego stopnia,
Aleksieja Panfilowicza Ulanowskiego nieznanego stopnia,
Mikołaja Leontjewicza Szurika nieznanego stopnia,
Aleksieja Zacharewicza Marzenki nieznanego stopnia
Grigorija Korniejewicza Listopada nieznanego stopnia.*

Wątpliwości budzi osoba Aleksandra Grigoriewicza Pińczuka, poległego jakoby w Ławszowej, którego odręcznie zapisane w wykazie nazwisko zostało później przez kogoś przekreślone.

Znana jest nam bliżej historia jednego z poległych w Parowej młodych Rosjan – Siergieja Iwanowicza Jerchowa. Siedemnastoletni chłopak zgłosił się do wojska na ochotnika. Szybko wcielony w szeregi Armii Czerwonej, zostawił swoje miejsce pracy oraz matkę i rodzeństwo pozostające pod jego opieką po śmierci ojca. Żyjąca do dziś siostra Siergieja zdążyła zamienić z nim tylko kilka słów, gdy zabrano go nagle wprost z miejsca pracy. Nigdy więcej nie zobaczyła brata, który po kilku latach zginął pod Tiefenfurttem – dzisiejszą Parową.

Siergiej Jerchow nie zginął natychmiast. Ciężko ranny zmarł w wyniku odniesionych obrażeń. Jego szczątki przewieziono na bolesławiecki cmentarz i tu pochowano. Grób brata dwukrotnie odwiedziła siostra, ostatnio – w 2008 roku. O dziwo, jego historię znają niektórzy starsi mieszkańcy Parowej, wiedzą też, gdzie wcześniej spoczywało prowizorycznie pochowane ciało Jerchowa i dwóch innych żołnierzy. Na tym miejscu, przy rozwidleniu głównych dróg opodal szkoły stoi dzisiaj duży drewniany krzyż.

Pierwsza powojenna polska wzmianka dotycząca Kliczkowa znajduje się w obszernym Sprawozdaniu Tygodniowym Nr 5 Pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, Michała Czarnoty-Bojarskiego. Obejmuje ono relację z działań tego urzędnika w czasie 20 – 26 maja 1945 roku. Ponieważ jest to dokument historyczny – mimo w istocie niezbyt ważnej jego treści w „kliczkowskim” fragmencie – warto go przytoczyć:

W chwili, gdy piszę ten raport wysłani memi końmi ludzie Hilgmanna przywieźli z Klitschdorfu szafkę na 50 numerów, okazała się jednak bardzo uszkodzona.

W innym, późniejszym sprawozdaniu Czarnota-Bojarski informował także o wielkiej bibliotece, złożonej z około trzydziestu tysięcy tomów. Znajdowała się ona wtedy jeszcze w zamku. Oznacza to, że nie padła ona łupem Rosjan, którzy po zajęciu wsi dokonywali wielu demontaży zastanych urządzeń mechanicznych i ekspediowali je na wschód. Bezmyślnie przy okazji uszkodzano, a nawet niszczone wiele przedmiotów – w tym i książki – traktując je jako wojenną zdobycz.

Latem 1945 roku okoliczny teren był niedostępny z powodu rozległych pól minowych, będących groźną pozostałością po przygotowaniach niemieckich do zatrzymania tu Armii Czerwonej. Oficer sowiecki dostarczył bolesławieckiemu Urzędowi Ziemskiemu specjalną mapę, na której wskazany był obszar, leżący w trójkącie ograniczonym Kliczkowem, Bolesławcem i zachodnim brzegiem Bobru. Ten znaczący fragment powiatu stanowił nadal śmiertelne zagrożenie dla ludzi i zwierząt.

Dopiero pod koniec lata 1945 roku żołnierze z 16 Samodzielnego Baonu Saperów 11 Dywizji Piechoty II Armii Wojska Polskiego oczyścili go z min. Powoli wkraczała na ziemię osiecznicką nowa epoka, ale do pełnej normalności było jeszcze daleko.

Zakończenie wojny nie oznaczało bynajmniej powrotu do normalności, szczególnie dla milionów ludzi, którzy na mocy porozumień jałtańskich musieli na zawsze opuścić swe domy.

Gmina Osiecznica, wchodząca w skład Ziem Odzyskanych, została niemal całkowicie pozbawiona dotychczasowych mieszkańców. Na ich miejsce przybyli osiedleńcy (repatrianci) z różnych części przedwojennej Polski i Europy. Osiedleńcy przybywający do powiatu bolesławieckiego trafiali najpierw do zorganizowanego w mieście tzw. punktu etapowego, gdzie byli ewidencjonowani, zaopatrywani w żywność, odzież, wstępnie badani przez personel medyczny i kierowani do tymczasowych schronisk.

Obowiązkiem badających było dokonanie podziału przybyłych na: czystych, zawszonych, świerzbowatych oraz zawszonych i świerzbowatych. Po dokonaniu tego podziału poddawano mężczyzn w razie potrzeby stryżeniu, wobec wszystkich miano zastosować kąpiel z użyciem nafty i proszku jako środków dezynfekcyjnych, a ich ubrania poddać odwszawianiu. Takie były wytyczne w zarządzeniu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Czy wszyscy poddani zostali tym zabiegom, trudno dziś powiedzieć, mając świadomość, w jak trudnych warunkach działali ludzie organizujący życie

w zrujnowanym mieście, powiecie, przy ciągłych brakach aprowizacyjnych.

Powiat bolesławiecki wyróżnił się spośród innych części Ziem Odzyskanych osiedleniem się tu niemal całej Polonii jugosłowiańskiej. Delegaci wybrani na Zjeździe Polaków w Jugosławii – po przeprowadzeniu rozmów z polskimi władzami oraz podróży na Dolny Śląsk i zapoznaniu się z panującymi tu warunkami – wybrali nasz właśnie powiat oraz kilka gmin powiatu lwóweckiego i kłodzkiego jako najbardziej zbliżone warunkami klimatycznymi do ziem dotychczas przez nich zamieszkiwanych. Pierwsze transporty przyjechały 6 i 8 kwietnia 1946 roku do Zebrzydowej, przywożąc w sumie ponad 200 rodzin, z których część osiedliła się na terenie gminy Osiecznica (wtedy jeszcze – gminy Kleszczowa – jak początkowo nazywano Kliczków), we wsi Ławszowa. Z dostępnych nam danych wiemy, że w czerwcu 1946 roku na teren gminy przybyło 171 rodzin (581 osób), które przywiozły ze sobą 44 konie, 140 sztuk bydła i 49 świń. Z czasem Polonia jugosłowiańska stała się najliczniejszą grupą osadniczą na terenie gminy Osiecznica.

Osiedlały się tu oczywiście także inne, bardziej lub mniej zwarte grupy. Ze wspomnień mieszkańców wiadomo, że wkrótce po wojnie można było usłyszeć tu rozmowy w wielu językach. Poza polskim i niemieckim słyszało się ukraiński, białoruski, francuski, serbski. Poza zorganizowanymi transportami z Jugosławii czy Kresów Wschodnich przyjeżdżali tu indywidualnie osiedleńcy z rzeszowskiego, kieleckiego i innych części Polski, które zostały zniszczone w wyniku działań wojennych lub już przed wojną były biedne i przeludnione. Ziemie Zachodnie wielu ludziom wydawały się szansą na poprawę życia.

Jedną z takich historii usłyszeliśmy od pana Soroki, mieszkającego dziś w Kliczkowie. Jako nastolatek został wywieziony z Czortkowa koło Tarnopola. Po zakończeniu wojny nie miał dokąd wracać. Czortków znalazł się za wschodnią granicą, a rodziny nie miał żadnej. Postanowił rozpocząć nowe życie na Ziemiach Odzyskanych. Z transportem Polaków powracających do kraju dotarł do Dziedzic, a stąd do Bolesławca. Urząd repatriacyjny

skierował go do pracy w szlifierni szkła w Osiecznicy. Był tu między innymi świadkiem wywożenia przez Rosjan urządzeń tego zakładu. Został pierwszym w Kliczkowie ministrantem, pomagając w odprawianiu mszy księdzu Orłowskiemu. Otrzymał w przydziale dom, w którym mieszka do dziś w małowniczym miejscu tuż nad Kwisą. Tu również sprowadził swoją żonę, która jak wiele innych osób przyjechała z lubelskiego szukać szans na lepsze życie.

Przez ponad dwa lata po zakończeniu wojny na terenie całego powiatu mieszkali jeszcze Niemcy. Akcja przesiedleńcza zakończyła się 5 XI 1947 roku, gdy w Bolesławcu zamknięto Punkt Zborczy dla Niemców. Do tego czasu wysiedlenia odbywały się etapami. Z uwagi na konieczność uruchomienia i utrzymania produkcji w uruchamianych po wojnie zakładach wielu fachowców niemieckich zwalniano z akcji wysiedleńczej do czasu zatrudnienia lub wykszolenia polskiej kadry. Jedną z takich osób był Fritz Meltzer, robotnik z osiecznickiej szlifierni kryształów. Po wojnie pracował w niej nadal, aż do zamknięcia zakładu w roku 1949.

Został w niej nie tylko pracownikiem, ale i nauczycielem zawodu szlifiarza. Jego córka, Greta, poznała w Osiecznicy swego przyszłego męża, z pochodzenia warszawiaka, który straciwszy w stolicy całą rodzinę postanowił zacząć nowe życie na Ziemiach Zachodnich.

Władze państwowe umożliwiły również pozostanie w Polsce dużej grupie obywateli niemieckich, która mogła wykazać jakikolwiek związek z polskością. Zarządzenie Ministerstwa Ziem Odzyskanych z 6 IV 1946 roku mówiło, że:

...polskie pochodzenie narodowe mogło być określone na podstawie: dokumentów, brzmienia nazwiska, pokrewieństwa z Polakami. Łączność z narodem polskim mogła być udowodniona przez: przynależność do polskich organizacji, udział w walce o sprawę polską, posługiwanie się językiem polskim, pielęgnowanie rodziny polskich obyczajów, solidaryzowanie się z Polakami w okresie panowania niemieckiego.

Jak widać, kryteria były bardzo rozległe i wielu chętnych do pozostania mogło skorzystać z tej możliwości.

W Parowej zrobiła tak rodzina pani (obecnie) Maciejewskiej, urodzonej w Parowej w mieszanej, polsko-niemieckiej rodzinie pracowników zakładu ceramicznego Tuppacka. Początkowo uznano ich za Niemców i zamierzano wysiedlić.

Wywiezieni zostali już nawet do pierwszego punktu zbornego, urzędnicy dość szybko jednak uznali, że dwujęzyczne małżeństwo ma pełne prawo, aby pozostać w swym domu. Wkrótce okazało się, że są jedynymi z dawnych mieszkańców Parowej, którzy pozostali. Wkrótce sąsiednie domy zaczęli zajmować nowi lokatorzy – głównie repatrianci jugosłowiańscy – którzy, przynajmniej na początku, mieli pełną swobodę w wyborze domu, który chcieliby zająć. Jak wspomina pani Maciejewska, przyjeżdżało również wielu pojedynczych osadników z rzeszowskiego i kieleckiego, głównie do pracy w lesie. Niektórzy z nich pracowali tylko sezonowo, ale część postanowiła zamieszkać tu na stałe.

Powojenny czas tworzenia polskości na całych Ziemiach Zachodnich to okres ciągłych przemian, migracji, poczucia chwiejności budowanych często od podstaw struktur państwowych. Nie inaczej było w gminie Osiecznica (której siedzibą zresztą przez krótki czas po wojnie nie była wieś Osiecznica, lecz Kliczków, nazywany wtedy Kleszczową). Wielu przybyłych wielokrotnie zmieniał miejsce zamieszkania nie tylko w ramach jednej wsi, ale i całego powiatu, niektórzy wyprowadzali się jeszcze dalej. Ponowne zaludnianie opuszczonych miejscowości trwało kilka lat, a większość z nich nie osiągnęła bardzo długo stanu liczebnego sprzed wojny.

O trudach zagospodarowywania Ziemi Odzyskanych napisano już wiele książek, nakręcono filmy dokumentalne i fabularne, nadal jednak jest to temat fascynujący badaczy historii i wart stworzenia osobnych opracowań.



Pierwsza prywatna „warszawa” w Parowej



Pracownicy gospodarstwa rybackiego w Parowej



Bazant

Łowiectwo towarzyszy człowiekowi od zawsze, swoją historią sięga prapoczątków istnienia ludzkiego rodu. Kiedyś, u zarania dziejów homo sapiens, polowania stanowiły podstawowe zajęcie pierwotnych myśliwych, od których zręczności, wytrwałości, sprytu i odwagi zależała egzystencja całych plemion. Dzika zwierzyna dostarczała bowiem nie tylko mięsa na pożywienie, ale również skór służących jako zabezpieczenie przed chłodem. Dla ludów preryjnych stanowiły one dodatkowo trwałe i doskonałe materiały do budowy namiotów. Wykorzystanie ubitych sztuk było zresztą znacznie szersze – jelita i żyły przez dziesiątki lat zakładano jako niezwykle mocne cięciwy łuków i kusz, a nawet elementy napinające ciężkich neurobalist. Twarde kości i poroża po wyostrzeniu zmieniały się w noże, groty strzał, skrobaczki i igły.

Takie łowiectwo dawno temu zatraciło swoje podstawowe znaczenie, a jednak tysiące ludzi na całym świecie z zapałem oddaje się tej pasji, budząc u jednych marzenia o przeżyciu wspaniałych przygód na łonie przyrody, u innych rodząc sprzeciw, poparty oskarżeniami myśliwych o okrucieństwo i zabijanie dla zabawy. Trzeba jednak pamiętać, że współczesne przetrzebione bory nie są już w stanie bez ingerencji człowieka – nawet pozornie brutalnej – zapewnić warunków do całkowicie naturalnego, niekontrolowanego bytowania dzikiej zwierzyny. Dzisiaj tylko prawidłowa gospodarka – w tym głównie zabiegi hodowlane prowadzone przez koła łowieckie – pozwalają na utrzymanie równowagi w rozchwianej biocenoze leśnej.

Puszcza pokrywająca teren gminy Osiecznica dzięki swojemu bogactwu zawsze stanowiła obszar wyjątkowo zachęcający do organizowania w niej polowań. Wszak żyły w jej dzikich ostępach liczne gatunki zwierząt, wśród których prym wiodł niewątpliwie jelen. Kiedy zbliżał się czas rykowisk, z wielu zakątków kniei dobiegał gardłowy zew byków, szukających łań i wyzywających rywali na pojedynki. Wkrótce też nad tratowanymi wrzosowiskami słychać było stukot uderzających o siebie wieńców.

Zdarzało się, że walczące zwierzęta nie mogły rozdzielić splątanych rogów i ostatecznie ginęły z głodu i odniesionych obrażeń.

Szczególnie wiele jeleni musiało u p o d o b a ć sobie niegdyś okolice lewobrzeżnej Ławszowej. Rykowiska były tam tak

huczne, że odnotowano ten fakt w starych kronikach, mówiących o historii okolic wsi.

Innym dużym zwierzęciem płowym był łopatacz daniel, nie brakowało także saren. Ich imponujące wielkością rudle wieczorami wychodziły śmiało na podłeśne pola. W ukrytych w głębi borów matecznikach, chroniących swoich leśnych lokatorów przepastnymi bagniskami, bytowały dziki, a w różnych dziuplach i zakamarkach skalnych żyły wiewiórki, kuny leśne, tchórze i łasice. Wśród młodych samosiejek świerków i sosen często migały rude

futra lisów, na pniach i rozwidleniach koron wiekowych drzew siadywały przyczajone rysie, a nocą z wydrążonych w ziemi nor wychodziły na łowy borsuki. Poczciwe zające również znajdowały tu dobre warunki do w miarę bezpiecznej egzystencji, toteż rozmna-

żały się nadzwyczaj szybko mimo systematycznego trzebienia ich populacji przez wszelakie drapieżniki, między innymi oczywiście i wilki. Warto wspomnieć w tym miejscu, że jeszcze w roku 1700 odnotowano upolowanie w okolicach Pstrąża ponad dwudziestu sztuk tych inteligentnych, owianych groźną sławą zwierząt.

Brzegi Kwisy zasiedlały wydry, żyło tu też wiele bobrów, a ich tamy i żeremia widniały także przy innych, mniejszych ciekach wodnych w puszczy.



Kliczkowski gajowy

Okolica znana była także z występowania głuszca i cietrzewia. Tokowiska tych ptaków w okresie godów niosły daleko odgłosy ich miłosnych treli.

Oczywiście wymienione zwierzęta i kuraki nie stanowią pełnego zestawienia gatunków zasiedlających osiecznickie lasy, bowiem przylatywały tu nad Kwisę i leśne zbiorniki wodne dzikie kaczki i gołębie, na polach zaś stroszyły kolorowe pióra wypuszczane z wolier bażanty. W najdawniejszych czasach do najdzikszych połaci puszczy docierały nawet niedźwiedzie i łosie.

Obecnie większość wymienionych gatunków ciągle jeszcze ma tu swoich przedstawicieli, jednak nie tak licznych jak przed wiekami i nieco bardziej „ucywilizowanych” – mniej bojących się człowieka i jego hałaśliwego świata. Niestety, nie jest to cecha przyczyniająca się do bezpieczeństwa owych mieszkańców lasu, wręcz przeciwnie...

Jak wspomnieliśmy, pierwsi ludzie na tej ziemi żyli głównie z polowań, lecz były to łowy służące przede wszystkim zaspokojeniu ich najważniejszych potrzeb życiowych. Z czasem wyprawy myśliwskie, zwłaszcza na grubego zwierza,

stały się ekskluzywną rozrywką, a posiadacze wielkich majątków zaczęli uważać siebie za jedynych uprawnionych do zabijania we własnych lasach jeleni, saren czy dzików. Ich upolowanie przez poddanych – o ile nie służyło pańskim potrzebom i odbyło się bez ich wiedzy i zgody – stanowiło poważne, surowo karane przestępstwo. Służba dworska i chłopci byli jedynie siłą naganiającą zwierzynę i zajmującą się oprawianiem zdobytych tusz...

W lasach osiecznickich i kliczkowskich wytwornym myślistwem zajmowali się także przedstawiciele miejscowej arystokracji, właściciele ogromnych dóbr i zapraszane przez nich osobistości. A polowano nawet na orły, już ponad 150 lat temu będące tu rzadkością. Nie przeszkadzało to jednak najwidoczniej żadnym wrażeń arystokratom, skoro w trakcie łowów 1 grudnia 1856 roku zastrzelono olbrzymiego orła przedniego, którego krańce skrzydeł – po ich rozpostarciu – oddaliły się od siebie o blisko dwa metry!

Właściciel zamku, książę Solms-Baruth, nie ograniczał łowieckich wypraw jedynie do własnych lasów, jeździł po całej Europie, a nawet zapuszczał się w azjatycką tajgę.

Na początku 1870 roku wrócił z polowania na dalekiej Syberii, przywożąc stamtąd pięć małych niedźwiadków, które potem żyły jako wolne zwierzęta w rozległym parku dworskim, stanowiąc atrakcję dla gości.

Tutejsze łowiska odwiedzał Jego Wysokość cesarz niemiecki Wilhelm II, mający dość odległe powiązania rodzinne z Solms-Baruthami. Jak skrętnie odnotowano, bywał on w kliczkowskiej warowni i na polowaniach w latach 1890, 1897, 1906 i 1911. Pragnąc szczególnie uhonorować te wizyty, ustawiono w puszczy kamienny pomnik, upamiętniający przede wszystkim łowy z udziałem monarchy, odbyte dnia 5 grudnia 1906 roku.

Monument ma postać dużego, półtorametrowego głazu z wyrytym na nim napisem okolicznościowym, który w dużej części został poważnie zniszczony. Można się jednak zorientować, że cesarz strzelił wtedy dużego byka o porożu posiadającym osiemnaście odnóg, kolejnego o wieńcu mającym ich szesnaście i sześć następnych samców o rogach z czternastoma odnogami. Ponadto padło kilka pomniejszych byków i łań oraz innych zwierząt. O wszystkich trofeach Cesarza i Króla Wilhelma II – jak rozpoczynał się napis na pomniku – informował niewątpliwie wcześniej cały jego tekst, którego mizerna pozostałość w roku 1999 wyglądała następująco :



Bryczka z dostojnymi gośćmi na dziedzińcu zamkowym

Strecke/ S>M> des Kaisers u. Königs

Wilhelm II5.12.1906/1 Hirsch von 18 Enden/

..... 16/614/1.....2/1 Rotter/ 2 Dart...sch...ufler.

O tym, że odwiedziny wybitnych osobistości w Kliczkowie interesowały ówczesną prasę, można się przekonać, oglądając zachowany egzemplarz periodyku Schlesien z roku 1912. Zamieszczono w nim zarówno obszerną notatkę informującą o pobycie następcy tronu w zamku, jak i zdjęcie z tej wizyty. Przedstawia ono karocę zaprzężoną w dwa konie i stojącego na niej, goszczącego w warowni młodego sukcesora, dalej dostrzegamy jego żonę, księżnę Solms-Baruth – oraz ich gospodarza, miejscowego księcia Solms-Baruth, odzianego w dość groteskowy dla dzisiejszych myśliwych strój nemroda, składający się z kurtki, kapelusza z obowiązkowym piórkim i krótkich spodni. Ubiór uzupełniały podkolanówki i trzewiki.

Fakt bywania koronowanych głów na polowaniach w kliczkowskich dobrach znalazł także odzwierciedlenie w obszernym, bardzo poważnym wydawnictwie fachowym z roku 1899, wydanym w Berlinie w drukarni Paula Pareva, noszącym tytuł *Zwierzyna płowa*. Księgę tę, niezwykle starannie opracowaną w wyłaczaną, zdobioną złoceniami i barwnym rysunkiem jelenia okładkę, opatrzono również wieloma ilustracjami.



Cesarz Wilhelm II na dziedzińcu zamkowym

Na jej dwudziestej stronie opisano myśliwskie trofea wcześniejszego władcy Niemiec, zdobyte w trakcie pobytu u Solms-Barutha.

Do Kliczkowa zajeżdżali również inni arystokraci, co skrzątnie

odnotowywano w annałach z epoki. Wiadomym więc jest, że 3 kwietnia 1732 roku przywitano na dziedzińcu zamkowym księcia lotaryńskiego, przybywającego od strony Bolesławca w doborowym towarzystwie hrabiego von Kufsteina. W zapiskach nie podano pełnego wyglądu książęcego orszaku, ale niewątpliwie w jego poczet wchodziła liczna służba i wóz ze stosownymi bagażami dostojnych gości.

Ich odwiedziny – o czym zresztą wspomniano w dokumencie – spowodowane były przede wszystkim rozpoczęciem toków głąszca i organizacją wystawnych polowań na tego ptaka.

Zapewne przez zamek i tereny łowieckie przewinęło się znacznie



więcej posiadaczy błękitnej krwi, jednak nie tak ważnych, jak osoba monarchy czy księcia lotaryńskiego.

Niejakie pojęcie o takich wizytach, dają nam odnalezione fragmenty ***Dziennika z Kliczkowa***, będącego kronikarskim odzwierciedleniem co-

dziennych zajęć stałych mieszkańców zamku, a także odwiedzających jego mury gości – poza najczęściej zamieszczanym opisem wspólnych posiłków, spotkań przy kawie bądź nawet przytaczaniem drobnych ploteczek poczesne miejsce zajmują wspomnienia o organizowanych nadzwyczaj często polowaniach. Niestety, ocalony fragment tej ciekawej lektury obejmuje jedynie czas od początków grudnia 1873 roku, do 18 marca roku 1784.

I tak we wtorek 2 grudnia 1873 roku wspomniano o darowaniu przez niejakiego Fryderyka von Gesselna bażantów doktorowi Zumpe, sprawującemu zapewne stale opiekę nad zdrowiem rodzi-ny ówczesnego właściciela zamku,



Pokot po polowaniu w dawnym Kliczkowie

hrabiego Jana Krystiana Henryka Hermanna zu Solms-Teklenburg. Po sutym, wytwornym śniadaniu goszczący u niego w Kliczkowie mężczyźni udali się na polowanie, w trakcie którego ustrzelili dziewięć dzików.

Następna wzmianka o łowieckich wyczynach gości pochodzi z 14 stycznia 1874 roku, na samotne spotkanie ze zwierzyną wyruszył wtedy do okolicznych lasów starosta, jako trofea przywożąc dziesięć zajęcy i jednego jelenia.

Z kolei 22 stycznia odbyło się małe polowanie na zające, przy okazji którego zabito dwa dzikie króliki. W notatce z 27 stycznia podano natomiast, iż jeden z gości, doktor Hartel zastrzelił dziką w tak zwanym ogrodzie myśliwskim przy Piaszczystej Górze.

3 lutego tegoż samego roku w łowach uczestniczyli dwaj myśliwi z Ameryki, nie podano jednak w „Dzienniku” ich imion ani nazwisk. W trakcie pędzenia podczaszy z posiadanej broni uśmiercił grasującego w okolicy, czarnego psa.

Już 16 lutego wspomniany wcześniej doktor Zumpe popisał się ubiciem dużego, rudego jelenia. Następny „łowiecki” wpis dotyczy 25 lutego. W tym dniu syn starosty Eberharda jadąc konno, zdołał położyć ogromnego odyńca.

Dość nietypowe wydarzenie miało miejsce 2 marca, kiedy to jeden ze strażników leśnych zastrzelił orła przedniego. Osiem dni później odnotowano kolejne trofea doktora Hartela – niewielkiego, dwuletniego dziką, podarowanego następnie jako prezent pani von Kotze z Ławszowej. Wreszcie 17 marca ów zawołany strzelec ponownie przywiózł z łowów dwa dziki.

Ostatni ocalony fragment „Dziennika” kończy się na dniu 18 marca 1874 roku, ale zapewne w nieznanym nam częściach również wiele pisano o polowaniach i osobach w nich uczestniczących.

Jedno jest pewne. To głównie możliwym tamtego świata służyły różne domki i wzniesione w okolicznych lasach chaty. Patrząc na najstarsze mapy ziemi osiecznickiej, widzimy na nich rozsiane po kniei gajówki i ekskluzywne „chaty” myśliwskie, wyposażeniem zupełnie nieprzypominające wiejskich, skromnych domostw. Na tych samych planach wyrysowywano też skrupulatnie paśniki.

Część z nich, zwłaszcza tych wzniesionych daleko od ludzkich sadyb, podbudowywano trwałymi, piaskowcowymi bądź ceglanymi piwnicami, służącymi do gromadzenia i przechowywania karmy.



Abbildung 53. Futterplatz für Rotwild.

Nieliczne z owych loszków przetrwały do dzisiaj. Zapewne rozpalają one wyobraźnię niektórych przygodnych grzybiarzy czy turystów, bowiem ci namiętnie rozkopują pobliski teren lub nawet rujnują ściany, podłogi i stropy tych – niegdyś tak pożytecznych – magazynów w poszukiwaniu urojonych skarbów. Warto zauważyć, iż niemal wszystkie wymienione obiekty obdarzano specyficznymi nazwami.

Bardzo dobrze zachowała się samotna piwniczka w bezpośrednim sąsiedztwie dawnej gajówki Marienhaus, na powojennych mapach określanej mianem Marianówki. Wybudowano ją pod koniec XVIII lub w pierwszych latach XIX wieku – zapewne na miejscu jakiejś smolarni – mniej więcej w połowie drogi oddzielającej Osiecznicę i Parowę, przy dawnej leśnej Drodze Domu Marii. Około kilometra na południe od jej ruin przebiega obecnie główna szosa prowadząca w kierunku Ruszowa.

Zapewne jeszcze przez wiele lat ślady istnienia tej gajówki i sąsiadującego z nią domku myśliwskiego oraz obiektów gospodarczych, obróconych po wojnie w stertę gruzów, pozostaną rozpoznawalne,



bowiem mimo upływu czasu dość trwale wyznaczają je pagórki pokruszonych cegieł, przemieszanych z ułamkami piaskowca, resztkami dachówek, jakichś kamionkowych naczyń i charakterystycznej, niebieskawej szlaki.

W latach sześćdziesiątych XIX wieku ta puszczańska wartownia była chętnie odwiedzana przez melancholijną i chorą młodziutką hrabiankę Jenny, przyjeżdżającą tu najpewniej wspomnianą już Droga Domu Marii, prowadzącą wprost z kliczkowskiej siedziby Solms-Baruthów. Jadąc nią, mijała paśnik obdarzony dziwaczną nazwą Westchnienie Kruka.

Podobny, wkopany częściowo w ziemię magazynek, zlokalizowany jednak znacznie bliżej innej leśniczówki – zresztą także całkowicie po wojnie zniszczonej – można dostrzec niemal u samego podnóża wysokiej wieży pożarowej,

zwieńczonej dodatkowo drewnianą amboną, a wzniesionej opodal malowniczego niegdyś *Zameczku Myśliwskiego*. Wybudowano go na wzniesieniu zwanym Hermanówką – dawniej Hermannsberg – niemal dziesięć kilometrów na południowy zachód od Tomisławia. Dobiegała w jego pobliże leśna arteria komunikacyjna o nazwie Droga Zamkowa, biorąca początek przy osiecznickim, dzisiaj już nieistniejącym zamku. Opodal gajówki stał w lesie paśnik zwany Ziębią Górą, a nieco dalej Paśnik Zwierzęcy i Paśnik Zwierzyny Płowej.

Tam też piękną, łowiecką dekoracją podwórka gajówki, widzianą jeszcze po wojnie, była metalowa rzeźba jelenia, ustawiona na kamiennym cokole. Wspominał ją jeden z pierwszych polskich leśników na tym terenie, pan Korczyński.

Jego rekonesans, przeprowadzony w tamtym rejonie w towarzystwie drugiego pracownika nadleśnictwa

bodaj późną jesienią 1945 roku przy użyciu jakiegoś zdezelowanego, przygodnie wypożyczonego samochodu, przysporzył dwóm pionierom polskiej administracji sporo emocji.

Przy samych ruinach domostwa odkryli oni zwłoki niemieckiego, umundurowanego gajowego, przykryte plamiastą pałatką. Widok trupa po latach wojny nie stanowił dla nich zaskoczenia, ale wracając zauważyli idącą lasem grupkę mężczyzn, uzbrojonych w różnorodną broń wojskową. Ich odzienie, na które składały się wszelakie elementy umundurowania rosyjskiego i niemieckiego, wykluczało przynależność oddziału do regularnej armii. Na szczęście nie próbowali oni zatrzymać Polaków.

W związku z tą przygodą wstrzymano na jakiś czas wyjazdy w tamtym kierunku, a wojsko przeczesało teren, niczego jednak nie znajdując. W międzyczasie przepadła też zabrana z cokołu przez nieznaną sprawców sylweta jelenia, odlana najprawdopodobniej z mosiądzu.

Inną pamiątką, nieznaną dzisiaj ogółowi współczesnych mieszkańców gminy, a wiele mówiącą o łowieckiej przeszłości osiecznickich lasów, są zachowane na dawnych mapach tego terenu nazwy miejscowe. Niektóre z nich już wymieniliśmy. Obdarzano nimi wszelkie pagórki, leśne dukty, strumienie i uroczyska tudzież gajówki, domki myśliwskie i paśniki. Imion używała im zwykle bytująca tu zwierzyna, dzikie ptactwo i dostojni przedstawiciele szaty roślinnej.



Leśna piwniczka opodal pomnika „Pod ostatnim jeleniem”

Bodaj najczęściej przywoływanym w owym nazewnictwie mieszkańcem tutejszych borów był lis. Nieco mniejsze powodzenie miał poczciwy dzik, a jelenia – o dziwo! – spotykamy w przebrzmiałym nazewnictwie dość rzadko. Nawet długo nieobecne tu fizycznie wilki używały także swojego imienia.

W borach zlokalizowanych w okolicach Świętoszowa, Poświętnego i Osieczowa znajdujemy więc wśród wielu charakterystycznych określeń przecinek leśnych takie nazwy, jak: Linia Wilczej Góry, Linia Źródła Strzelca, Linia Pagórka Jelenia, Linia Wolego Rogu, Linia Kozia czy Linia Myśliwego.

Tu konieczna jest dygresja. Język myśliwych ma swoje określenia, które człowiek spoza tego grona może niewłaściwie zinterpretować. Słowo koza oznacza w nim samicę sarny. Trudno jednak powiedzieć, czy właśnie o nią chodzi w tym przypadku.



Była też pod samą Osiecznicą Lisia Gospoda, a nieco dalej od wsi Lisia Góra i Kozi Grzbiet. Z kolei jeden z zagubionych w lesie domków myśliwskich nazwano Przy Źródle Strzelca.

Stał on niemal dokładnie na północny wschód od miejsca, gdzie niegdyś w Kliczkowie istniała elektrownia wodna. Wędrując od niej do gajówki trzeba było przeciąć trasę żagańską, potem szło się w pobliżu specjalnego, otoczonego płotem terenu, Ogrodu Odłowów, wreszcie docierało do

Stranser Linie (Linii Pstrąży), po czym mijało z daleka leżący po lewej stronie marszruty, ukryty w głębi kniei zakątek Pod Martwym Człowiekiem. Na jego wysokości, po prawej stronie przecinki, w odległości dwustu metrów od niej stał Paśnik Iglany. Potem był już Dom Źródła Strzelca, który od Kliczkowa dzieliła odległość blisko 9 kilometrów

Także na północny wschód od miejsca zlokalizowania odkrytej

ujeżdżalni koni, w odległości niewiele przekraczającej cztery kilometry od klickowskiego zamku, istniała gajówka Lipowy Ogród. Siedemset metrów od niej zbudowano drewniany Paśnik Lipowego Ogrodu.

Warto w tym miejscu kilka słów poświęcić także wspomnianemu torowi hippicznemu. Utworzono go w lesie, w odległości jednego kilometra na wschód od zamku. Wykorzystano w tym celu płaski teren tuż za gruntową Drogą Żagańską, położony w pewnej odległości od stromej skarpy doliny Kwisy. Ów okrągły maneż miał średnicę liczącą blisko trzysta metrów, a jego dokładnie wyznaczone koło przecinały dwie, prostopadle do siebie przebiegające drogi, przecinające się w centrum ujeżdżalni. Dokładnie w jej środku przygotowano kolejny paśnik.

Niektóre z nazw miejscowych wyraźnie wskazywały na szczególne zainteresowanie określonych rodzajów zwierzyny pewnymi terenami. I tak rozległy, porośnięty dawniej olchą obszar w głębi borów opodal Ławszowej – zapewne chętnie odwiedzany przez królewskich mieszkańców tamtejszej puszczy – określano mianem Jeleniego Pastwiska.

Przytoczmy jeszcze – bez wskazywania dawnej, dokładnej lokalizacji tych nieistniejących przecież od dawna obiektów – kilka nazw, nadanych niegdyś owym urządzeniom hodowlanym. Były to choćby Paśnik Pożaru, Paśnik Przy Skrzyżowaniu, Paśnik Owczy, Paśnik Wielka Buda i Paśnik Lumpa. Te i inne miana ułatwiały orientację terenową, a jednocześnie czyniły bardziej charakterystycznymi określone miejsca.

Niejako na marginesie łowieckich rozważań warto zwrócić szczególną uwagę na nazwy trzech przecinek. Oto bowiem w okolicach Świątoszowa przebiegają linie, noszące jeszcze w latach czterdziestych dwudziestego stulecia dość specyficzne jak na Niemcy imiona.

Jest to Linia Piastowska, Linia Radziwiłła i Linia Stanisława

Kiedy w nazistowskiej III Rzeszy zmieniano zbyt słowiańsko brzmiące nazwy na typowo germańskie, te, nie wiedzieć dlaczego, na szczęście pozostawiono, i tak też je wykazywano na mapach.



Meandrująca Kwisa

Ukryte w głębi puszczy, po ostatniej wojnie zarastające, w bezpośrednim sąsiedztwie trudno dostępnego obszaru sowieckich poligonów – popadły w całkowicie zapomniane. Może więc warto przynajmniej Linie Piastowską przywrócić w oficjalnym nazewnictwie ?

Jak już kilkakrotnie wspomnieliśmy, lasy osiecznickie i sam niewielki Kliczków od wieków urzekały zjeżdżających tu myśliwych przyrodą i bogactwem zwierzyny, a stojący w otoczeniu przepięknego parku zamek stanowił centrum łowieckich spotkań elity. Często też z głębi puszczy dobiegały głosy rogów, ujadanie gończych psów i huk wystrzałów.

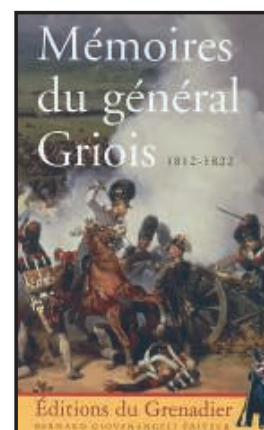
Zatopiona w tak dorodnych borach dolina Kwisy obfitowała również w urokliwe, romantyczne zakątki, chętnie więc odpoczywali nad jej nurtem utrudzeni łowami nemrodi i wędrujący po tej okolicy turyści.

Meandrująca rzeka wypłukała w ciągu minionych tysięcy lat liczne naturalne tarasy i pozostawiła martwe zakola. Przeciskając się w pobliżu Osiecznicy pomiędzy głazami, swoim szumiącym dziełem sprowokowała ludzi do tworzenia barwnych legend, uzasadniających ingerencją szatańskich sił powstanie jej przełomu.

Ale i bez czartowskiego udziału zdarzają się nad nią niezwykle przygody, także współcześnie. O jednej z nich chcemy napisać, rozpoczynając krótką opowieść od początku

Otóż w trakcie kampanii napoleońskiej w Kliczkowie kwaterował jeden z dowódców francuskiego cesarza, generał Griois. W listach wspomina on swoje wrażenia z tej malowniczej wsi. Szczególnie chwali polowania, które urządził marszałek Marmont dla grona swoich wyższych oficerów, oraz warunki, jakie stwarzał przebywającym tu na kwaterach miejscowy zamek. Może to właśnie w tym czasie doszło do pozostawienia na dębie, stojącym w mateczniku puszczy na wysokiej, nadkwiskiej skarpie nadbrzeżnej, szczególnego świadectwa dziejących się tam niegdyś wydarzeń?

W trakcie bowiem potężnej burzy napór wichru rozdarł ogromny pień owego wiekowego mocarza, którego połamana korona opadła na pobliskie zarośla, zamykając jedną ze zwierzęcych ścieżek, prowadzących do wodopoju.



Konary oplecione krzakami jeżyn powoli próchniały, wiosną zarastając obficie wysokimi pokrzywami i stanowiąc doskonałe schronienie dla dzików, chętnie przebywających w plataninie butwiejących gałęzi i łodyg młodych krzewów; tym bardziej, że okolica była spokojna, odległa od ludzkich sadyb, tu i ówdzie podmokła i obfitująca w inne dęby, dostarczające czarnej zwierzynie ulubionych żołądździ.

Nadgryzione zębem czasu, kruszejące gałęzie skrywały prawdziwą niespodziankę – w rozwidleniu najgrubszych konarów tkwił wrośnięty głęboko zaśniedział łancuszek, do którego przypięto niegdyś staroświecką, mosiężną lunetę. Jej korpus przez dziesiątki lat pokrył się licznymi, kolorowymi plamami tlenków, brakowało też okularu, najprawdopodobniej w trakcie wcześniejszych burz – a może i tej, która powaliła drzewo – wypadł on z przyrządu. Ocalona soczewka dawno zmatowiała, a wnętrza rury wypełniały gniazda pajaków. W oczywisty sposób rodziło się pytanie: kto i w jakich okolicznościach pozostawił ten, nienoszący żadnych znaków producenta, przyrząd optyczny? Czy służył on jakiemuś wojskowemu, napoleońskiemu zwiadowcy, śledzącemu z góry nurt rzeki i być może przemieszczających się w jego pobliżu ludzi, czy była to luneta dawnego, samotnego myśliwego? Co spowodowało, że pozostała na drzewie, zawieszona niegdyś na cienkich wtedy gałązkach? A może jej ostatni właściciel nie zapomniał jej zabrać, tylko sam musiał opuścić to miejsce w gwałtowny sposób, wykluczający myślenie o lunecie? Wszystkie te pytania pozostaną na zawsze bez odpowiedzi.

Mimo usilnych poszukiwań nie udało się odnaleźć okularu, w pobliżu powalonego wichrem olbrzyma nie było też żadnych innych przedmiotów wykonanych ludzką ręką. W ciągu kolejnych lat rozpadły się w pył twarde, dębowe gałęzie i tylko mosiężna rura uszkodzonej lunety przypomina, że ktoś kiedyś w nieznanych okolicznościach pozostawił ją wysoko na drzewie, opodal nurtu Kwisy i malowniczego Kliczkowa.

Wśród zapomnianych, startych przez czas obiektów, które odeszły w niebyt wraz ze swoją nazwą, znalazł się także domek myśliwski, zlokalizowany na terenie obfitującym w mokradła, porośniętym niegdyś gęsto brzozą i olchą. Ta ciekawa chata, postawiona w centrum dawnego rykowiska,

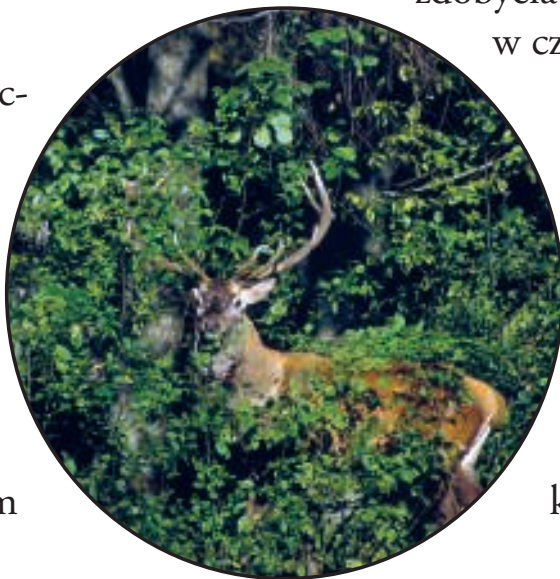
trzysta metrów na zachód od Drogi Żagańskiej, posiadała w przyziemiu potężne mury, stanowiące fundament drewnianego, stylowego obiektu. Zniknął on już jednak w latach trzydziestych dwudziestego wieku, a pozostały po nim tylko pojedyncze kamienie. Pośród nich przetrwała wiekowa, ciężka, omszała butelka, wydmuchana ustnie z zielonego, mocno zanieczyszczonego szkła. Opatrzono ją napisem:

MINER:WASS:
DR: STRUVE
IN DRESDEN
&
LEIPZIG

Inną pamiątkę po latach świetności chaty stanowiła też mosiężna gilza od naboju, wyprodukowanego w roku 1893 w Kilonii.

Na ziemi osiecznickiej zachowało się w lasach jeszcze kilka imponujących rozmiarami kamiennych monumentów, mających przypominać przygodnym

wędrowcom o dokonaniach dawnych myśliwych. Nie chodziło jednak przy ich stawianiu o przeciętnych łowców, lecz – podobnie jak w przypadku opisanego wcześniej głazu, poświęconego cesarzowi Wilhelmowi II – o ludzi szlachetnie urodzonych. Polowali oni głównie na zwierzynę także zaliczaną do „arystokracji” wśród dzikich mieszkańców kniei. Za taką – jak wspomnieliśmy – uważano przede wszystkim jelenie. One podziwiane były zresztą zawsze również przez rzesze artystów malarzy, na wielu płótnach, deskach, a także arkuszach rysunkowych, wyrażających doskonałość proporcji ciał byków, pędzących z podniesioną dostojeństwem głową i położonym na tułowiu wieńcem. Często wdzięcznym tematem obrazów stawały się wizje walczących samców, dążących do zdobycia swojej wybranki w czasie rykowisk.



Warto więc dokładniej przyjrzeć się choćby dwóm ocalałym, osiecznickim, puszczańskim głazom – pomnikom.

Poświęcono je co prawda głównie myśliwym, ale przecież mówią one i o pięknej, szlachetniej zwierzynie płowej.

Pierwszy z nich ustawiono w pobliżu śródleśnej polany, dwieście metrów na północny zachód od dawnej gajówki Marienhaus. Jak głosi wykuty tekst, zatytułowany *Pod ostatnim jeleniem* – tu 10 grudnia 1920 roku książę Solms-Baruth położył swojego ostatniego, kapitalnego byka, którego wieniec – jak to skrupulatnie odnotowano na pomniku – miał 14 końcówek. Co więcej, dodano, iż był to 1348 lub też nawet 1378

(trzecia cyfra została poważnie uszkodzona i nie można jej jednoznacznie odczytać) jeleni – trofeum arystokraty czworga imion: Friedricha Hermana Johanna Georga.

Równie ciekawy, a może nawet przez swoją inskrypcję

jeszcze bardziej interesujący, jest głaz w pobliżu dawnej wsi Poświętne, której domostwa w przeważającej części zostały starte z powierzchni ziemi. Ich miejsce od kilkudziesięciu lat zarasta las. Na przewróconym obecnie kamieniu, w wykutym owalnym umieszczono informację, że właśnie tam 11 września 1886 roku arystokrata trojga imion: Otto Carl Constantin zu Solms-Sonnerwaldt również uśmiercił królewskiego przedstawiciela płowej zwierzyny. Jednak nie to jest w tym wypadku najważniejsze.

Co prawda i tu znajduje się informacja, że był to ostatni jeleni utytułowanego myśliwego, ale co innego jest intrygujące. Oto w najniższej części medalionu umieszczono datę urodzin: 11 czerwca 1816 roku oraz dzień zgonu: 27 października 1886 roku.



Niewątpliwie dotyczą one samego Ottona Carla. Od 11 września – a więc dnia położenia byka – do chwili zgonu jego pogromcy – a więc dnia 27 października 1886 roku minęło półtora miesiąca. To zapewne wyjaśnia, dlaczego był to ostatni samiec, strzelony przez arystokratę. Zdarzało się jednak w historii łowów i tak, że rozbudzony pożądaniem byk jelenia, dążąc do wyładowania swojej agresji potrafił zaatakować człowieka, który stanął na jego drodze.

Może i w tym wypadku doszło do podobnej konfrontacji, zakończonej śmiercią zwierzęcia, ale także znacznym poturbowaniem nemroda przez rozjuszonego jelenia? Zapewne gdzieś w rodzinnych zapiskach Solms-Baruthów była pełniejsza informacja na ten temat. A może graf Otto – bo taki tytuł został wyryty na wspomnianym monumencie – zmarł z zupełnie innych powodów, niemających żadnego związku z odbytym pod Poświętnym polowaniem? Tak czy inaczej, pogromca byka niezbyt długo po jego uśmierceniu sam też odszedł do krainy wiecznych łowów...

Po II wojnie światowej początkowo polowania na terenie osiecznickich lasów były wręcz niebezpieczne ze względu na pozostawione niewypały i niewybuchy, włóczyły się także po kniei dziwaczne bandy różnych rozbitków życiowych i dezertków. Zorganizowaną polską działalność łowiecką zainauguowało w roku 1949 powstanie pierwszego Koła Jelenie Rogi, skupiającego w chwili założenia trzydziestu pięciu myśliwych z powiatu bolesławieckiego. Z czasem przybywało nemrodów, koło podzieliło się na mniejsze jednostki.

Na terenie osiecznickich lasów bodaj najdłużej funkcjonuje obecnie Koło Łowieckie Nad Kwisą, początkowo noszące nazwę Koło Łowieckie Wierzów, ze względu na kilku pracowników tych zakładów, rozpoczynających jego działalność. Inne koła to Cyranka, Wieniec, Słonka, Cietrzew, Orzeł, Odyniec, Głuszczyca i funkcjonujące jedynie na minimalnym osiecznickim obszarze, a posiadające zasadnicze łowiska w obrębie gminy Nowogrodziec, koło Krzyżówka.



Kończąc rozważania o historii myślistwa w gminie Osiecznica warto zauważyć, iż łowiectwo kojarzy się ludziom przede wszystkim z borami, chociaż polowania prowadzone są także na polach i nad różnymi zbiornikami wodnymi. Jednak istotnie miejscem najbardziej naturalnego, stałego bytowania większości gatunków zwierząt łownych był

i pozostał nadal las. Jego gospodarzami są zaś w ogromnej większości nadleśnictwa. One to dbają o bezpieczeństwo terenów zalesionych, prowadzenie nowych nasadzeń, prawidłowe pozyskiwanie drewna, prowadzą walkę z groźnymi owadami i ich larwami. A zdarzały się również w przeszłości kataklizmy i wysyp szkodników, niszczących wielkie połacie drzewostanu.

Wiemy o tym między innymi dzięki jednemu z kliczkowskich leśniczych, von Spangenbergowi. Na podstawie dokumentów przechowywanych w powstałej w roku 1820 i liczącej około dwudziestu tysięcy tomów bibliotece zamkowej opracował on kronikę, zwaną Spangenbergische Chronik. Umieszczono ją także we wspomnianym księgozbiore, lecz po wojnie wraz z innymi cennymi woluminami przepadła w nie do końca wyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach.

Spangenberg, będąc fachowcem, opisał szkody, jakie ponosił las na przestrzeni wieków. W 1712 roku bory zaatakowały gąsienice, co pociągnęło za sobą zniszczenie drzew na obszarze o boku około czterech tysięcy sążni (1 sажeń: ok. 1,728 m). Wysyp żarłocznych szkodników powtórzył się w latach 1792 i 1793. Fale gąsienic powróciły w latach 1806 i 1810, powodując katastrofalne dla puszczy następstwa.

Szkody objęły aż osiemdziesiąt tysięcy sążni. Mimo tak znacznej destrukcji wywołanej gradacjami larw straszniejsze okazywały się i tak pożogi.

W roku 1706 ogień strawił doszczętnie całą puszcę w okolicy leśniczówki Koberbrunn, leżącej niegdyś na terenie dzisiejszego poligonu Świętoszów.

Požary powtarzały się co jakiś czas; już w wieku XX te najtragiczniejsze dla drzewostanu wybuchły w roku 1932, a następnie w roku 1933. Ten drugi – jak zanotowały niemieckie źródła – miał zostać spowodowany celowo przez młodych niemieckich komunistów z Ławszowej, podkładających ogień w borach koło Przejęsławia.

Przed II wojną światową odnotowano jeszcze jeden poważny pożar: w roku 1937 spłonęło 250 mórg lasu w pobliżu leśniczówki Marienhaus.

Obecnie gospodarkę leśną na obszarze gminy Osiecznica prowadzą trzy państwowe jednostki: nadleśnictwo Bolesławiec, nadleśnictwo Świętoszów i nadleśnictwo Węglińiec. Pierwsze z wymienio-

nych utworzono już w roku 1945, zaś w roku 1970 powiększono je o teren jednostki kliczkowskiej. Dwa lata później, w roku 1972 podobnie stało się z nadleśnictwem Świętoszów, które z kolei ponownie wyodrębniono jako samodzielne w roku 1993.

W skład nadleśnictwa Bolesławiec wchodzi dwa obręby: obręb Bolesławiec o powierzchni 7839 ha i obręb Kliczków o powierzchni 11514 ha.

Nadleśnictwo Świętoszów w obecnych granicach utworzono 31 grudnia 1992 roku po połączeniu Obrębu Ławszowa – nazywanego do 1970 roku Piękną Wsią, a należącego wcześniej do nadleśnictwa Ruszów – i obrębu Świętoszów, pierwotnie funkcjonującego w granicach nadleśnictwa Bolesławiec. Na mocy porozumienia ze Starostą Bolesławieckim sprawuje też ono nadzór nad lasami niestanowiącymi własności skarbu państwa na obszarze 12,85 hektarów.

Na terenie nadleśnictwa Świętoszów zachowały się relikty puszczy w postaci grup i pojedynczych drzew w pradolinach rzek Kwisy i Bobru.

W większości dawne lasy mieszane zostały jednak sztucznie zastąpione przez leśników niemieckich monokulturami sosnowymi. Zakłócono tym samym równowagę ekologiczną, czego następstwem są cykliczne gradacje szkodliwych owadów.

Lasy puszczańskie ucierpiały także w czasie działań wojennych oraz w latach 1945-47. Wielkie pożary wybuchały tu na skutek ćwiczeń wojskowych, prowadząc do osłabienia drzewostanów.

Nadleśnictwo Węgliniec w obecnych granicach zostało utworzone 30 stycznia 1981 roku. Lasy nadleśnictwa Węgliniec położone są w V Śląskiej Krainie Przyrodniczo-Leśnej – w 1 Dzielnicy Równiny Dolnośląskiej, mezoregionie Pogórza Nowogrodzkiego, a od północy Borów Dolnośląskich.

Głaz w pobliskim Ruszowie, upamiętniający upolowanie pierwszego głuszca przez przyszłego cesarza Wilhelma II



MIEJSCA ŚCIŚLE TAJNE

Dokonanie wyboru właściwych terenów umożliwiających prawidłowe przygotowanie dobrze funkcjonującego poligonu, uzależniano zawsze od wielu czynników. Poszukiwano więc rozległego obszaru o urozmaiconej rzeźbie, pociętego rowami, strumieniami i bagniskami, jak najmniej zaludnionego, o zróżnicowanym pokryciu, słabo nasyconego drogami i szlakami kolejowymi. Mimo iż przed ponad stu laty zarówno wyposażenie techniczne armii, jak i doktryna wojenna stawiała przed rekrutami i szkolącą ich kadrą nieco inne wymagania niż obecnie, to jednak wielkość placów ćwiczebnych, różnych strzelnic i ich otulin pozostały w wielu miejscach niezmienione.

Bardzo ważnym aspektem był koszt pozyskania gruntów. W przypadku okolic Świątoszowa okazał się on korzystny dla wojska. Wytypowany pod przyszły poligon obszar, porośnięty lasami sosnowymi i wrzosowiskami w dużej części stanowił nieużytki i pod względem ekonomicznym oraz gospodarczym nie przedstawiał szczególnie wielkiej wartości. Puszcza rosnącą na okolicznych piaskach przynosiła w istocie mizerne dochody z eksploatacji jej zasobów. Dawni mieszkańcy tamtejszych śródlęsnych osad zajmowali się głównie polowaniami, nie gardzili też zbieraniem jagód i grzybów, sporo osób uprawiało bartnictwo. Rolnictwo rozwijało się w zasadzie jedynie na obszarach przyległych do Kwisy. Do roku 1898 wspomniane grunty były własnością hrabiów von Dohna, jednego z odłamów arystokratycznego rodu niemieckiego. Jego członkowie piastowali wysokie stanowiska rządowe i wojskowe w państwie pruskim.

W XIX wieku małomicką siedzibę hrabiego Alfreda von Dohna-Schlodien kilkakrotnie odwiedzili ważni pruscy politycy i wojskowi na czele z dowódcą VI Korpusu Armii, księciem Saksonii – Meiningenem. Omawiano plany utworzenia na hrabiowskich włościach poligonu wojskowego.

Zapewne nie trzymano tego w ścisłej tajemnicy, ponieważ pisała o tym wówczas prasa berlińska.

Książę Meiningen





Teren byłego poligonu w Świątoszowie

Zamierzano wykorzystać powierzchnię około dziesięciu – piętnastu tysięcy mórg pruskich. Ostatecznie dobito targu. Pruskie państwo wypłaciło von Dohnom trzy miliony marek za interesujący wojsko obszar. Zapewne bez wielkiego żalu hrabiostwo odsprzedało lasy rozciągające się na wschód od rzeki Kwisy.

Położone z dala od dużych osiedli ludzkich, stwarzały one doskonałe warunki do przygotowania, a następnie systematycznej rozbudowy nowoczesnego zaplecza szkoleniowego dla pobliskich garnizonów. Piaszczyste połacie, liczne ciek wodne, wszelakie bagna, wzniesienia oraz powierzchnie porośnięte dorodnymi drzewami spełniały wyśrubowane wymogi, stawiane trudnemu, a nawet bezlitosnemu procesowi wdrażania rekrutów różnych formacji do wojskowego rzemiosła. Im więcej potu w trakcie ćwiczeń, tym mniej krwi w czasie walki...

Nieregularny kształtem poligon zajmował powierzchnię 5000 ha (inne źródła podają 12000 ha), w jego granicach znalazły się także dwie niewielkie wsie, Koberbrunn i Neuhammer, obecnie Świętoszów.

Domostwa tej pierwszej zlokalizowane były na południowo-wschodnim obrzeżu pierwotnego poligonu, przy zbiegu kilku ważnych dróg, między innymi szlaku biegnącego ze Świętoszowa do Pstrąża. Historia owej puszczańskiej osady rozpoczęła się około roku 1700, bowiem mniej więcej w tym czasie powstały tam skromne zabudowania dwóch gajówek, z których jedna stanowiła własność małomickiego arystokraty von Dohny, druga zaś należała do hrabiego zu Solms z Kliczkowa. Dążąc do wydajniejszego gospodarczego wykorzystania puszczy, udostępnili oni chętnie przyległe do leśniczówek działki przybywającym w poszukiwaniu pracy robotnikom, głównie drwalom, na których ci stawiali swoje domy. By jeszcze bardziej ułatwić osadnikom „ucywilizowanie” okolicy, pozwalano im także wypalać knieję pod przyszłe pola i paść bydło na śródleśnych łąkach.

Założycielem wsi był hrabia Gottlob von Reder, a miało to miejsce w roku 1724. Koberbrunn po upływie kolejnych dwudziestu pięciu lat – już jako miejscowość gminna – otrzymał także prawo do używania własnej pieczęci.

Odcisk signum miał owalny kształt i przedstawiał boginię sprawiedliwości z wagą i mieczem. Całość uzupełniał napis:

KOBERBRUNN ANNO 1745.

W roku 1786 we wsi funkcjonowało dziewiętnaście gospodarstw, w których zamieszkiwało stu pięciu chłopów. Stanowiła ona wtedy własność hrabiego von Dohny z Małomic. Bardzo długo, bowiem do roku 1817, wieś nie wytyczyła własnej nekropoli; zmarłych przewożono więc i grzebano na cmentarzu w Rudawicy, odległej aż o dwanaście kilometrów. Przed rokiem 1790 – czyli do momentu wzniesienia budynku szkolnego – potomstwo mieszkańców pobierało nauki w prywatnych domach nauczycieli. W 1815 roku w miejscowej szkole kształciło się trzydzieścioro dzieci, w 1883 – trzydzieścioro dwoje, natomiast siedem lat później na zajęcia uczęszczało już tylko dwadzieścioro pięcioro uczniów. Owa skromna placówka oświatowa dotrwała oficjalnie do 31 października 1900 roku.

Wieś nie posiadała swojej świątyni, więc mieszkańcy wędrowali na nabożeństwa do kościoła granicznego w Luboszowie.

Powierzchnia maleńkiej gminy Koberbrunn obejmowała 220 ha łąk, pól, lasów, dróg i terenów zabudowanych. W związku z wojskowymi planami państwo pruskie wykupiło wieś w roku 1895, przeznaczając zajmowany przez nią teren pod część przyszłego poligonu.

Wszyscy dawni mieszkańcy Koberbrunn zostali wysiedleni do 1 listopada 1900 roku. W opuszczonych budynkach przez kilka następnych lat mieszkali robotnicy obsługujący poligon.

Warto zauważyć, iż nazwa tej od dawna nieistniejącej puszczańskiej wsi miała najprawdopodobniej słowiańskie korzenie, wskazuje na to jej etymologia. Koberbrunn to Koprowe Źródło – lub może raczej Źródło Kobiałki. Skąd takie określenie? Już w XIV wieku pasterze z pobliskich miejscowości na polany leżące w miejscu, gdzie później powstała ta śródleśna sadyba, przypędzali bydło i owce. Pilnując pasących się zwierząt wypłatali kosze i kobiałki z wikliny.

Na północ od dawnej wsi widnieje wzgórze Koberbrunner Hohe (obecnie Wzgórze Prezydenckie) o wysokości 164 –166 m n.p.m. Na jego zachodnim krańcu w latach czterdziestych zbudowano poligonową wieżę obserwacyjną. W jej najbliższe otoczenie docierały szyny kolejki wąskotorowej, biegnące z garnizonu.



Kolejka wąskotorowa, obsługująca teren poligonu

Trzeba też wspomnieć o trzech samotnych gajówkach, strzegących wcześniej miejscowych lasów. Około dwóch kilometrów na północ od koszar, a na wschód od zrujnowanych obecnie zabudowań zwanych niegdyś Feldtschachter – co można rozumieć jako Polny Frymark – funkcjonowała puszczańska wartownia Eichelschanke – Żołędna Gospoda. Składały się na nią dwa gospodarstwa i towarzyszące im zabudowania magazynowe. Tu także w latach czterdziestych w środku leśnictwa postawiono betonową wieżę obserwacyjną na potrzeby poligonu. Na przestrzeni około dwóch kilometrów na północ od tejże leśniczówki znajdowały się cztery wielkie strzelnice, ograniczone solidnymi wałami ziemnymi. Wieża obserwacyjna przetrwała do czasów powojennych, natomiast o istnieniu innych zabudowań Żołędnej Gospody świadczą obecnie tylko resztki pokruszonych cegieł i dachówek.

Druga leśniczówka o nazwie Waldhaus – Leśny Dom – stała niemal w środku poligonu, w związku z czym bardzo wcześnie, już u zarania jego funkcjonowania, straciła pierwotne znaczenie. Ostatecznie zniszczono ją po roku 1945.

Poza terenem starego poligonu, trzy kilometry od Pstrąża, znajdowały się budynki należącej również do włości kliczkowskich typowej osady strzegącej okolicznych borów, noszącej nazwę Staberinskenhaus. Po wojnie, wobec kolejnego powiększenia obszaru wykorzystywanego przez wojsko, znalazła się i ona w jego granicach i przestała pełnić wcześniejszą funkcję.

Od samego początku istnienia poligonu zarówno liczne roboty wykonywane na jego terenie, jak i prowadzone tam intensywnie ćwiczenia wywoływały groźne pożary. Powodem były nieostrożne wypalania miejsc przeznaczonych do oczyszczenia ze zbędnego dla potrzeb wojskowych zadrzewienia, a także używanie do szkoleń materiałów wybuchowych. Już 24 maja 1900 roku ogromna pożoga strawiła obszar lasu o długości sześciu i szerokości trzech kilometrów.

Bardzo szybko na zachodnim obrzeżu poligonu, w miejscu gdzie leży Świątoszów, wybudowano pierwszy obóz składający się z baraków dla żołnierzy, wzniesiono także stajnie dla koni. Parterowe obiekty miesz-

kalne wykonywano z drewna, nie zapewniały one jednak zbyt komfortowych warunków przebywającym w nich żołnierzom.

Z czasem rozpoczęto murowanie nowych, które kryto charakterystyczną falistą blachą.



Widok Świątoszowa

Ważny status dóbr państwowych świątoszowski obiekt ćwiczebny uzyskał w roku 1905. Jego powierzchnia wynosiła wtedy dokładnie 5002 ha. Swoistą ciekawostką jest fakt, iż wszelkie informacje o ilości

stałych mieszkańców Świątoszowa aż do roku 1918 były traktowane jako tajne. Co więcej, na mapach z tego, a także późniejszego okresu obszar poligonu oznaczany był jako tereny łowieckie

W skład kompleksu koszarowego wchodziły koszary artyleryjskie, piechoty i kadry oficerskiej. Stanowiły one odrębne części, w ostatniej z wymienionych w latach od 1898 do 1918 funkcjonowała komendantura obozu, kwatermistrzostwo, piekarnia, trzy kantyny, świetlica żołnierska oraz oficerska, a także budynki administracji i mieszkania urzędników. Opodal zabudowań koszarowych, po południowej ich stronie usytuowano szpital. Przy nim Nad całością górowała masywna, wysoka wieża



założono cmentarz. stojąca do dzisiaj ciśnień.

Przed I wojną światową, jej trwania życie świętonu tętniło intensywnym tu jednostki wojskowe ostre strzelania. Co jedno – od początku ist-cieszył się on złą opinią żołnierzy. Ukuto nawet dla określenia Neuham-

a także w trakcie szowskiego garnizotempem. Zwożono między innymi na nak charakterystycznienia tego obiektu wśród niemieckich swoistą alternatywę mer – Nowa Kuźnia.

Zamiast tego mówiono Neujammer czyli Nowe Jęki, co miało być wyrazem wręcz tragicznej sytuacji przebywających w Świątoszowie wojskowych. Często o całej okolicy powiadano, że diabeł tam mówi dobranoc. Pamiątką po czarnym humorze, towarzyszącym ćwiczeniom w Świątoszowie żołnierzom są też różne zapiski, jakie umieszczali oni na kartkach wysyłanych rodzinom i narzeczonym z poligonu.

Niektórym – jak twierdzili – na samo wspomnienie tej miejscowości drżały kolana, inni zarzekali się, że nigdy nie będą chcieli do niej wrócić.



Parowóz kolejki wąskotorowej z poligonu świętoszowskiego



Fotomontaż propagandowy; aeroplan i sterowiec nad Świętoszowem

W latach 1922–1945 w Świętoszowie mieściła się komenda poligonu. Funkcję komendanta obiektu w roku 1929 pełnił podpułkownik von Otterstedt, zaś w latach 1935 – 1936 generał major Kempski.

Około roku 1935 zaczęła funkcjonować tutaj również fabryka amunicji dymnej. Po wybudowaniu sieci torowisk, wewnętrzny transport żołnierzy odbywał się wagonami kolejki wąskotorowej. Jedna z kilku stacji znajdowała się przy komendanturze garnizonu. Poligon, noszący oficjalną nazwę **Truppen Übungsplatz Neuhammer** (Wojskowy Plac Ćwiczeń Świętoszów) i zajmujący na początku istnienia powierzchnię 5000 ha, odpowiadając na potrzeby niemieckiego militarizmu rozwijał się niezwykle dynamicznie. Jego obszar otoczono około stumetrową przecinką, przedstawianą na mapach jako pas ziemi, całkowicie pozbawiony zadrzewienia.



Spełniał on podwójną rolę granicy, a także zabezpieczenia pozostałej części puszczy przed przeniesieniem na jej obszar ewentualnego pożaru. A te, niestety, wybuchały często na terenie objętym szkoleniami.

Żartobliwa kartka wysłana z garnizonu Świętoszów

Szczególny okres rozkwitu tego coraz bardziej znanego w świecie wojskowych obiektu ćwiczebnego miał miejsce po dojściu nazistów do władzy, w roku 1933. Na obszarze dzisiejszej północnej i zachodniej Polski budowano bądź rozbudowywano poligony, umożliwiające radykalne przyspieszenie militarnych przygotowań do realizacji agresywnych planów brunatnego wodza III Rzeszy i jego generalicji. Kolejne tworzone już po wybuchu II wojny światowej.

To przede wszystkim na nich prowadzono niemieckie ćwiczenia przed operacją Barbarossa, podstępym atakiem na Związek Sowiecki.

P o w i ę k s z o n o
także zajmowa-
ny przez poligon
świętoszowski ob-
szar do rozmiarów



Bombowiec Junkers Ju 87

plasujących go na czołowym miej-
scu wśród podobnych, służących
szkoleniu wojskowemu placówek
hitlerowskiej III Rzeszy.

W 1934 roku w Świętoszowie sta-
cjonowało około 2400 żołnierzy,
w 1936 roku – 8600. W istocie gar-
nizon mógł jednak pomieścić nawet
10000 żołnierzy. Prowadzone szko-
lenia i manewry nie odbywały się
bez ofiar. Żołnierze ginęli przygnia-
tani ciężkim sprzętem, zdarzały się
tragiczne wypadki z bronią palną
i materiałami wybuchowymi.

Niewątpliwie do największych,
a przynajmniej najbardziej głoś-
nych katastrof, związanych ze świę-
toszowskim poligonem, należało
błyskawiczne zniszczenie trzynastu
samolotów Junkers Ju 87 „Stuka”
(Sturzkampfflugzeug), zwanych
sztukasami, i śmierć dwudziestu
sześciu doświadczonych lotników
Luftwaffe.

Cechą charakterystyczną tego bom-
bowca nurkującego były mocno
„złamane” skrzydła i montowane

w początkowym
okresie wojny
syreny akustycz-
ne, nazywane
dla ogluszające

go dźwięku trąbami jerychoński-
mi. Podczas wchodzenia maszyny
w lot nurkowy włączano je, a ich
przeraźliwe wycie zwiększało pa-
nikę wśród atakowanych kolumn.
Zrzucane bomby miały natomiast
kartonowe rurki, wydające narasta-
jący w trakcie spadania przenikliwy
świs. Junkersy Ju 87 wyposażano
w automat, wyprowadzający bom-
bowiec z głębokiego lotu nurkowe-
go po ewentualnym zasłabnięciu
pilota, co zdarzało się stosunkowo
często, stanowiąc konsekwencję
występujących wtedy znacznych
przeciążeń.

Niemal dwa tygodnie przed napaś-
cią hitlerowskich Niemiec na Pol-
skę, 15 sierpnia 1939 roku, nic nie
zapowiadało mającej nastąpić tego
dnia katastrofy. Pokazu precyzyj-
nego bombardowania niewielkiego
celu, umieszczonego na święto-
szowskim poligonie, miały dokonać
z lotu nurkowego załogi cottbuskie-
go dywizjonu. Co prawda pogoda
tego feralnego dla Niemców dnia
była kiepska, bowiem nad lasami

porastającymi teren ćwiczeń zawisły pasma mgły, jednak ostatecznie postanowiono przeprowadzić zaplanowany manewr. Dywizjon junkersów musiał wykonać bombardowanie zwartą formacją. Do pokazu użyto ćwiczebnych betonowych bomb, posiadających specjalne gniazda, w których zainstalowano świece dymne. Po uwolnieniu tych cementowych „cygar” z zaczepów samolotu powstające za nimi smugi pozwalały na ocenę skuteczności ataku.

Na wieży obserwacyjnej pojawili się wysocy rangą niemieccy oficerowie Luftwaffe, generałowie Wolfram von Richthofen, Hugo Sperrle i Bruno Loerzer. Dywizjonem dowodził kapitan Walter Sigel, doświadczony pilot, wielokrotnie wcześniej wykonujący podobne ćwiczenie. Wkrótce nadlatujące nad cel maszyny przeszły do lotu nurkowego i z ogłuszającym rykiem błyskawicznie runęły w dół. Śledzący pokaz oficerowie z przerażeniem stwierdzili nagle, że junkersy niebezpiecznie zbliżają się do porastających teren krzewów i dopiero tuż nad nimi usiłują wyjść z nurkowania. Udało się to tylko jednemu pilotowi – samemu kapitanowi Sigelowi, którego bombowiec nad samą ziemią wyszedł z szaleńczego lotu, pozostałe maszyny, jedna za drugą wbijały się w glebę, skąd natychmiast wzniosły się słupy dymu. Po katastrofie szukano przyczyn wypadku. Zwołany sąd wojenny oczyścił z zarzutów dowódcę dywizjonu. Uznano, że jego błąd spowodowała mgła, a życie kapitana Sigela ocaliło jego doświadczenie. Nie zdążyli jednak podobnego manewru wykonać pozostali lotnicy, ginąc w roztrzaskanych szczątkach prowadzonych bombowców.

Szcątki rozbitych w katastrofie 15 sierpnia 1939 roku samolotów Junkers Ju 87 „Stuka”



Jak wspomnieliśmy wcześniej, po wybuchu II wojny światowej i w trakcie jej trwania świętoszowski poligon należał do największych niemieckich obiektów militarnych, gdzie doskonalono wojska lądowe, a także siły powietrzne. W latach czterdziestych na jego terenie, przeznaczonym od początku istnienia do szkolenia oddziałów artylerii, piechoty, saperów i strzelców, ćwiczyło od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy Wehrmachtu (między innymi formacjami doskonalili się też pancerniacy), Waffen SS, Luftwaffe oraz Abwehry. Wśród oddziałów Waffen SS na ziemi świętoszowskiej szkolono także formacje złożone z obcokrajowców.

11 lipca 1940 roku miała miejsce potężna eksplozja materiałów wybuchowych i amunicji. Po wybuchu ewakuowano ludność cywilną Świętoszowa. Amunicja pochodziła z czeskiego Ołomuńca zajętego w 1938 roku przez żołnierzy z 15 Pułku Pancernego z Żagania oraz oddziałów z kampanii wrześniowej w Polsce.

Wiele mitów krąży na temat pobytu w tym garnizonie ukraińskiej Dywizji SS „Galizien”. Wypada poświęcić parę słów historii tej

zbrodniczej formacji. Jednostka ta z samego założenia miała galicyjski, nie zaś czysto ukraiński charakter. Jako elementu jej symboliki nie wprowadzono więc charakterystycznego ukraińskiego tryzuba i błękitno-żółtego sztandaru. Zamiast tego emblematem był żółty galicyjski lew z trzema złotymi koronami w niebieskim polu. Pomimo późniejszej możliwości utworzenia jednostki ukraińskiej – co wynikało choćby z ilości chętnych Ukraińców, zgłaszających się do wojska – władze niemieckie nie zgodziły się na takie rozwiązanie, gdyż od samego początku wojny nie akceptowały dążeń ukraińskich do utworzenia niepodległej Ukrainy.

Najdobitniej rzeczywistemu stanowisku hitlerowskich przywódców dał wyraz już 12 września 1940 roku Hans Frank na posiedzeniu rządu Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie, mówiąc:

Wszystkich nas zajmuje sprawa ukraińska. Doszliśmy do przekonania, że według wielu Ukraińców Generalne Gubernatorstwo jest tylko jednym z wielu czynników, które los wybrał, aby przywrócić narodowi ukraińskiemu wielką Ukrainę.

Na to pójść nie możemy. Ukraińcy są obywatelami Wielkiej Rzeszy Niemieckiej, skoro zamieszkują obszar niemiecki...

Zarówno przysięga wojskowa jaką więc składali – nie na wierność Ukrainie, lecz Adolfowi Hitlerowi – zakaz posługiwania się językiem ukraińskim oraz w większości niemieckie dowództwo świadczyły o faktycznych planach politycznych w odniesieniu do tej jednostki. Pomimo tych wszystkich przejawów dyskryminacji dywizja cieszyła się dużą popularnością wśród Ukraińców. Zdarzały się nawet przypadki przekazywania ochotnikom sztandarów ukraińskich jednostek z I wojny światowej, czy tłumaczenie skrótu SS jako nazwy pochodzącej od pierwszych liter określenia „Strzelcy Siczowi”.

Jednostki dywizji szkolono w różnych krajach, a więc w Polsce, Niemczech, Austrii, Francji i Holandii. Wielokrotnie okazywało się, iż stosunek władz niemieckich – a także ich hitlerowskich „towarzyszy broni” – do wojskowych ukraińskich nie był najlepszy. Żołnierze narzekali nie tylko na gorsze jakościowo umundurowanie i wyżywienie, ale także pogardliwe odnoszenie się do nich niemieckich sojuszników. Bardziej wykształceni dowódcy ukraińscy byli też świadomi, że ograniczono znacznie elementy wyszkolenia ich oficerów. Wśród Ukraińców szerzyły się nastroje „zawiedzionych nadziei”, a dużą popularnością cieszyła się Ukraińska Powstańcza Armia. Zachowało się zdjęcie z inspekcji, dokonanej w maju 1944 przez Himmlera w obozie szkoleniowym Świętoszów. Mimo stwierdzenia niedostatecznego przygotowania bojowego uznał on, iż oddziały ukraińskie gotowe są do podjęcia działań na większą skalę. Pragnąc zapewne wzmocnić wątpliwe „morale” i zapobiec spodziewanym dezercjom, 17 maja 1944 roku Heinrich Himmler w swoim wystąpieniu przed oficerami dywizji podsycił nienawiść Ukraińców do Polaków.

Węgierskim związkiem taktycznym, mającym pewne związki z garnizonem świętoszowskim, była 25 Dywizja Grenadierów SS „Hunyadi”.



Emblemat SS „Galizien”

Formowano ją od 2 listopada 1944 roku z żołnierzy pochodzących głównie z węgierskiej 13 Dywizji Lekkiej. Jej dowódcą został Waffen-Brigadeführer (generał brygady) Josef Grassy. Początkowo jednak faktyczne dowództwo sprawował niemiecki oficer SS-Standartenführer (pułkownik) Thomas Müller. O tym, jaki stosunek do umiejętności, a zwłaszcza lojalności swoich sojuszników mieli Niemcy, świadczy choćby to, że oprócz stanowiska dowódcy dywizji wszystkie funkcje sztabowe były także dublowane przez oficerów niemieckich.

18 listopada nastąpił podział dywizji na trzy pułki grenadierów SS. Pozostałe jednostki dywizji to bataliony saperów, łączności, przeciwpancerny, rozpoznawczy i polowy zapasowy. Dnia 20 listopada Węgrzy zostali przeniesieni na poligon w Świętoszowie. Większość żołnierzy ulokowano w obozie Pstrąże nad Bobrem, a resztę w tzw. starym obozie w Świętoszowie. Tam też systematycznie napływali żołnierze z różnych jednostek węgierskich, które znalazły się na terenach jeszcze zajętych przez III Rzeszę. W ostatnich dniach listopada było ich już osiemnaście tysięcy, a pod koniec roku 1944 dwadzieścia dwa tysiące.



Emblemat 25 Dywizji Grenadierów SS „Hunyadi”

W połowie grudnia przybyli ochotnicy otrzymali mundury Waffen SS, w tym tylko część posiadających na prawej patce kołnierza literę H (od Hungaria) zamiast runów SS. Do dywizji przybyła również pierwsza broń – dwa tysiące karabinów, tysiąc pistoletów, sto nowoczesnych karabinków szturmowych (Sturmgewehr wz. 44), pięćdziesiąt ciężkich karabinów maszynowych MG-42 oraz dwadzieścia pięć moździerzy. Pod koniec

grudnia na kursy specjalistyczne do Pasawy (Passau) zostało skierowanych 700, a do Pragi 500 ludzi.

Dywizja otrzymywała również trzy tysiące pancerfaustów i część wyposażenia logistycznego, w tym ciężarówki i rowery.

Uzbrojenie i wyposażenie trafiło przede wszystkim do 61 pułku, który miał być pierwszą jednostką gotową do działań bojowych. Dywizja „Hunyadi” i część „Hungarii” pozostawały w Świątoszowie do 8 lutego 1945 roku. Wówczas poligon został zlikwidowany, a z najlepszych żołnierzy obu dywizji – głównie z pułków 61 i 64 – utworzono węgierski pułk alarmowy Waffen SS, składający się z czterech batalionów. Formacji przekazano niemal całą broń będącą w posiadaniu jednostek węgierskich i postawiono zadanie obrony przedpola Świątoszowa – od linii Bobru do granic obszaru ćwiczebnego. Miało to umożliwić sprawne wycofanie się Niemców z garnizonu. Pułk I batalionem obsadził 8 lutego lewy brzeg Bobru, mając na przedpolu Leszno Górne, a na prawym skrzydle Buczynę. W środku pozycji znajdował się II batalion, którego główną pozycję stanowiły miejscowość Pstrąże i Obóz Pstrąże. Tam także ulokowany był sztab pułku. Dalej na południe rozlokował się III batalion. Jego południowa flanka oparta była o Trzebień Mały. Dowództwo w swoich planach przewidywało, że będzie to najbardziej narażony

na radzieckie działania odcinek, gdyż znajdował się bezpośrednio na północ od autostrady.

9 lutego III batalion rozpoczął walki z jednostkami Armii Czerwonej, nacierającymi po obu stronach drogi, będącej przedłużeniem tak zwanej autostrady śląskiej oraz wzdłuż linii kolejowej Legnica–Żagań. Na zagrożony kierunek zostały przerzucone ze Świątoszowa dwa pododdziały w sile kompanii. Kompania estońska zajęła pozycje obronne na północ od autostrady, zaś kompania alarmowa węgierskich narciarzy obsadziła pozycje po jej południowej stronie. Obu pododdziałom udało się na jakiś czas zatrzymać Sowietów. Było to głównie zasługą plutonu przeciwpancernego uzbrojonego w trzy armaty 75 mm. Okazały się one niezwykle skuteczne w zwalczaniu dostarczonych w ramach zachodniej pomocy amerykańskich czołgów typu M 4 Shermann, będących na wyposażeniu sowieckiego korpusu zmechanizowanego. Po zaciętych nocnych walkach czerwonoarmistom udało się odrzucić od strony północnej i południa węgierskie bataliony w kierunku Pstrąża. Zaczął je tam odcinać zamykający się pierścień okrążenia.

Po wezwaniu pomocy rano 10 lutego podjęto próbę rozdarcia sowieckiego kotła. Dwie alarmowe kompanie estońskie wywalczyły przejście do Pstrąża, jednak tuż za nimi Sowieci ponownie zaczęli powstawać lukę. Węgrzy nadal bronili się uporczywie, oczekując odsieczy. Dotarła do nich broń i amunicja, dostarczona przez adiutanta 25 pułku zaopatrzenia Waffen-Sturmbannführera der SS, barona Dénes Vitéz Exterde. 11 lutego po południ węgierski IV batalion alarmowy, atakując kolejny raz pozycje sowieckie, rozerwał pierścień okrążenia.

W trakcie walk zginął dowódca IV batalionu. Udaną akcję wydatnie wsparły dwa ośmiokołowe, ciężkie transportery opancerzonych Sd.Kfz. 233/4, dysponujące armatami przeciwpancernymi 75 mm i jednym transporterem kołowo-gąsienicowym Sd.Kfz.7/1, uzbrojonym w poczwórnie sprzężone działka przeciwlotnicze 20 mm. Najprawdopodobniej bez udziału tych wozów bojowych wycofanie się węgierskich żołnierzy na zachód byłoby niemożliwe. Kiedy pod Pstrążem trwały opisane zmagania, III batalion opóźniał sowieckie natarcie wzdłuż autostrady. Uchodząc z kotła,

bataliony II, III, IV oraz to, co zostało z I, zajęły pozycje za Świętoszowem, na linii Kwisy. Tu udało się Węgrom utrzymać do 14 lutego. Niewątpliwie stało się to możliwe, ponieważ nie byli na głównej osi sowieckiego natarcia. Nocą z 14 na 15 lutego pozostałości pułku alarmowego rozpoczęły odwrót. 17 lutego około 1100 żołnierzy węgierskich wchłonęła główna kolumna uchodzącej 25 Dywizji Waffen SS. Pod potężnymi ciosami Armii Czerwonej wojska niemieckie i ich sojusznicy opuścili teren gminy Osiecznica.

Od 1945 roku do lipca 1992 roku w Świętoszowie niepodzielnie panowali Rosjanie, stacjonowały tu regularne wojska sowieckie. Miejscowość była zamknięta i praktycznie nie istniała na mapach administracyjnych gminy. W części cywilno-wojskowej mieszkało około 12000 osób, głównie żołnierzy oraz rodzin wojskowych z 20 Zwienogrodzkiej Dywizji Pancernej.

Ludowe Wojsko Polskie mogło korzystać z obiektu dopiero od momentu powstania Układu Warszawskiego w 1955 – we wspólnych ćwiczeniach z pozostałymi wojskami państw Układu, między innymi w ćwiczeniach „Tarcza”.

Konsekwencją epokowych zmian politycznych w naszym kraju było podpisanie w roku 1992 traktatu regulującego wycofanie wojsk rosyjskich z Polski i rozpoczęcie od 5 maja przejmowania świętoszowskiego kompleksu przez stronę polską. 18 maja 1992 roku na placu garnizonowym w obecności dowódcy Północnej Grupy Wojsk byłego ZSRR oraz Dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego miał miejsce akt przejęcia całego kompleksu.

20 lipca 1992 r. ostatni żołnierze rosyjscy opuścili Świętoszów. Po 47 latach miejscowość ta powróciła na mapy, a pododdziały 29 Pułku Zmechanizowanego oficjalnie przejęły obiekty koszarowe. Opuszczając garnizon, Rosjanie wywieźli stąd wszelką dokumentację techniczną oraz historyczną. Puste, symbolicznie wręcz chronione zabudowania koszarowe zostały w ogromnej części zniszczone i splądrowane przez szabrowników.

Stopniowo jednak wieś zasiedlano wojskiem i ludnością cywilną. W roku 1995 miejscowa jednostka została przeformowana na brygadę pancerną, która jako jedyna w Wojsku Polskim posiada na swoim wyposażeniu niemieckie czołgi Leopard 2A4. W 2003 roku 10 Brygada Kawalerii Pancernej przyjęła tradycje 24 Pułku Ułanów oraz 1 i 2 Pułku Artylerii Motorowej. Od 1 marca 2004 roku powróciła do podporządkowania 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. W 1992 roku poligon połączono z Ośrodkiem Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych Żagań, tworząc największy w kraju kompleks szkolenia poligonowego, który jest współcześnie wykorzystywany zarówno przez oddziały Wojska Polskiego, jak i wojsk innych państw NATO.



*„Zardzewiała śmierć”
pozostawiona na byłym
sowieckim poligonie*

OBOZY JENIECKIE W ŚWIĘTOSZOWIE

Pisząc tę część rozdziału, oparliśmy się głównie na ogromnej wiedzy autora książki *Historia obozów jenieckich w Świątoszowie*, zmarłego niedawno mieszkańca tej wsi, rzetelnego badacza jej dziejów, Jerzego Horynia.

Już na początku działań wojennych w 1914 roku za obiektami koszarowymi garnizonu, po ich południowej stronie wydzielono obszar o powierzchni kilkudziesięciu hektarów, przeznaczając go w całości na potrzeby obozu. Jesienią w lagrze przebywało około 4000 Rosjan, którzy trafili do niewoli pod Tannenbergiem. Wkrótce przybywały kolejne transporty kolejowe, rozładowywane na świętoszowskim dworcu, skąd długie kolumny jeńców gnano do miejsca przeznaczenia. Czasem mniejsze grupy

przewożono kolejką wąskotorową. W międzyczasie ci, których tu już zwieziono, zostali zaangażowani do prac nad rozbudową obozu. Jego teren już wcześniej ogrodzono drutem kolczastym, ustawiono też lampy łukowe, dające niezwykle silne światło. By zabezpieczyć odpowiednią ilość energii przeciągnięto specjalną linię przesyłową.

Warunki, w jakich przetrzymywano jeńców urągały wszelkim normom i wymaganiom zdrowotnym. W barakach zasadniczo nie było żadnych, nawet najprymitywniejszych mebli, za wyjątkiem drewnianych piętrowych prycz. Nie przygotowano w nich także urządzeń sanitarnych ani wewnętrznego oświetlenia. Odzież jeńców stanowiły ich mundury. Te same, w których wcześniej walczyli i trafili do niewoli. W trakcie rozlicznych prac ulegały one szybko niszczeniu, stawały się strzępami ubiorów. Teoretycznie miał temu zaradzić obozowy warsztat krawiecki, niestety, w praktyce była to jedynie iluzja. Lagier mógł pomieścić 40 000 ludzi.

Jeńcy wojenni i wartownik



Jeńcy pracowali przy wznoszeniu obiektów poligonu, rozładunku dostarczanych koleją materiałów wojennych, towarów i żywności, ciągli ciężkie wozy, wydobywali żwir na pobliskich żwirowniach, a urobek przepychali ręcznie wózekkami toczonymi po wąskich torach często na odległość wielu kilometrów. Wiele wybrukowanych solidnie dróg na terenie garnizonu powstało dzięki wysiłkowi zniewolonych żołnierzy rosyjskich.

Praca jeńców wojennych w Świątoszowie



Dokuczał im potworny, wszechobecny głód, chorowali na biegunkę, infekcje skórne, chodzili brudni i zawszawieni. Nie zapewniono im podstawowej opieki medycznej, w razie chorób i wypadków poszkodowanymi zajmowali się głównie lekarze wojskowi, trafiający do niewoli. Nie otrzymywali oni jednak nawet podstawowych lekarstw i środków opatrunkowych, więc niegroźne w innych warunkach rany, odniesione przy pracy, często doprowadzały do zakażeń i zgonów wycieńczonych ludzi. Dlatego powszechnym zjawiskiem w obozie była śmierć.

Władze niemieckie pozwoliły na odsłonięcie specjalnego pomnika, wzniesionego na obozowej nekropolii, a poświęconego pamięci jeńców rosyjskich, zmarłych w lagrze.

Odpowiednio wykorzystana propagandowo uroczystość odbyła się 24 lipca 1916 roku. Uczestniczyli w niej licznie zniewoleni żołnierze rosyjscy, a także przedstawiciele komendantury niemieckiej. Wydano nawet z tej okazji specjalną kartkę pocztową. Autorem dzieła, przedstawiającego dwugłowego carskiego orła, pochylającego się nad mogiłami, był jeńiec z obozu, Wasilij Piskunow Babugin. Piszemy o tym więcej w innym miejscu.

W Świątoszowie w czasie I wojny światowej istniało ogromne zapotrzebowanie na fachowców różnych branż. Należało do nich między innymi budownictwo. Z innych zawodów można wymienić kowali i ludzi, dobrze znających się na obsłudze koni.

Nie ma zbyt wielu wiadomości źródłowych na temat życia duchowego jeńców, ale najprawdopodobniej nie zabraniano im ani też specjalnie nie utrudniano odbywania religijnych praktyk. Trzeba jednak zauważyć, że Świątoszów nie

posiadał swojej świątyni, natomiast wojsko i pozostali jego mieszkańcy na nabożeństwa udawali się do kościoła w dzisiaj nieistniejącej już wsi Dohms. Zapewne nie pozwalało to osadzonym w lagrze na częsty udział w nabożeństwach. Dość regularnie odbywały się one jednak przy współudziale popa, także jeńca. W obozie istniała także namiastka działalności kulturalnej. Pragnąc przeciwdziałać skutecznym próbom podejmowania ucieczek, wymyślono obozową walutę. Tak więc jeńcy otrzymywali za swoją pracę banknoty, które poza lagrem nie miały żadnej wartości, za to natychmiast ujawniały tożsamość ludzi, chcących się nimi poza drutami posłużyć. Zapewne na terenie lagru istniała jakaś kantyna, gdzie owe fenigi mogły zostać spożytkowane – nie ma jednak na ten temat konkretnych materiałów źródłowych. Wiadomo, że podczas I wojny światowej różne obozowe banknociki posiadały „wartość” jednego, dwóch, pięciu, dziesięciu, dwudziestu pięciu i pięćdziesięciu fenigów.



Paradoksem historii było to, że do świętoszowskiego lagru trafiali według wszelkiego prawdopodobieństwa również Polacy, wcieleni wcześniej do rosyjskiego wojska, a wśród strażników w niemieckich mundurach zdarzali się nasi rodacy, wcieleni do wojska niemieckiego.

Jerzy Horyń w trakcie gromadzenia materiałów do swojej pracy spotkał się z takimi przypadkami.

W roku 1919 w obozie Neuhammer przebywało jeszcze ponad 33 000 jeńców wojennych. Pracowali oni w samym Świętoszowie oraz w gospodarstwach rolnych, funkcjonujących w pobliżu poligonu. Kiedy skończyła się wojna i grupy uwolnionych ludzi rozpoczęły powrót do domów, część z nich, zatrudnionych w rolnictwie na tyle była zżyta z miejscową ludnością, że nie chciała wracać do biednej, już wtedy komunistycznej ojczyzny. Ostatnie transporty kolejowe jeńców rosyjskich opuściły Świętoszów wiosną 1922 roku.

Od niemal wieku wspomnienie o przymusowym pobycie w lagrze tych ludzi przywołują widoczne efekty ich katorżniczej pracy – wybrukowane ulice, potężne żelbetonowe bunkry na poligonie i wyeksploatowane doły zwirowisk. Doczesne szczątki części z nich, wcześniej tu zmarłych i pogrzebanych, wtopiły się w tę ziemię już na zawsze ...

POWSTAŃCY ŚLĄSCY JAKO JEŃCY W ŚWIĘTOSZOWIE

Ustalenia dotyczące nowego kształtu politycznego Europy po zakończeniu I wojny światowej wywołały ogromne rozgoryczenie i bunt ludności polskiej, zamieszkującej Górny Śląsk. Od dziesiątków lat poddawani germanizacji ludzie nie zapomnieli tam bowiem ojczystego języka i wiary ojców, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Już 16 sierpnia 1919 roku wybuchło samorzutnie pierwsze z trzech powstań śląskich, któremu przewodził Alfons Zgrzebnik. Patriotyczny zryw został stłumiony przez Niemców do 26 sierpnia 1919 roku.

Kolejna próba zrzucenia niemieckiego jarzma nastąpiła 19-20 sierpnia 1920 roku, ale już po pięciu dniach nierównej walki i ona została zgnieciona.

Trzecie z powstań śląskich trwało od 2-3 maja do 5 lipca 1921 roku. Historia obozu jenieckiego w Świętoszowie obejmuje również ponury wątek, związany z losem wziętych do niewoli polskich powstańców, ponieważ trafili oni do tutejszego lagru.

Na ogromne barakowisko Neuhammer, które zapelniali wcześniej Rosjanie, składały się prymitywne, pozbawione jakichkolwiek wygod budowle, potwornie brudne, zapluskwione i urągające warunkom, w jakich powinny bytować ludzkie istoty. Schwytanych powstańców więziono początkowo w Katowicach i w twierdzy kłodzkiej, a następnie przetransportowano ich do Świętoszowa. Wielu Polaków było poranionych i pobitych przez żołnierzy Grenzschatzu, niestety, władze niemieckie nie zamierzały się tym przejmować. Powstańcy mogli liczyć tylko na ciągle jeszcze obecnych nielicznych Rosjan – felczerów. A ci i tak nie mieli zbyt wielu możliwości niesienia skutecznej pomocy, nie posiadali przecież

leków ani przyzwoitych środków opatrunkowych – o narzędziach chirurgicznych czy porządnej sali zabiegowej nie wspominając.

Otoczony dodatkowym płotem kolczastym barak dla Polaków wydzielono na samym końcu obozu, kilkadziesiąt metrów od ściany lasu. W jego prymitywnej izbie wypełnionej piętrowymi pryzkami gnieździło się 140 osób. Niemcy nazywali go ironicznie „Polen-Kompanie” – polska kompania. Powstańcy nie pozostawiali im dłużni. Mimo tragicznych warunków żartowali, że ich obóz, czyli ta nieszczęsna szopa, otrzymał porządną, oficjalną nazwę.

W sąsiedztwie polskiego baraku ustawiono znacznie lepiej wyposażony i posiadający wewnętrzne oświetlenie drewniany budynek dla obozowej służby wartowniczej.

Uwięzionych powstańców nie wysyłano do żadnych prac fizycznych, bezczynność i gnuśność miała pomóc w złamaniu ich woli przetrwania. Mimo surowych represji stosowanych przez Niemców często i chętnie śpiewali pieśni patriotyczne. Przypominało im to sprawę, o którą walczyli, podtrzymywało ducha oporu i wewnętrzną solidarność.

Mimo szykan i dręczącego lęku o przyszłość Polacy zachowali godność, chociaż niewątpliwie przeżywali chwile zwątpienia. Podejmowali też próby ucieczek z obozu. Powodowały je nie tylko tragiczne warunki bytowe, pragnienie odzyskania wolności czy tęsknota za rodzinami.

Jeńcy obawiali się także tego, co jeszcze szykują dla nich Niemcy. Wiedzieli, że stanięcie przed ich bezwzględny sąd wojskowy mogło oznaczać najbardziej dramatyczne konsekwencje. Co jakiś czas z lagru wywożono na takie procesy poszczególnych Polaków. Nie wracali już oni do obozu.

Bodajże pierwszą próbę wyrwania się z matni podjęli Karol Gajdzik i J. Szczepońnik. Już następnego dnia po ich zniknięciu niezwykle brawurowej, zuchwałej ucieczki dokonał szef powstańczego sztabu – Józef Buła. Nieobecność Polaków szybko oczywiście odkryto. Usiłując zapobiec w przyszłości podobnym sytuacjom za pomocą stalowych klamer zakotwiczono w oknach grube drewniane bale, zmniejszając w ten sposób do niewielkich rozmiarów ich otwory. Niewiele to pomogło. Wkrótce zbiegło pięciu następnych powstańców. Byli to J. Hager, K. Reisch, J. Szafarczyk, A. Górecki i J. Grzegorzak. Postanowili oni uciec zaraz po zapadnięciu mroku, około godziny dwudziestej 25 września 1919 roku. Niezauważeni przez wartowników, szczęśliwie minęli linię drutów i dobiegli do zbawczego lasu. Tam nocna ciemność i kolumnada drzew dała im bezpieczne schronienie. Niestety, wiadomo tylko, jak dalej przebiegała i ostatecznie zakończyła się ucieczka jednego z nich, J. Grzegorzaka.



Zanim trafili do niewoli...

Opisał on później swoją drogę do wolności. Przez bagna zalegające centrum poligonu zmierzał więc najpierw w kierunku Szprotawy. Kolejne etapy drogi stanowiły Głogów, Wschowa, Leszno i Pawłowice. Wreszcie, samotny uciekinier dotarł do Poznania. Dalej trasa powrotu z niewoli prowadziła już z Poznania przez Warszawę do rodzinnego Sosnowca.

Wielkim paradoksem było to, że na świętoszowskiej ziemi spotkali się synowie naszego narodu, pełniący w owym czasie tak różne, narzucone im przemocą role. Jedni byli formalnie wziętymi do niewoli żołnierzami rosyjskiej armii, drudzy powstańcami śląskimi – jeńcami, trzeci zaś nosili wraże niemieckie mundury jako strażnicy obozowi...

II WOJNA ŚWIATOWA – OBOZY HITLEROWSKIE I NKWD

STALAG VIII E NEUHAMMER, STALAG 308 NEUHAMMER,
28 BAB, LAGER nr 13

Przygotowanie sieci obozów jenieckich w hitlerowskich Niemczech – jako ważną część zabezpieczenia militarnych przedsięwzięć, służących agresywnej polityce tego państwa - praktycznie rozpoczęto jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Miały one podlegać Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych. Dowództwo Wojsk Lądowych sprawowało nadzór nad lagrami, zlokalizowanymi w strefie działań bojowych. Już w trakcie zaawansowanych działań wojennych, w 1943 roku powołano jeszcze Urząd Generalnego Inspektora do Spraw Jeńców Wojennych. Po nieudanym zamachu w Wilczym Szańcu na Hitlera w lipcu 1944 roku władzę nad obozami jenieckimi przejęło SS.

Niemieckie obozy jenieckie oznaczano numerem okręgu wojskowego, w którym się znajdowały. Dolny Śląsk i Opolszczyzna przynależały do VIII Okręgu Wojskowego, posiadającego swoją siedzibę we Wrocławiu. Dlatego też lagry świętoszowskie – a trzeba w tym miejscu przypomnieć, iż były one pod względem ilości jeńców jednymi z większych w całej

hitlerowskiej III Rzeszy – oznaczono cyfrą VIII poprzedzoną słowem „Stalag”, następnie umieszczano literę informującą o kolejności powstania obiektu. Na końcu znajdowała się nazwa miejscowości – na przykład Stalag VIII E Neuhammer.

Cyframi arabskimi oznaczano z reguły obozy jeńców rosyjskich. Były one znacznie gorzej wyposażone, a osoby w nich przetrzymywane poddawano innemu traktowaniu, niż miało to miejsce w obiektach odosobnienia wziętych do niewoli żołnierzy państw zachodnich. W odniesieniu do obywateli ZSRR Niemcy nie uznawali postanowień Konwencji Genewskiej. Komunistyczna Rosja nie została jej sygnatariuszem, co stanowiło wystarczający pretekst do niehumanitarnego obchodzenia się z jeńcami z Armii Czerwonej. Była to jednak barbarzyńska i nieuzasadniona interpretacja faktów. Również komisje Międzynarodowego Czerwonego Krzyża nie wizytowały łagrów, przeznaczonych dla sowieckich niewolników.

Wznoszenie Stalagu VIII E Neuhammer rozpoczęto jesienią 1939 roku, w odległości około dwóch

kilometrów na południe od wsi. Teren ten pełnił już wcześniej rolę obozu jenieckiego w czasie I wojny światowej. Późną jesienią 1939 roku przywieziono do Świątoszowa blisko 2 tysiące polskich jeńców wojennych, walczących w kampanii wrześniowej, ale pod koniec tegoż roku w obozie przebywało już około 14 tysięcy Polaków. W relacjach świadków można znaleźć informacje także o dużej grupie jeńców czeskich. W latach następnych w obozie tym przetrzymywani byli jeszcze Francuzi, Holendrzy, Belgowie i żołnierze sowieccy.

Cały lagier ogrodzono dwoma rzędami solidnego płotu, rozwieszonego na betonowych słupach. Między nimi ułożono dodatkowo zasieki z kolczastego drutu, rozciągając go także na wysokości około dwóch i pół metra. Przy ogrodzeniu rozmieszczono co pięćdziesiąt metrów wieże strażnicze.

Na zewnątrz ogrodzenia teren został dokładnie oczyszczony z drzew i wszelkich krzewów. Wykarczowany, pusty pas ziemi zapewniał doskonałe warunki do obserwacji otoczenia z wyżek postenów.

Po przywiezieniu jednej z pierwszych grup wziętych do niewoli

żołnierzy polskich i osadzeniu w 28 BAB (Kriegsgefangenen Bau und Arbeitsbataillon) – jenieckim batalionie robotniczo-budowlanym – ludzi tych zatrudniono natychmiast przy dalszej rozbudowie Stalagu VIII E Neuhammer.

Wewnątrz obóz podzielono drutami kolczastymi na mniejsze sektory, w których jeńcy byli zasadniczo przetrzymywani w odrębnych grupach jednonarodowościowych.

Mieszkali w mieszczących od dwustu do trzystu osób drewnianych barakach – w istocie standardowych budowlach stajennych, zaadaptowanych dla potrzeb lagrów – wznoszonych sukcesywnie i niemal natychmiast zasiedlanych. Podobne obiekty funkcjonowały w stalagu żagańskim.

Wewnątrz baraku tworzone dwie izby umieszczone na jego przeciwległych krańcach, zaś szerszą część środkową dzielono na cztery części. W każdej przewidziano umieszczenie przeciętnie pięćdziesięciu jeńców. Poszczególne pomieszczenia posiadały drzwi, umożliwiające zamykanie sal. Niewątpliwie chodziło przede wszystkim o uniemożliwienie kontaktów ludziom z różnych izb w razie jakiegś epidemii chorób zakaźnych, lub choćby tylko

wyłączenia ich na okres kwarantanny, w okresie powracania do zdrowia. Przy nędznym wyżywieniu, ciągłym stresie i wycieńczeniu organizmów pracą tyfus i czerwotka co jakiś czas wybuchały bowiem w różnych częściach obozu.

Podłogi pomieszczeń mieszkalnych wykonywano z pojedynczej warstwy cegieł, ułożonych wprost na glebie. W niektórych barakach ziemię pokrywano jedynie ubitą warstwą ceglanego tłucznia.

Najważniejsze umeblowanie stanowiły trzypiętrowe prycze, z papierowymi siennikami wypchanymi wiórami, wrzosem lub ściółką leśną. Wyposażenie „sypialni” uzupełniały koce, często stanowiące typowy niemiecki „ersatz”. Jeńcy otrzymywali po dwa takie okrycie.

Polaków traktowano gorzej niż wziętych do niewoli żołnierzy z państw zachodnich, otrzymywali więc zwykle tylko jeden koc. Rosjanom osadzonym w tym obozie także teoretycznie przysługiwała jedna derka, ale najczęściej nie otrzymywali niczego. Piecyki ogrzewające izby zimą konstruowali sami jeńcy, gotowe żeliwne „kozy” stanowiły wyjątki.

W magazynach lagru występowały stale ogromne braki, wykradzionymi kocami lepszej jakości handlowali z mieszkańcami okolic wachmani z obsługi obozu. Sprzedawali oni także różne cenne przedmioty, odebrane wcześniej bezprawnie jeńcom.

Baraki dla jeńców zachodnioeuropejskich wyposażono znacznie lepiej, miały one stoły, szafy i sprzęt oświetleniowy. Izby w ciągu dnia rozjaśniało jedno niewielkie okno. „Pościel” niemal we wszystkich sektorach była podobna. Wykonywała ją Śląska Fabryka Papieru ze Świątoszowa.

Racje żywnościowe dostarczane zniewolonym żołnierzom pokonanych lub będących w stanie wojny z Niemcami armii różniły się od siebie. Najlepiej pod tym względem traktowano ludzi z Europy Zachodniej.

Jeńców szybko zapędzano do pracy nie tylko w samym obozie, ale także na poligonie i w koszarach niemieckich. Ponadto zatrudniano ich w okolicznych fabrykach oraz w gospodarstwach rolnych.

Nie zachowało się zbyt wiele dokumentów, opisujących życie obozowe. Skąpe są także informacje o liczebności jeńców poszczególnych narodowości. Ilość ta oczywiście ulegała zmianom w trakcie całej wojny.

Stalag VIII E Neuhammer funkcjonował do 13 lutego 1945 roku i formalnie podlegał komendanturze Stalagu VIII C w Żaganiu. Gdy został wyzwolony, znajdowało się w nim około dwóch tysięcy jeńców, których Niemcy nie zdążyli ewakuować na zachód.

BAB (Kriegsgefangenen Bau und Arbeitsbataillon)

JENIECKI BATALION BUDOWLANO-ROBOTNICZY

Tragiczny wrzesień 1939 roku przyniósł zdradziecko napadniętej Polsce, osamotnionej w walce z hitlerowskimi hordami, zniszczenia, cierpienie i śmierć tysięcy osób cywilnych i żołnierzy. Na wszystkich bitewnych polach nasze wojsko stawiało heroiczny opór, jednak przewaga wroga, od lat przygotowującego barbarzyńską agresję, była ogromna.

Kiedy siedemnastego dnia nierównych zmagających na terytorium broniącego się państwa wtargnęły od wschodu także sowieckie tanki, sytuacja militarna kraju nie pozostawiła już żadnych złudzeń. Po wystrzelaniu amunicji wielu żołnierzy polskich trafiło do niemieckiej i sowieckiej niewoli.



Polskie czołgi lekkie 7 TP

Bardzo szybko, bowiem najprawdopodobniej już na początku października 1939 roku, 597 z nich trafiło do Świętoszowa, wtedy niosącego nazwę Neuhammer. Tu utworzono ze zniewolonych Polaków batalion budowlano-robotniczy. Wznosił on między innymi kolejne, duże magazyny, w których lokowano zdobyte przez Niemców łupy wojenne – pojazdy, broń, amunicję i materiały wybuchowe. Trafiły tam najpierw dobra zagarnięte w Czechosłowacji – a następnie sprzęt i wyposażenie zdobyte w Polsce i innych podbijanych krajach.

Zachowało się wiele fotografii, na których widać świetne polskie czołgi 7 TP z namalowanymi już na pancerzach niemieckimi „krzyżami belkowymi”. Wcześniej, nim trafiły w łapy wroga, dobrze służyły polskim załogom...

Mimo posiadania niewielkiej ich ilości – zwłaszcza jednowieżowej wersji, uzbrojonej w przeciwpancerną armatę kalibru 37 mm Bofors wz. 37 – podejmowały one brawurowo i z powodzeniem równorzędną walkę ze wszystkimi rodzajami tanków niemieckich.

Oprócz innego sprzętu, którego nie zdążyli zniszczyć nasi żołnierze przed pójściem do niewoli, hitlerowcy zagarnęli także sporo tankietek TKS oraz doskonałych artyleryjskich ciągników gąsienicowych C7P, używanych do holowania ciężkich dział. W ręce wroga wpadły również ogromne ilości polskiej amunicji do karabinów Mauser.

W świętoszowskich magazynach składowano między innymi czechoskie materiały wybuchowe, przechowywane w oddzielnych budynkach. Niemcy oczywiście pilnowali terenu całego kompleksu, jednak 12 lipca 1940 roku doszło tam do potężnej eksplozji.

Jak pisał Jerzy Horyń w swojej książce *Historia obozów jenieckich w Świętoszowie*, dzień ten zapowiadał się pogodnie, było ciepło i słonecznie. Około godziny jedenastej ciszę rozdarł potworny huk.

Po pierwszej eksplozji następowały kolejne wybuchy, taka sytuacja trwała kilka dni. Z powierzchni ziemi zniknęło około 360 baraków wraz ze zgromadzonymi w nich zapasami wojennymi. Dopiero znacznie później można było dostrzec na ich miejscu ogromny lej. Straty były niewyobrażalne...

Przerażoną i zdezorientowaną ludność cywilną ze Świątoszowa ewakuowano do pobliskich miejscowości, między innymi do Łoz i Rudawicy, wojsko zaś przebazowano do Pstrąża. Władze niemieckie starały się za wszelką cenę utajnić wszelkie wiadomości na temat owego incydentu – przecież nie przynosił on chwały tym, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo magazynów.

Od samego niemal początku jako sprawców eksplozji wskazywano polskich jeńców, pracujących w 28 Batalionie Roboczo-Budowlanym. Oficjalnie najprawdopodobniej nigdy nie uznano tego za pewnik. Zapewne przyznanie się do faktu, że sabotażu dokonali Polacy, wyprowadzając w pole niemiecką wartość, stanowiło zbyt wielki ciężar dla przedstawicieli „rasy panów”.

Wiele jednak wskazuje w istocie na to, że zniszczenie znacznej

części magazynów było ostatnim zadaniem bojowym zniewolonych żołnierzy polskich, którzy swój odważny czyn świadomie przypłacili życiem. Jak bowiem twierdził jeden z niemieckich świadków – z pracującej w pobliżu baraków z materiałami wybuchowymi grupy Polaków oddaliło się w ich kierunku dwóch jeńców. Wkrótce potem magazyny te wyleciały w powietrze...

Niestety, nic więcej nie wiadomo o ludziach, którzy dokonali tego aktu poświęcenia, niszcząc wraz z zapasami tuż pod nosem niemieckich nadzorców. Lecz słusznie Jerzy Horyń nazywa ich bohaterami. Będąc w niewoli, czuli się nadal żołnierzami polskimi, walczącymi z wrogami swojej ojczyzny. I świadomie złożyli dla niej ofiarę ze swojego życia.

STALAG 308 NEUHAMMER

Stalag 308 Neuhammer był obozem przeznaczonym dla trafiających do niewoli żołnierzy sowieckich, jego organizację rozpoczęto już wiosną 1941 roku. Obóz rozlokowano na piaszczystym pustkowiu w sąsiedztwie istniejącego Stalagu VIII E. Prace przygotowujące teren na przyjęcie ludzi ograniczono do ogrodzenia obszaru przyszłego

lagru drutem kolczastym i podzielenia go na wewnętrzne sektory. Była to więc od początku zaplanowana z premedytacją zbrodnica w istocie forma stworzenia byłym sojusznikom z września 1939 roku, a po rozpoczęciu hitlerowskiego planu „Barbarossa” śmiertelnym wrogom Rzeszy, obozu zagłady, umożliwiającego przeprowadzanie błyskawicznej, masowej eksterminacji więzionych w takich warunkach ludzi.

Pierwsi jeńcy pojawili się 15 lipca 1941 roku. Transport liczył blisko 20000 osób. Przybyłą kolumnę pędzono ulicami Świętoszowa pod nadzorem uzbrojonej eskorty od stacji kolejowej do miejsca przeznaczenia.

Wcześniej, tuż po wyjściu z bydlęcych wagonów, kazano im oddać wszystkie drobiazgi, zaś w obozie odebrano im także buty.

Wskutek planowego wyniszczania Rosjan ich pierwotna liczba szybko malała. W styczniu 1942 roku ze wspomnianej grupy pozostało 12 248 osób, w marcu 11 089, w maju 8 246, a w czerwcu żyło już tylko 7 676 ludzkich cieni...

W pierwszym okresie jeńcy stalagu 308 Neuhammer przebywali bez względu na warunki atmosferyczne

pod gołym niebem, bardzo szybko z głodu ogołocili zadrutowany teren z resztek i tak mizernej roślinności, zjadali też znalezione myszy, żuki, dżdżownice i korzenie. Nie posiadali ciepłej odzieży, wynędzniali zapadali na różne choroby i szybko umierali. Gdy zabrakło najmniejszych zwierzątek, gąsienic i trawy, dochodziło do aktów kaniibalizmu. Tępil to z całą sadystyczną bezwzględnością ich nadzorcy, a jedyną karą, stosowaną wobec przyłapanych na takim procederze, była śmierć. Przeróżające okoliczności powodowały, że jeńcy popadali w skrajną rozpacz, a nawet obłęd, dokonywali samookaleczeń i prób samobójczych, umierali setkami każdego dnia.

Jeden ze świadków twierdził, iż w czasie zarazy tyfusu konało w obozie dziennie kilkuset jeńców. Dopiero z czasem pozwolono uwięzionym na przygotowanie prymitywnych schronień, sami więc zaczęli budować ziemianki – wygrzebywane w piaszczystym gruncie długie doły, przykrywane żerdziami i gałęziami.

Minimalnie zmniejszały one uciążliwość wiatru, hulającego stale nad pozbawionym jakichkolwiek drzew

i zabudowań placem i częściowo chroniły przed zimnem, gdy lokatorzy tych nor spali ciasno do siebie przytuleni. Kiedy jednak w czasie ulewnych opadów doły szybko wypełniała woda, próbujących wydostać się z nich ludzi mordowali bezlitośnie strzałami z wież strażnicy.

Do obozu wpadali co jakiś czas pijani żołnierze różnych formacji niemieckich, stacjonujących w pobliżu – w tym także lotnicy Luftwaffe. Po nieudanych lotach bojowych bili oni, okaleczali i mordowali w odwecie za poniesione w walce straty tych bezbronnych, wynędzniałych ludzi. Znany jest przypadek, gdy grupa żołnierzy niemieckich wpędziła w czasie silnego mrozu wielu Sowietów pod lany z węża strumień lodowatej wody, po czym przemoczonych jeńców ciosami pałek i kolb zagoniono do niewielkiego karceru. Tych, którzy się tam nie zmieścili zabito strzałami z broni palnej lub uderzeniami dragów. Także niewielu z zamkniętych w tej klatce ludzi żywych doczekało następnego dnia. Większość zmarła na skutek wychłodzenia organizmów...

Jeden ze świadków, niemiecki podoficer zeznał, że ostre strzelania na poligonie przeprowadzono pewnego razu używając jako celów nie tarcz, lecz żywych ludzi, sowieckich jeńców. Z zachowanych wspomnień innych mieszkańców dawnego Neuhammer wynika, że w mordowaniu Rosjan i znęcaniu się nad nimi brał także udział burmistrz Świetoszowa o nazwisku Pöhl. Również nieletni członkowie Hitlerjugend i innych organizacji młodzieżowych bywali w obozie i przyglądali się, jak ich starsi rodacy katują bezbronnych „podludzi”. W ten sposób szkolone przyszłe oddziały bezlitosnych zbrodniarzy.

Jesienią 1941 roku zaczęto budować drewniane baraki i część jeńców została do nich przeniesiona. Szacuje się, że do końca 1941 roku do Stalagu 308 Neuhammer trafiło około 120 000 jeńców z Armii Czerwonej.

Jak wspomnieliśmy, potworne warunki egzystencji, niedostateczne wyżywienie, zupełny niemal brak opieki medycznej i ciężka praca powodowały dużą śmiertelność wśród jeńców. Przypadki mordowania jeńców przez strażników były wręcz nagminne. Dziesiątkowały ich także kolejne fale epidemii tyfusu i czerwonki.

W obozie mogło stracić życie nawet do 50 000 jeńców, a przez jego druty przeszło ponad 180 000 żołnierzy rosyjskich. Dokładna liczba ofiar Stalagu 308 nie jest możliwa do oszacowania ze względu na brak dokumentów.

Wykorzystując załamanie części Rosjan, w obozie prowadzono werbunek do formacji wojskowych współpracujących z Niemcami, między innymi do armii generała Własowa. Wcielono do niej około 6000 jeńców Stalagu 308. Pod koniec 1942 roku jeńców z obozu przeniesiono do Stalagu VIII C i VIII E, a obóz zaczął pełnić inne funkcje. Zamieniono go na bazę szkoleniową jednostek militarnych, podporządkowanych wojskowym władzom niemieckim. Do formacji tych wcielano przede wszystkim Ukraińców i Rosjan, godzących się na współpracę z III Rzeszą.

Powstał tu znany z późniejszej zbrodniczej działalności batalion „Nachtigall”, czyli słowik, a także owiana podobnie mroczną sławą 14 Ochotnicza Dywizja Waffen SS „Galizien”. Intensywnie i wszechstronnie szkolono także szpiegów, wysyłanych w ramach akcji „Zeppelin” na teren ZSRS.

Po zakończeniu wojny w byłym hitlerowskim stalagu zorganizowano obóz nr 76, Gułag Świętoszów, w którym przetrzymywano z kolei wziętych do niewoli Niemców. NKWD wydzieliła dla oficerów dodatkowy sektor, w którym panowały warunki znacznie lepsze, niż w części przeznaczonej dla szeregowców i podoficerów.

W trakcie prowadzenia kolumn jenieckich do Świętoszowa dochodziło do licznych naruszeń międzynarodowego prawa, określającego warunki przetrzymywania wziętych do niewoli żołnierzy kapitulujących armii. Wypadki znęcania się, a nawet zabijania osadzonych Niemców także w samym obozie nie należały do rzadkości.

Latem 1945 roku w Świętoszowie wegetowało ponad 60 000 jeńców. Temat ten szeroko omawia w swojej pracy kilkakrotnie tu przywoływany i cytowany autor książki *Historia obozów jenieckich w Świętoszowie*, Jerzy Horyń.

LAGER NR 13

BUDOWA AUTOSTRADY WROCŁAW – BERLIN

Przy samej autostradzie, w pobliżu nieistniejącej obecnie wsi Lipschau, funkcjonował niewielki obóz

pracy, w którym bytowali jeńcy, zatrudnieni przy budowie autostrady. Taka lokalizacja tego lagru zmniejszała czas potrzebny robotnikom na dotarcie do miejsca budowy.

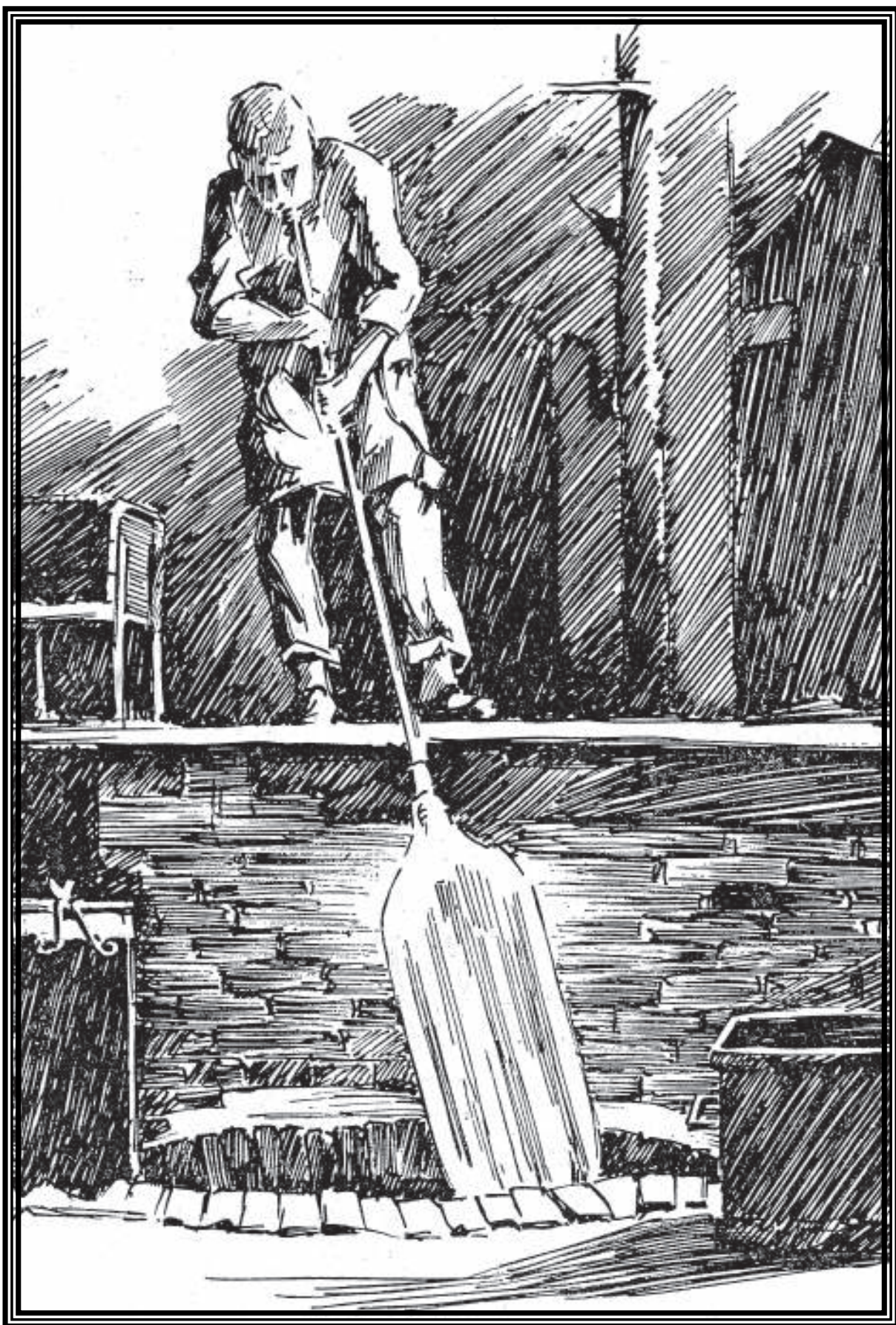
Między innymi przebywali w nim Francuzi i Rosjanie. Były tam baraki mieszkalne i inne skromne urządzenia. Widząc tragiczną kondycję fizyczną przysyłanych ludzi, dyrekcja budowy podejmowała nawet starania o poprawienie warunków ich wyżywienia. Jak wynika z zachowanej korespondencji urzędowej, przynosiło to mizerne skutki, zwłaszcza w odniesieniu do skrajnie zrujnowanych organizmów Rosjan.

Ciała wielu spośród nich zostały na zawsze w obcej im ziemi opodal budowanej drogi szybkiego ruchu.



Obozowy nieśmiertelnik

W hucie szkła... rycina z początku XX wieku



NIE TYLKO PUSZCZA

DZIAŁALNOŚĆ RZEMIEŚLNICZA I PRZEMYSŁOWA

W dobie gwałtownej urbanizacji powodującej kurczenie się obszarów zachowujących ostatnie enklawy przyrody w niewielkim stopniu jedynie dotknięte dotychczas działalnością człowieka – piękne lasy otaczające Osiecznicę i pozostałe miejscowości gminy są jej największym atutem i bogactwem. Piszac jednak o dziejach tej ziemi, nie możemy pominąć całkowitym milczeniem rozlicznych aspektów życia gospodarczego i społecznego, jakie toczyło się tu od wieków. Zamieszczone w tej części przewodnika informacje nie wyczerpują całego bogactwa tutejszych ludzkich dokonań na przestrzeni setek lat – i to z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze – niewiele w istocie jest materiałów źródłowych, pozwalających na pełniejszą relację. Z drugiej strony – pragniemy przede wszystkim zachęcić Czytelników do odwiedzenia tego pięknego zakątka Polski, przy okazji podając garść informacji także o szeroko rozumianym życiu gospodarczym.

PRZEMYSŁ SZKLARSKI

Według rzymskiego historyka Pliniusza Starszego szkło jako pierwsi mieli wytopić fenicyjcy kupcy już około pięciu tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Tworzywo to stosunkowo dawno znano także i wytwarzano na terenie, leżącym obecnie w granicach administracyjnych gminy Osiecznica – chociaż trudno porównywać ze sobą te dwie, bardzo odległe od siebie epoki.

Trzeba pamiętać, że uruchomienie przemysłu szklarskiego stanowiło proces wymagający odpowiedniej wiedzy i dostępu do potrzebnych surowców. Otrzymywanie szkła czystego, przypominającego dzisiejsze, kryształiczne tafle o doskonałej powierzchni i co do milimetra wymierzonej grubości było oczywiście przez całe dziesięciolecia niemożliwe, co wynikało zarówno z braku wystarczająco precyzyjnych maszyn i urządzeń pomiarowych, jak i popełnianych błędów technologicznych.

Według nie do końca potwierdzonych informacji pierwszą stałą hutę szkła miał uruchomić w XVII lub XVIII wieku niejaki Gottlob Bernsdorf. Wzniesiony przez niego zakład funkcjonował jakoby w południowej części wsi Ołobok. Jak wieść niesie, obiekt ten strawił w roku 1730 gwałtowna pożoga. Co jednak było jej przyczyną – nie wiadomo. Zniszczoną manufakturę odbudowano i podjęto w niej dalszą produkcję.

Wytwarzanie szkła pochłaniało ogromne ilości drewna, na szczęście tego surowca nie brakowało nigdy w okolicy. Próby opalania pieców węglem kamiennym nie przynosiły zadowalających rezultatów. Otrzymywany wyrób był znacznie gorszej jakości.

Huta z upływem czasu mocno podupadła, a swoje funkcjonowanie zakończyła ostatecznie w roku 1748. Obecnie po tej historycznej manufakturze nie ma już śladu.

Łatwo natomiast odnaleźć na starych mapach, i na tej podstawie wskazać w terenie, dawną lokalizację Huty Andrzeja w Osiecznicy. Rozpoczęła ona produkcję w połowie XIX wieku – konkretnie

w roku 1842 – pod nazwą Andreas Hütte. Bardzo umiejętnie wykorzystano czas wielkiej gospodarczej koniunktury, pozwalającej na szybki rozwój tej manufaktury. Jej produkcję oceniano na siedem garnców szkła dętego z pieca.

Cały kompleks obiektów fabrycznych wzniesiono pomiędzy główną szosą wiodącą do Parowej a dawnym leśnym traktem, zwanym Drogą Zamkową. Rozbudowując sukcesywnie zakład, wymurowano ostatecznie łącznie ponad dziesięć różnych hal i magazynów pomocniczych, a także dziesięć nowoczesnych na owe czasy domostw pracowniczych, z których znaczna część służy ludziom do dnia dzisiejszego. Surowiec do produkcji wyrobów, czyli piasek szklarski, wydobywano w kopalni zlokalizowanej przy szosie biegnącej do Parowej. Do dnia dzisiejszego widnieje tam długie i stosunkowo głębokie wyrobisko, porośnięte obecnie lasem.

Charakterystyczny, z daleka widoczny element „wystroju” huty stanowił wysoki komin. Doprowadzono do niej również bocznice kolejową, posiadającą własną rampę. Było to o tyle łatwe, że główne

torowisko żelaznego szlaku przebiegało tuż za ogrodzeniem, a miejscowa stacja, dysponująca zapleczem towarowym i osobowym, funkcjonowała kilkaset metrów dalej.

Po wejściu w 1945 roku Rosjan bardzo szybko sowieccy „fachowcy” przystąpili do demontażu urządzeń odlewniczych i ich wywózki na wschód. Obecnie w zasadzie nie ma już śladu po samych zabudowaniach fabrycznych, pozostały jedynie dawne domy pracownicze, zasiedlone przez nowych mieszkańców Osiecznicy. Do dzisiejszego dnia na miejscu dawnej Huty Andrzeja można jednak czasem znaleźć w ziemi bryłki szkła o pięknej, zielonkawej barwie.



Nieistniejąca Huta Andrzeja w Osiecznicy

Kolejna, podobna osiecznicka firma powstała w roku 1848, jej zdolność produkcyjna wynosiła także siedem garnców z każdego z pieców, przy czym oprócz szkła dętego wytwarzano w niej także szkło tafłowe. Ponieważ tworzywo to okazało się bardzo chodliwym towarem, a miejscowe wyroby miały dobrą markę, więc już w 1859 roku wzniesiono trzecią manufakturę. Ta zajmowała się wypuszczaniem na rynek jedynie tafli szklanych. Wytapiano w niej sześć garnców z pieca.

Jako niezwykle potrzebny hutom zakład towarzyszący, uruchomiono także szlifiernię, nad Kwisą zaś pełną parą pracował duży warsztat stępowy, gdzie rozdrabniano prefabrykaty niezbędne do produkcji szkła. Fabryka zatrudniała sześćdziesięciu sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Również Parowa miała swoją manufakturę wytwarzającą szkło. Nie ma jednak zbyt wielu informacji na temat jej pracy. Jako jedyny taki zakład w tej wsi została zamknięta w roku 1748.

Według protokołu zdawczo-odbiorczego z dnia 15 września 1945 roku Grupa Operacyjna Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, reprezentowana przez Michała Czarnotę-Bojarskiego, przekazała Andreas Hütte, czyli Hutę Andrzeja – a właściwie to, co pozostało z niej po sowieckim demontażu – i szlifiernię szkła w Osiecznicy Pełnomocnikowi Rządu RP na Okręg Administracyjny Nr 36 – Bolesławiec, w osobie wicestarysty Karola Bieniaszka, który przejął je jako przedsiębiorstwa szklarskie, należące od tej chwili do lokalnego, polskiego przemysłu.



WYROBY CERAMICZNE

Odkryte bardzo wcześnie na pograniczu śląsko-łużyckim złoża szlachetnych glin – co dotyczyło również terenu gminy Osiecznica – stały się podstawą do powstawania i rozwoju zakładów produkujących wyroby ceramiczne. W Parowej ogromny wpływ na szybkie pojawienie się owej gałęzi wytwórstwa miała osoba pochodzącego z Rendsburga nad Elderą, sześćdziesięcioletniego Jana Henryka Mikołaja Matthiessena.

Już 28 stycznia 1808 roku zapoczątkował on we wsi wytwarzanie fajansu delikatnego. Prowadząc dość szeroką działalność gospodarczą, jego przedsiębiorstwo wykorzystywało zaadaptowane wcześniej zabudowania starej, miejscowej, garncarni. Zapewne ten wysłużony obiekt, noszący wtedy numer 57, musiał pochłaniać wiele nakładów finansowych i ludzkiej pracy, by móc właściwie służyć nowym zadaniom.

Gdy Jan Henryk zmarł w roku 1812, zakład przejął jego najstarszy syn – Fryderyk Mikołaj Matthiessen – i z czasem stworzył z niego fabrykę porcelany. Jej produkty powstawały w dopracowanym technologicznie procesie przeróbki z miejscowych złóż ilów i kaolinu. Manufaktura nosiła nazwę Alte Steingutsfabrik von F.N. Mathiessen seu.

Pierwszy piec do wypalania szlachetnej porcelany uruchomiono w niej w roku 1865. Siedem lat później Fryderyk sprzedał fabrykę utworzonemu przez siebie Towarzystwu Akcyjnemu o nazwie Schlesische Porzellan – und Chamott – Fabriken Actiengesellschaft.

Od tego momentu pełnił tam funkcję dyrektora.

Rodzina Matthiessenów przyczyniła się do powstania jeszcze jednego miejscowego zakładu ceramicznego, albowiem 2 kwietnia 1832 roku Krystian (Christian) Matthiessen, młodszy brat wspomnianego na wstępie Jana Henryka, uruchomił





w Parowej drugą fabrykę fajansu Silesia, nastawioną początkowo na eksport wyrobów do Królestwa Polskiego, Wielkopolski i Śląska. Większość łaów ceramicznych, używanych w tym procesie technologicznym, nie pochodziła jednak z okolic Parowej, lecz przywożono je z Kunic Źarskich i odległego Halle. Bardzo dbano o jakoś wytwarzanych naczyń, dlatego także inne potrzebne składniki najwyższej próby dostarczano nawet z wyspy Rugia i Szwecji.

Także i to przedsiębiorstwo w 1872 roku Krystian, podobnie jak jego brat, przekształcił w Towarzystwo Akcyjne pod nazwą Tiefenfurther Porzellan – und Chamott – Fabriken Actiengesellschaft (Parowskie Fabryki Ceramiki i Glin Ogniotrwałych). W 1876 roku wytwórnia ta przeszła w posiadanie C.J. Redischa, zaś po jego śmierci wdowa po nim sprzedała w lutym 1884 roku cały zakład żonie (z domu Schüller) naczelnika miejscowego urzędu, Sporledera.

Najmłodszy z braci, Fryderyk Matthiessen od 4 września 1822 roku związany był małżeńskim węzłem z Henriettą Ernestyną, drugą córką miejscowego pastora i nauczyciela rodziny hrabiów zu Solms z Kliczkowa, Jana Henryka Thamela.

Zatrzymał on w posiadaniu ojcowski zakład, jednak sam zmarł już w roku 1845.

Jego rodzinny grób przez lata można było widzieć na przykościelnym, klickowskim cmentarzu. Owdowiała Henrietta odeszła z tego świata pięć lat po nim, 28 stycznia 1850 roku.

Pięćdziesiąt lat po założeniu starej fabryki – w roku 1858 – Reinhold Fryderyk Mikołaj Matthiessen, urodzony w Parowej 7 listopada 1826 roku jedyny syn Fryderyka,



który po śmierci ojca przejął manufakturę, w miejscu istnienia dawnego zakładu ceramicznego ustawił kamień pamiątkowy z okolicznościowym tekstem i cytatem :

*D e r
Grundern dieser Stei-
ngutfabrik Johann Nikolai Mat-
thiessen u es, und dessen Sohn Friedrich
Nicolai Matthiessen gewidmet von deren Enkel
und Sohn Reinhold Nikolai Matthiessen*

28 Januar 1808 – 1858.

*“Was du ererbt von deinen Vatern hast, Erwirb es,
um es zu besitzen”*

*- Założycielom tej fabryki fajansu,
Janowi Mikołajowi Matthiessen, i jego synowi Fryderykowi Mikołajowi Mat-
thiessen, (monument ten) poświęca ich wnuk i syn, Reinhold
Mikołaj Matthiessen - 28 stycznia 1808 – 1858. „To coś po
ojcu odziedziczył w spadku, jeśli chcesz posiąść,
zdobądź raz jeszcze”*

Reinhold także zmienił swój zakład w Towarzystwo Akcyjne, będąc na początku jego dyrektorem. W kwietniu 1875 roku musiał jednak opuścić spółkę i przenieść się do Lubania, gdzie zmarł 18 listopada 1902 roku.

Od 1890 roku fabryką, która teraz nazywała się Schles. Porzellanfabrik, kierował rotmistrz kawalerii Paweł Jerzy Alfred Donath, urodzony w Dreźnie 3 lipca 1855 roku. Ten zmarł jeszcze przed śmiercią Reinholda Matthiessena, 3 maja 1901 roku.

Donath był mężem Anny Marii z domu Trepp. Ich jedyna córka wyszła za Waltera Steinmanna seniora. Co ciekawe, w czasie zarządzania

manufakturą przez byłego kawalerzystę jego firma procesowała się z zakładami produkującymi porcelanę miśnieńską.

3 października 1849 roku na lewym brzegu Czernej Wielkiej, czyli już na terenie Saksonii, w części Parowej należącej wtedy do powiatu zgorzeleckiego Karl Rädisch założył najstarszą (między Odrą a Nysą Łużycką) malarnię na porcelanie i fajansie delikatnym. Z czasem ta malarnia także przekształciła się w fabrykę porcelany. Przez kilkadziesiąt lat jego zakład był systematycznie rozbudowywany, a roku 1872 właścicielem firmy został Kuno Steinmann, który sprzedawał swoje wyroby za oceanem. Ciekawostką jest to, iż uruchomił swój sklep firmowy aż w Nowym Jorku.

W okresie międzywojennym pracowała także druga, świetna malarnia porcelany, należąca do E. Lebera, której gotowe wyroby rozprowadzano pod nazwą Stern Porzellan (gwiazdna porcelana). Dziewięć lat później odkupił on manufakturę w Parowej i otworzył w niej prywatną firmę. Kiedy nowy właściciel



zmarł w 1893 roku, przedsiębiorstwo odziedziczył Walter Steinmann, który nabył zakład Silesia.

Na początku XX wieku liczyły się na rynku trzy wielkie fabryki porcelany z Parowej – Carla Hansa Tuppacka, Kurta Steinmanna i Spółki oraz Pawła Donatha i Spółki. Ciekawostką jest to, że wszystkie one miały podobne oznakowania wyrobów, a mianowicie literę S (jako skrót od Silesia) oplecioną na koronie oraz dodatkowe napisy lub skrzyżowane szpady. Wprowadzało to czasem w błąd mniej doświadczonych zbieraczy ceramiki, mylnie sądzących, iż mają do czynienia z wyrobami saskimi.

Dzisiaj zarówno dzieła firmy Tuppacka, jak i Steinmanna zaliczane są przez znawców i kolekcjonerów do niezwykle cennych i ciekawych. Warto także wiedzieć, że w całej byłej prowincji śląskiej z parowskimi wyrobami mogły jedynie konkurować produkty wałbrzyskich zakładów porcelany.

Wielu ludzi poszukuje obecnie niezwykle rzadkich, powstających dawniej w Parowej egzemplarzy

naczyń użytkowych – kubków, dzbanków, talerzy, sosjerek, waz, półmisek – jak i wyszukanych wyrobów artystycznych, utrzymanych w stylu rokoko i biedermeier.

W fabryce Tuppacka podjęto bardzo udanie wytwarzanie cieszącej się dużym powodzeniem u klientów porcelany o wzorze China Blau (chiński błękit, chiński niebieski), nakładanym precyzyjnie na bardzo cienkie ścianki czerepów. Przepiękne pejzaże, widoczki urokliwych domostw i malowniczych wiatraków oraz sceny z życia codziennego utrwalone tą techniką na wazonach i dzbanach, a nawet małych filiżankach są utrzymane w klimacie bardzo romantycznym i pozwalają na łatwe rozpoznanie ich producenta.

Według wytrawnych znawców przedmiotu do najciekawszych spośród dawnych produktów z Parowej zaliczyć trzeba także wyroby pochodzące z firmy Pawła Donatha i Spółki, oznakowane dużymi literami TPN (Tiefenfurth Porzellan Manufaktur) oraz orłem kształtem zbliżonym do piastowskiego. Manufaktura ta produkowała filiżanki, zastawy i wazony z widokami kurortów oraz zamków śląskich.



Zapewne wielkie znaczenie dla początków przemysłu ceramicznego w gminie Osiecznica miała życiowa postawa hrabiowskiej rodziny Solms. Wydali oni zgodę na eksploatację potrzebnego do produkcji surowca na terenie ich własności w Puszczy Osiecznickiej. Wiadomo też, że niezbyt wyszukane garncarstwo uprawiano w pewnych okresach również w innych miejscowościach – warsztat produkujący te pożyteczne naczynia pracował też w Ławszowej.

Warto spojrzeć na dynamiczny rozwój liczby osób zatrudnionych w tej gałęzi wytwórstwa. W roku 1860 najstarszy zakład wytwarzający fajans w Parowej zatrudniał ponad stu pracowników.

Jak wspomniano wcześniej, w 1872 roku fabryka została zakupiona przez towarzystwo akcyjne, a w czasie I wojny światowej jej właścicielem stał się Carl Hans Tuppack. To pod jego kierownictwem przedsiębiorstwo rozbudowano i unowocześniono. Był czas, gdy zatrudniało ono 350 pracowników. Wielki kryzys lat trzydziestych dotknął w bardzo poważny sposób również producentów ceramiki w Parowej.

W czasie II wojny światowej we wsi tej mieścił się obóz pracy przymusowej. Mieszkali w nim ludzie zatrudnieni w zakładach Tuppacka. Według relacji osób pamiętających miejsce zlokalizowania tego obozu i mających możliwość obejrzenia jego zabudowań przed ich likwidacją – baraki dla robotników posiadały łazienki i były przyzwoicie wyposażone. Również wyżywienie i warunki stworzone przebywającym w łagrze ludziom były całkiem znośne.

Kiedy 20 września 1945 roku sporządzano sprawozdanie z przebiegu akcji przekazywania przedsiębiorstw przemysłowych w okręgu bolesławieckim, stwierdzono w nim, że Centralny Zarząd Przemysłu Budowlanego przejął między innymi (cytat):

Leber & Co, Stern Porzellanfabrik w Tiefenfurcie
Porzellanfabrik K. Steinemann w Tiefenfurcie
Porzellanfabrik Silesia w Tiefenfurcie
Porzellanfabrik Carl Hans Tupak w Tiefenfurcie

Zakłady te zostały wtedy częściowo obsadzone przez personel polski, przywieziony przez profesora Czechowskiego, częściowo zaś (w Tiefenfurcie, jak to ujęto w protokole – czyli Parowej) przez tamtejszy dawny personel niemiecki. Całość została oddana pod nadzór ceramika-technologa, profesora Szafrana, dotychczasowego współpracownika Grupy Operacyjnej, działającej na terenie powiatu bolesławieckiego.

Pod koniec sierpnia 1945 roku sporządzono ciekawy dokument, będący pokłosiem lustracji dokonanej przez przedstawicieli polskiej administracji, mającej ocenić stan przemysłu w Parowej.

W zachowanym do dnia dzisiejszego sprawozdaniu pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów Michała Czarnoty-Bojarskiego napisano:

Zjednoczenie Przemysłowe.

31.08 zjechali do Bolesławca przedstawiciele przemysłu ceramicznego pod kierownictwem profesora Czechowskiego. Zwiedzili oni nazajutrz w towarzystwie, z ramienia Grupy, pp. Szeligi i Szafrana, zakłady w Siegiesdorfie (Zembrzydowej) Ullersdorfie (Ołdrzychowie), Giesdorfie (Gierałtowie) i Lubaniu, a w dniu dzisiejszym wyjechali do Tiefenfurtu (Parowej) celem zwiedzenia 4 tamtejszych fabryk porcelany. Według programu, z Tiefenfurtu mają oni wyjechać poza granice powiatu i dopiero za mniej więcej tydzień prof. Czechowski zamierza zjechać do Bolesławca celem podpisania ze mną odnośnych protokołów zdawczo-odbiorczych. Do ceramików dołączył się przybyły wczoraj wieczorem z ramienia Przemysłu Materiałów Ogniotrwałych dyr. Czerniewski celem zbadania kopalń kwarcytów w okolicach Tiefenfurtu, Aschitzau, Hermannsdorfu. Prace jego potrwać kilka dni.

Zaczynała się polska historia ceramiki w Parowej.





W kuźni... rycina z początku XX wieku

KOPALNIE WĘGLA BRUNATNEGO I INNYCH SUROWCÓW MINERALNYCH



O występowaniu węgla brunatnego na terenie puszczy – także w okolicach Osiecznicy – wiedzano od dawna, a duże pokłady tego surowca znaleziono w granicach powiatu zgorzeleckiego – w Zielonce. Eksploatowano go na większą skalę również na ziemi bolesławieckiej, w Parzycach, leżących jednak poza włościami osiecznickimi. Tam powstała nawet specjalna kolejka linowa. Jej koleby, dźwigające urobek sunęły rzędem nad Kwisą i przyległymi do rzeki polami, kończąc swoją nadziemną wędrówkę w odległej o ponad dwa kilometry od miejsca wydobycia węgla brykietarni o nazwie Bunkier. Funkcjonowała ona także poza granicami gminy, w okolicach wsi Zebrzydowej.

W początkach XVIII wieku natrafiono na skromne złoża węgla brunatnego, zalegające płytko opodal Ołoboku. Odkrycia dokonano w trakcie pozyskiwania gliny. Śladowe ilości tego pożytecznego surowca znalazł nad samą Kwisą również geolog Abraham Gottlob Werner.

Ta gałąź kopalnictwa nie miała jednak nigdy większego znaczenia dla życia gospodarczego na tym terenie. Zupełnie inaczej ma się sprawa szlachetnych ilów – używanych do produkcji kamionki i ceramiki – oraz piasków szklarskich. Złoża niektórych z tych kopalin są nadal eksploatowane.

TORFOWISKA I SMOLARNIE

W pobliżu Tomisławia, Parowej i Ołoboku – najprawdopodobniej w trakcie prac leśnych lub też poszukiwania gliny – natrafiano na pokłady torfu. Skąd się tam wzięły? Otóż w rosnącej na tym terenie przed wiekami pierwotnej puszczy przyroda sama regulowała życie leśnej biocenozy. Obok pnących się ku niebu młodych roślin dogorywały ogromne pnie obumierających ze starości drzew.

Padaly one w bagnisty teren, a mokradła wchłaniały je w głąb topieli. Proces taki powtarzał się niezliczoną ilość razy. Powstawało w ten sposób wiele warstw, ulegających pod ciężarem kolejnych pokładów osadu sprasowaniu. Po uwolnieniu z nich tlenu powstał torf, najmłodszy rodzaj węgla kopalnego. Ten niezwykle pożyteczny dawniej przede wszystkim w gospodarstwach domowych surowiec pozwalała na chałupniczą eksploatację, a po wysuszeniu służył jako opał. Pewne ilości torfu wydobywano właśnie w okolicach Parowej, Świętoszowa i Ołoboku.



W dziewiętnastym wieku powstała kopalnia torfu w Tomisławiu. Do dnia dzisiejszego są tam widoczne wyrobiska, nazywane gliniankami. Olbrzymie lasy i mnogość drzew iglastych w okolicach Osiecznicy pozwalała z kolei na pozyskiwanie żywicy i produkcję dość prostymi metodami smoły. Już w zamierzchłych czasach funkcjonowało na terenie gminy kilka takich wytwórni, między innymi pod Kliczkowem, Tomisławiem i Bronowcem. Owe prymitywne „zakłady przeróbcze” umiejscawiano zwykle w lesie. W nich to poddawano procesowi prażenia wszelkie odpady i nieużytki drzewne. Tak uzyskiwano smołę, otrzymywano także spirytus drzewny, terpentynę i podobne produkty.

Do końca drugiej wojny światowej istniały w gminie dwie duże, złożone z kilku zabudowań gospodarczych i domostw mieszkalnych, śródlęsne kolonie, noszące nazwy Górna Smolarnia i Dolna Smolarnia. Po obydwu pozostały jedynie ruiny. Pierwszą z nich wzniesiono w pobliżu Tomisławia.

Dzięki uprzejmości byłej mieszkanki tego puszczańskiego majątku, spędzającej w nim niegdyś swoje dzieciństwo, otrzymaliśmy zdjęcia z okresu jego dawno minionej świetności. Ukazują one zadbane budynki, ogrodzenia, bramy, równe ścieżki i ozdobne klomby.



Z ruin dawnych zabudowań tej smolarni pochodzi także znaleziona figurka dziecka oraz lampa acetylenowa, jakie instalowano przy wiekowych bicyklach należących do mieszkańców owej niewielkiej, leśnej osady.

Opodal głównej leśniczówki, posiadającej kilka studni i naziemnych pomieszczeń gospodarczych, przygotowano także specjalne, obetonowane podziemne bunkry, umożliwiające bezpieczne przechowywanie beczek z terpentyną i smołą.

Około kilometra na północny wschód od drugiej smolarni, czyli Dolnej, poprowadzono w pierwszej połowie XX wieku autostradę. Mimo szerokiego, zadrzewionego pasa terenu, oddzielającego „żywiczną” kolonię od betonowej jezdni i niewielkiego początkowo natężenia ruchu samochodów – ta nowoczesna nitka komunikacyjna zmieniła dotychczasowe, spokojne i ciche życie niewielkiej puszczańskiej sadyby.

Dzisiaj pamiątką po dawnych mieszkańcach Nieder Pechofen są ogromne winne dęby, posadzone przez nich w pobliżu zagród.

Część tych potężnych drzew, mających pnie o obwodzie niemal pięciu metrów, rośnie nadal opodal zamaskowanych trawą i pokrzywami pagórków ruin, znaczących miejsce funkcjonowania tej od lat nieistniejącej smolarni. Mniej więcej sześćset metrów na południe od niej stała niegdyś wysoka wieża, z której obserwowano okoliczne lasy i po zauważeniu nad knieją dymu ogłaszano alarmy przeciwpożarowe.

Jak wspomnieliśmy wcześniej – od sześćdziesięciu pięciu lat nie ma zabudowań żadnej z wymienionych osad, a zamiast wieży sterczą jedynie nędzne fragmenty postumentów, w których niegdyś zakotwione były jej główne podpory.

Smołę produkowano niegdyś także w okolicach Parowej – wsi w przeszłości bardziej związanej ze Zgorzelcem, niż z pobliskim Bolesławcem. Powstała ona nad brodem w rzeczce Czernej Wielkiej, jako miejscowość zasiedlona przez dawnych rzemieślników, wytwarzających węgiel drzewny i smołę, a także kowali. Swoją nazwę Tiefenfurt (Głęboki Bród) zawdzięczała niewątpliwie właśnie owej pradawnej rzecznej przeprawie.

To przy niej powstały bowiem najpierw opalane drewnem stare kuźnie. Z czasem wybudowano tam most nazywany Zgorzeleckim (Gorlitzer Brücke). Wozy ciągnące do zakładów kowalskich, wytwórni smoły i węgla drzewnego przejeżdżały od tej pory wygodnie przez tę pożyteczną konstrukcję.

KAMIENIOŁOMY I EKSPLOATACJA WAPIENIA

W okolicach Osiecznicy funkcjonowały od wielu dziesiątków lat niewielkie miejsca pozyskania piaskowca, z których wydobywano skałę wykorzystywaną po obrobieniu do wznoszenia domostw i budynków gospodarczych. Patrząc na stare niemieckie mapy, znajdziemy kilka tego rodzaju, dawno zamarynych wyrobisk.

Przy asfaltowej szosie biegnącej do Parowej, tuż obok jej skrzyżowania z drogą leśną łączącą niegdyś zabudowania Domu Marii (Marienhaus) z leśnym gospodarstwem Hosnitzbrand, znajdują się pozostałości niewielkiego kamieniołomu. Zapewne to właśnie stąd brano piaskowiec do budowy wspomnianej leśniczówki i obiektów pobliskiego majątku.



Dość niezwykle znalezisko, odkryte w resztkach skalnego wyrobiska, stanowiła srebrna polska moneta sprzed 1939 roku o nominale 2 złotych. Tajemnicą pozostanie kto i w jakich okolicznościach zgubił tam ten pieniążek.

Po wschodniej stronie koryta Kwisy, pomiędzy rzeką a leśnym traktem, nazywanym od dawien dawna Drogą Żagańską, mniej więcej na wysokości skraju Osieczowa i pierwszych zabudowań Osiecznicy było dawniej pięć niewielkich kamieniołomów. Z czasem eksploatując skałę, niewielkie wyrobiska powiększono, a niektóre nawet połączono w dużą całość. Ciekawostką w tamtym rejonie jest pozostałość solidnej, stalowej kasy pancernej, wmontowanej w wybetonowaną wnękę, wykopaną w skarpie opodal dawnego kamieniołomu.

Tuż pod samą Osiecznicą wydobywano także rzadki rodzaj wapienia i przerabiano go w piecach zwanych wapiennikami. Resztki takiego obiektu można było znaleźć na miejscu, gdzie dzisiaj stoi jedno z gospodarstw, wzniesionych opodal powstałej w trakcie pozyskiwania surowca, głębokiej rozpadliny, zarastającej już od lat drzewami i krzewami. Rozciąga się ona blisko wsi, po zachodniej stronie zabudowań, a jej południowo-wschodnia część leży niespełna sto pięćdziesiąt metrów od prawego obrzeża drogi, prowadzącej do Parowej. Najprawdopodobniej materiału ze wspomnianego pieca wapiennego użyto przy budowie domu i szop powstałej na jego miejscu zagrody, bowiem na mapach z 1940 roku już go nie ma.

Transport kotła – początki XX wieku



Szczególnie romantycznym zakątkiem tego sztucznego, powapiennego kotła terenowego jest niewielka pieczara, wykuta w stromym zboczu wyrobiska, oraz sąsiadujący z jaskinią, obudowany ceglami chodnik, zwykle częściowo zalany wodą i przez to trudno dostępny. Tunelik ten kończy się zresztą zawałem już sto pięćdziesiąt metrów od wlotu. Nie jest do końca wyjaśnione jego dawne przeznaczenie, być może prowadził do jakiegoś, dzisiaj niedostępnego, magazynu materiałów wybuchowych, używanych przy eksploatacji wapiennej skały.

Przy wschodnim krańcu długiego wyrobiska, od jego północnej strony przez lata wysypywano płonny materiał, z którego powstało charakterystyczne, kopulaste wzniesienie. W podobny sposób utworzono kilkadziesiąt metrów dalej nieco mniejszy pagórek.

W pewnej odległości od tej sztucznej, głębokiej kotliny, na południe od niej, niemal przy samej szosie stały kiedyś zabudowania dużego gospodarstwa, zostało ono jednak całkowicie zniszczone. Do dnia dzisiejszego wykorzystywane są natomiast domostwa i obiekty gospodarcze, mieszczące się na północnej stronie wyrobisk.

Na terenie gminy znaleźć można jeszcze kilka pomniejszych śladów wybierania skały, skąd pozyskiwano piaskowcowy budulec, służący następnie wznoszeniu budynków mieszkalnych, stodół i obór. Pracowano w nich metodami chałupniczymi i w ten sposób zaspakajano potrzeby nie tylko poszczególnych osad, ale także pojedynczych zagród. Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na specyficzne ocieplanie wykonywanych z piaskowca, a nawet cegły konstrukcji. Pomiedzy pionowe warstwy takiego materiału wprowadzano bloczki z niebieskawej szlaki. Sporo ich wała się dzisiaj przy śródleśnych ruinach.

ODLEWNIE METALU I PRZERÓBKA RUDY DARNIOWEJ

W wielu miejscach podmokłych polan i łąk w pobliżu Kwisy od dawna znajdowano płytko pod powierzchnią ziemi czerwono-brunatną kopalinę – rudę darniową. Złoża tego surowca występują na obszarze kraju niemal wszędzie, a jego zasoby są nadal ogromne, mimo wielowiekowej eksploatacji. Pokłady rudy darniowej powstawały między kolejnymi zlodowaceniami, w okresach ocieplenia.

Wśród wsi gminy Osiecznica, których mieszkańcy już w zamierzchłej przeszłości kładli podwaliny pod działalność hutniczą i odlewnictwo, poczesne miejsce zajmuje niewątpliwie Świętoszów. Już dawna nazwa owej wsi w jednoznaczny sposób nawiązuje pracy jej mieszkańców: Neuhammer – to właśnie Nowa Kuźnia, lub też Nowa Kuźnica. Słowo nowa wskazuje tu dodatkowo, iż miejscowość należała zapewne do najmłodszych osad, powstających w rozległych lasach, dostarczających wielkich ilości drewna, przeznaczonego do pieców kuźniczych i hutniczych. Wspomniano ją już w roku 1405, w dokumentach Księstwa Żagańskiego. Osada składała się wtedy najprawdopodobniej z trzech odrębnych sadyb – zapisano je bowiem jako Nową Kuźnię (Newe Hammer), Kuźnicę Żelaza (Eisenhammer) oraz w roku 1575 Wieś (Dorf).

Właśnie w ich okolicy z licznych torfowisk i podmokłych łąk od dawien dawna wydobywano duże ilości rudy darniowej, zawierającej w istocie stosunkowo niski procent żelaza, a następnie prymitywnymi metodami wytapiano z niej ten cenny metal. Od wczesnego średniowiecza zakładali więc tu swoje siedziby także dawni hutnicy i kowale.

Wiadomym jest, że w XV wieku posiadaczem jednej z pierwszych kuźnic był nieznany bliżej rzemieślnik o imieniu Mikołaj. Jego zakład padł jednak ofiarą rabusiów, a po jego zniszczeniu hutnik ten uciekł do Pieńska. Bardzo prawdopodobne jest, że poczynając od 1510 roku przez kolejnych dwadzieścia lat zamarłe kuźnie w Świętoszowie nie prowadziły wytopów. Do pozyskania żelaza służyły początkowo niezwykle proste piece hutnicze, w Polsce zwane dymarkami. Takie obiekty znajdowały się nie tylko w pobliżu Świętoszowa, ale także sąsiednich Łozów i położonej nieco

dalej Rudawicy. Tutejsze kuźnie znane były szeroko również poza granicami Śląska, a spośród nich te świętoszowskie zaliczano do najnowocześniejszych i najbardziej wydajnych w Księstwie Żagańskim.

W roku 1749 wydzierżawiono książęcą kuźnię znakomitemu mistrzowi Georgowi Erdmannowi Friedlerowi, aliści hutnik ten przedwcześnie zmarł już dziesięć lat później. Doprowadzona tym faktem do rozpaczyny żona, Rosina, zażądała od księcia żagańskiego odszkodowania pieniężnego, mającego zrekompensować poniesione wcześniej przez jej męża wydatki na rozwój i unowocześnienie wydzierżawionego zakładu kuźniczego. Zachowały się również nazwiska innych osób, związanych w przeszłości ze świętoszowskim hutnictwem. W roku 1776 pracownikiem tamtejszej kuźni był kowal Erdmann Friedler, a w innym okresie zatrudniano tam także majstra kuźniczego Balthasara Giesela i jego potomka Johanna Giesela.

Proces pozyskiwania żelaza wymagał zaangażowania nawet kilkunastu rzemieślników. Wytapiany produkt był jednak mocno zanieczyszczony, a w konsekwencji i kruchy.

Taką surówkę należało dopiero przekuwać wielokrotnie ręcznie lub przy pomocy wprowadzonych znacznie później młotów poruszanych wodą Kwisy. Rzeka ta wypełniała zresztą także inne zadania – jej bystry nurt przepłukiwał wydobytą rudę darniową oraz napędzał koła, uruchamiające miechy i „zmechanizowane” młoty. Bardzo ważną rolę w procesie wytopu odgrywał też węgiel drzewny, wypalany masowo w lasach i przywożony przez węglarzy do warsztatów żelaznych.

Najwcześniejsze wzmianki na temat miejscowych przedstawicieli tego egzotycznego zawodu pochodzą z dwóch dokumentów: potwierdzenia kupna przez Rechenbergów okolicznej puszczy, sporządzonego w roku 1393, oraz listu lennego z 13 grudnia 1590 roku, wystawionego w dominium osiecznickim. Obydwa dotyczą także niewielkiej wsi Bronowiec (Schnellenfurt), ulokowanej nad brzegami rzeczki Czarna Wielka. Osada ta powstała właśnie dzięki temu, że jej pierwszymi lokatorami byli pracownicy leśni i węglarze, wypalający w specjalnych kopcach węgiel drzewny. Byli to twardzi ludzie, przyzwyczajeni do trudnej pracy i samotności.

Ostatnia z bronowieckich kuźnic leśnych przestała działać w roku 1720.

Oczywiście rozwojem kuźnic zainteresowani byli właściciele ziemscy, którzy dostrzegali rosnące zapotrzebowanie na żelazo i liczyli na osiągnięte z jego sprzedaży zyski.

Obecnie wyraźnych śladów po dawnych kuźnicach już nie ma. Ciekawostką jest, że w czasie I wojny światowej, gdy rozpaczliwie poszukiwano surowców do produkcji wielkiej ilości stali,

na Górnym Śląsku, gdzie materiał ten ponownie przetapiano. Szlaka ta zawierała jeszcze około 40% żelaza, którego nie potrafiono wydobyć wcześniejszymi, prymitywnymi metodami, w dawnym procesie technologicznym. Świątoszowskie kuźnie przeżywały swoje wzloty i upadki, co związane było między innymi z okresami wojen.

W 1840 roku Świątoszów należał do dóbr kameralnych Księstwa Żagańskiego. Panią lenną tych terenów była księżna Paulina Hohenzollern-Hechingen, córka Piotra Birona.



*Piotr Biron i
jego córka
Paulina
Hohenzollern-
Hechingen*



między innymi w Świątoszowie wykopywano szlakę, pochodzącą z dawnych pieców hutniczych. Znajdywano jej zapomniane pokłady i jako wartościowy, swoisty półprodukt przesyłano

We wsi znajdowało się wówczas 14 domów, folwark, młyn wodny i kuźnia żelaza, istniejąca już od 1480 roku. Podstawową funkcję spełniał w niej jeden wysoki piec, przetapiający surową rudę żelaza,

w ilości ponad 17 ton. Pracowały także dwa inne piece, których zadaniem było oczyszczania pozyskanej surówki ze związków manganu, fosforu i krzemu. Osiągano to poprzez wdmuchiwanie do rozżarzonego piecowego szybu powietrza. Urządzenia te pozwalały na wytwarzanie oczyszczonego produktu, przyjmującego postać niewielkich sztabek. Odlewnia posiadała także jeszcze inny rodzaj pieca, umożliwiającego wylanie większych, płaskich sztab metalu.

Firma zatrudniała 43 osoby. Dzisiaj jest to już jednak tylko odległa część historii tej miejscowości. Aż do roku 1945 funkcjonowała w niej jeszcze wytapiająca żelazo Huta Dorota.

Z rudami darniowymi i odlewnictwem związana była niegdyś również Ławszowa. W dokumencie, przechowywanym przed wojną w archiwum dominium klickowskiego, skierowanym wcześniej do hrabiego Zygfryda von Promnitz do kamery w Głogowie, znalazł się taki zapis, mówiący o wsi: *w niej, jak daleko sięga ludzka pamięć, posiadano prawo funkcjonowania kuźni żelaza i pracowała tu ona również w przeszłości.*

Na przestrzeni XVIII i XIX wieku założono tu niewielką początkowo hutę. We wsi pracował kowal-specjalista, umiejący produkować gwoździe. Powszechnie zwano go w języku potocznym gwoździarzem. Jego warsztat dysponował dwunastoma stanowiskami pracy, które z kolei korzystały z palenisk w ilości od trzech do sześciu każde. Proces wyrobu wszelakich ćwieków polegał na sporządzeniu odpowiednich prętów, następnie przeciągnięciu ich na gorąco przez posiadające różne średnice otwory w specjalnej płycie stalowej, pocięciu uzyskanego drutu na odcinki nieco większe niż zakładana długość gwoźdza, wreszcie zakuciu łbów i zaostreniu.

Pracowała też w Ławszowej inna kuźnica, produkująca metalowe pręty. Niestety, nie ma na jej temat zbyt wielu materiałów źródłowych. Wiadomym natomiast jest, iż była ona własnością grafów z pobliskiego Klickowa. W latach 1757–1758 istniejący we wsi zakład został przekształcony przez Abrahama Dawida Wernera, ojca geologa Abrahama Gottloba Wernera w dużą manufakturę. Rozpoczęło się też jej unowocześnianie, co dotyczyło zwłaszcza pieców.

W roku 1847 była to już na wskroś – jak na owe czasy – nowoczesna huta żelaza. Trzydzieści jeden lat później, to jest w roku 1878, rozpoczęła funkcjonowanie odlewnia żeliwa, emaliernia oraz zakład mechaniczny. Zatrudnienie znalazło łącznie ponad dwustu pracowników zarówno z samej wsi, jak i całego powiatu bolesławieckiego. Przed wojną huta nosiła nazwę Fürstl. Zu Solmsche Eisenhutte Lorenzdorf. Obecnie od dawna nie ma już tu huty i w niebyt odeszły tradycje pozyskiwania żelaza ze złóż tak skromnych, jak te które znajdują się w pobliżu wsi.

Małe kuźnie leśne działały również w Poświętnym, a w dokumentach miasta Zgorzelca zachowały się nawet nazwiska ich właścicieli – w roku 1422 był to Johan Stober, w 1498 Andrzej Spechta oraz inni. Przed rokiem 1504 wymieniono tam niejakiego mistrza Simona.

Niemal każda wieś gminy posiadała własne zakłady kowalskie, gdzie podkuwano konie i naprawiano uszkodzony sprzęt rolniczy. Kowale potrafili na zamówienie wykonywać także wszelakie klamry, okucia, lemiesze pługów, zawiasy i skoble.

Nazwiska niektórych dawnych, wiejskich fachowców zostały na lata utrwalone nie tylko poprzez ustne przekazy, ale także notatki w różnych dokumentach z epoki. Znany jest kowal z Ołoboku, który pracował we wsi między innymi w roku 1502. Nazywał się Jan Asmann i był poddanym Rechenbergów z Kliczkowa. Musiał jednak od swojej działalności odprowadzać czynsz do Zgorzelca, płacąc tamtejszej radzie miasta 8 groszy. Był w międzyczasie oskarżony o kłusownictwo w dobrach należących do tegoż grodu. Przedstawiciele zgorzeleckich władz zamierzali go nawet w związku z tym schwycić i surowo ukarać. Nie wiemy, jak skończyła się ostatecznie ta sprawa, natomiast w 1519 roku sam Asmann sprzedał swój warsztat Janowi Herrichowi.

Z kolei w Bronowcu dopiero w roku 1720 przestała pracować ostatnia z miejscowych kuźnic leśnych.

Także Ołobok i Poświętne posiadały kuźnie, obrabiające żelazo.

W Parowej jedna kuźnica miała istnieć już w roku 1418, natomiast w roku 1499 najprawdopodobniej funkcjonowały już dwie takie manufaktury. Znane są nawet nazwiska niektórych kowali i właścicieli kuźnic. W piśmie z roku 1499 odnotowano kowala Bartłomieja Nitterisa, natomiast w roku 1506 właściciela kuźnicy Wawrzyńca Ziegelheima. Na przełomie XVIII i XIX wieku zabrakło jednak w okolicy tej wsi surowca do wyrobu żelaza, w związku z tym przemysł miejscowy przestawiono na produkcję szkła. Ostatnia kuźnica w Parowej przestała jednak działać już w 1686 roku, a na jej miejscu wzniesiono młyn. W roku 1869 zamknięto w Osiecznicy działającą od 1497 roku manufakturę żelaza, należącą w czasie likwidacji do hrabiów Solms-Baruth. Znajdowała się ona nad Kwisą, przy miejscu narodzin

Wenera. Surowiec do niej sprowadzano z Poświętnego. W zakładzie tym wykuwano z niego sztaby i obręcze. Energii potrzebnej do produkcji w hucie dostarczała za pośrednictwem kół młyńskich Kwisa. Warto wiedzieć, że dom, w którym przyszedł na świat słynny twórca nowożytnej mineralogii i geologii **Abraham Gottlob Werner**, to budynek przyfabryczny należący do obiektów dawnej kuźnicy.

Na jej miejscu, wobec spadku opłacalności produkcji żelaza, uruchomiono następnie papiernię.

W sprawozdaniu z akcji przekazywania przedsiębiorstw przemysłowych w okręgu bolesławieckim z dnia 20 września 1945 roku odnotowano, iż wśród innych zakładów Południowe Zjednoczenie Przemysłu Metalowego przejęło Furstlich zu Solmsche Hutten Emailirwerke w Lorenzdorfie.



Abraham Gottlob Werner

TARTAKI

Obfitość lasów dostarczających drewna jako materiału budowlanego, służącego także do produkcji mebli i zaspakajania wielu innych ludzkich potrzeb, w naturalny sposób wymusiła też uruchamianie tartaków na ziemi osiecznickiej.

Zachował się ciekawy dziennik podróżnika, przejeżdżającego przez obszar dzisiejszej gminy w XVIII wieku. Globtroter był na tyle skrupulatny, że opisywał w nim dość dokładnie odwiedzone miejscowości, wymieniając te obiekty, które zapewne uważał za ważne dla poszczególnych wsi. W samej Osiecznicy w sierpniu 1786 roku zastał więc młyn zbożowy dysponujący trzema spadami ale napędzany jednym kołem łopatkowym. Funkcjonował również wtedy wybudowany stopień wodny, umożliwiający wykorzystanie energii przepływającej rzeki do celów gospodarczych.

Warto przytoczyć dalszą część jego zapisków. Przekazują one informację o pracującym w Osiecznicy tartaku i dwóch papierniach. Na kartach dziennika podróży odnotowano również istnienie dwóch pieców hutniczych, do których rudę sprowadzano z Poświętnego.

Kolejna szlifiernia drewna (Holzschleiferei) pracowała w Świątoszowie przy moście. Do dnia dzisiejszego można oglądać tam charakterystyczny ceglany komin, odprowadzający niegdyś spaliny z jej kotłowni.

Poświętne również posiadało swój tartak i duży młyn. Działały one w ramach dużego folwarku (Hammergut), zasilanego własną elektrownią wodną. Wraz ze zniszczeniem przeważającej części wsi zniknęły także i zabudowania tego rozległego majątku.

Tartak od dawna służył ludziom również w Przejęsławiu. Wcześniej na jego miejscu pracowała bielnia, istniejąca od 15 stycznia 1785 roku. Dopiero 93 lata później, w roku 1878, niejaki Hermann Schulz doprowadził do jej likwidacji, uruchamiając w tym miejscu tartak. Przetrwał on aż do naszych czasów, oczywiście w międzyczasie rozbudowany i unowocześniony. W okresie PRL-u był to największy zakład pracy Przejęsławia. Później, w dobie gospodarki rynkowej zaczęły się problemy. W roku 2002, po blisko dwunastu miesiącach starań i poszukiwań znaleziono

nabywcę upadającego tartaku i tym samym pojawiła się szansa na zatrudnienie nowych pracowników. Właścicielem obiektu została polska firma, zajmująca się głównie produkcją mebli i galanterii ogrodowej z drewna.



Tiefenfurt - Parowa

PAPIERNIE

W samej Osiecznicy tradycje papiernicze miały bardzo odległe w czasie początki. I w tym wypadku ogromny wpływ na to miały okoliczne lasy, dostarczające każdej ilości podstawowego surowca. Drugi poważny atut stanowiła obecność rzeki Kwisy. Wszak woda w procesie wytwarzania papieru zajmuje poczesne miejsce.

Musiała ta dziedzina produkcji być ważna dla stołecznej wsi jak i jej okolicy, skoro wzmianka o papierni, dzierżawionej przez Steffena Windtera, znalazła się już w roku 1585 w jednym z historycznych dokumentów.

W sierpniu roku 1786 istnienie dwóch takich zakładów odnotował w swoim dzienniku wędrujący przez Osiecznicę podróżnik, o czym pisaliśmy już przy innej okazji. Ciekawostką jest to, iż „saski” papier z tych wytwórni – mimo wyraźnego zakazu – rozprowadzano po całym Śląsku. W latach 1880-1883 pracowała w Osiecznicy papiernia należąca do firmy Huttenmuller & Comp. z Ławiszowej. Nie prosperowała jednak wtedy zbyt dobrze, maszyny były mocno wyeksploatowane, od dawna nie wprowadzano też nowych technologii. Tak kiepsko radzącej sobie manufakturze groziła likwidacja, jednak ratunkiem dla upadającego zakładu okazała się firma Reimann & Thonke, która została kolejnym dzierżawcą obiektu.

Mianowany nowym dyrektorem Lintner doprowadził do odrodzenia papierni. Zapewne jego zasługą było sprowadzenie wielu nowych urządzeń i maszyn. W pierwszej połowie XX wieku fabryka ta o sile 3100 koni mechanicznych, produkująca dodatkowo tekturę i karton, nazywała się Klitschdorfer Schlesische Pappenfabrik in Wehrau.

Duża papiernia z wieloma najnowocześniejszymi w owych czasach urządzeniami – w tym własną elektrownią wodną, rozległymi halami do przygotowania produkcji i wielkimi placami składowania drewna – funkcjonowała przed II wojną światową w Przejeśławiu. Należała ona do Brytyjczyka. Po dawnym zakładzie pozostało wiele zabudowań, żelbetonowa konstrukcja jazów z przepustami wodnymi, na których górnej części wylano pomost umożliwiający obsługę poszczególnych zastaw, oraz charakterystyczny, wysoki komin z jasnej cegły, górujący nad okolicą. Obiekt posiadał bardzo przestronne hale, w części wyposażone w cementowe, zamknięte galerieki wartownicze ze strzelnicami.

Przez jakiś czas wykorzystywano go jako duże magazyny, których funkcjonowanie zakończył wielki pożar.

Potem wszystkie te zabudowania niszczały, od wielu lat jednak – dzięki zapobiegliwości i pracy bolesławieckiego przedsiębiorcy Adolfa Zięby – prąd wytwarza tam ponownie niewielka elektrownia wodna. Jej pracę umożliwiają między innymi stare, ale odnowione urządzenia jazu. Cały system podnoszonych zastaw, wyremontowane, betonowe obrzeża kaskad i inne budowle są zabezpieczone przed dewastacją i popadaniem w ruinę.

Szczególną pamiątkę po okresie wojny, w czasie której zatrudniano tam również robotników przymusowych obojga płci, przywiezionych także z Polski, stanowi niewielki betonowy „bunkierek” – schron wartowniczy wykonany w kształcie walca i przykryty charakterystycznym stożkiem, cementową „czapą”.

Dość zawiła była historia małej papierni, funkcjonującej w Ławszowej. Na Kwisie, w okolicach wsi i wzniesienia zwanego Bramberg, działał tam bowiem wcześniej uruchomiony w dawnych czasach młyn wodny. Nie zachowały się jednak na jego temat bardziej szczegółowe informacje. Miał on być własnością

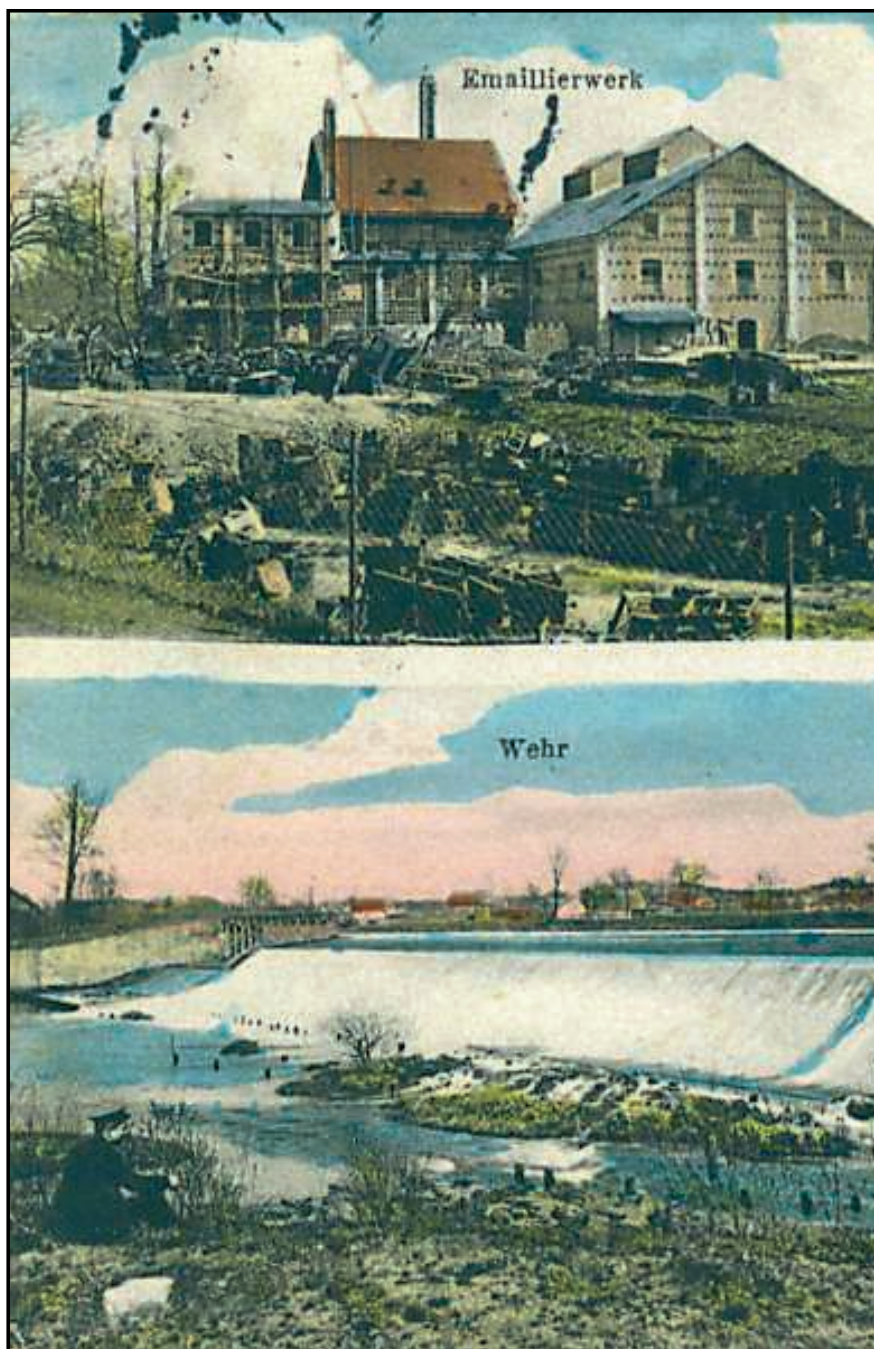
jakiegoś konwiktu, można więc z dużym prawdopodobieństwem domniemywać, że chodziło o nowogrodziecki klasztor magdalenek.

Obiekt spłonął w roku 1845, po czym odtworzono go w oparciu o nowoczesną konstrukcję, wykonaną głównie ze stali. Odbudowany młyn w roku 1853 kupił Filip Huttenmuller (Hittenmiller), pochodzący z Hesji – Darmstadt. 13 marca na mocy decyzji urzędu królewskiego w Legnicy stał się on naturalizowanym Prusakiem. To właśnie Huttenmuller przekształcił młyn w papiernię i wykorzystał wody do produkcji tego materiału.

Gdy Filip Huttenmuller zmarł w 1864 roku, jego majątek został poddany subhastacji. W dniu 19 września 1865 roku nowym właścicielem dóbr stał się hrabia zu Solms, który wydzierżawił zakład pras synowi założyciela, także Filipowi Huttenmullerowi. Niewiele jednak wiadomo o działalności firmy w tym okresie, a zwłaszcza o produkowanym w niej pełnym asortymencie.

W Świątoszowie, posiadającym wcześniej swoją papiernię, stosunkowo późno, bo w latach trzydziestych XX wieku, uruchomiono również fabrykę tektury. Miała ona niewątpliwie znaczenie dla tej miejscowości, ponieważ dawała zatrudnienie ponad dwudziestu pracownikom.





Zapora wodna elektrowni w Ławiszowej

ELEKTROWNIE WODNE

Kwisa, a nawet Czerna Wielka stanowiły dla terenu gminy rezerwar nie tylko czystej wody, ale również dostarczały energii, która najpierw napędzała liczne, ustawione nad ich brzegami młyny, a następnie małe elektrownie wodne, często zresztą montowane w miejscach wcześniejszej pracy wiekowych obiektów młynarskich. Część takich producentów prądu powstawało jako obiekty służące zaopatrzeniu w energię elektryczną zakładów pracy. Tak było w Ławiszowej.

System doprowadzeń wody kanałami obudowanymi w części piaskowcem, tama i zespół jazów, a także doskonale zachowany budynek turbin można do dzisiaj oglądać w tej wsi. Mimo znacznych zniszczeń każdy, kto odwiedza ruiny zapory i towarzyszącej jej betonowej infrastruktury technicznej, nawet nie będąc znawcą problematyki elektrowni wodnych, łatwo zorientuje się, jak funkcjonował ten obiekt, zasilający głównie miejscową hutę, w obrębie której zresztą wzniesiono gmach turbin.

Niewielka elektrownia funkcjonowała niegdyś w Poświętnym, w składzie folwarku, przy którym pracował także młyn i tartak. Zasilają ją wody Czernej Wielkiej. I w tej wsi, w ogromnej części starzej już po wojnie z powierzchni ziemi, zachowane mostki, elementy jazu, kanały przetokowe i ruiny domku mieszczącego niegdyś turbinę są niezwykle wyraźne, mimo że od wielu lat stopniowo popadają w ruinę. Można tam nawet znaleźć porcelanowe izolatory, na których rozpięta była sieć przewodów w elektrowni. Przed 1945 rokiem wieś w głównej mierze zaopatrywana była właśnie przez nią w prąd.

Kolejna elektrownia dostarczała tanią energię Kliczkowowi. Wzniesiono ją na miejscu, gdzie wcześniej pracował stary młyn kuźniczy, oznaczony na dawnym szkicu jako Hammermuhle.

Gdy dobiegły końca działania wojenne, stwierdzono jedynie pewne uszkodzenia jej urządzeń, ale po ich naprawie elektrownia nadawała się do użytku – mimo dość anachronicznych parametrów technicznych.

Tuż przy niewielkiej hali mieszczącej główny agregat i tablice rozdzielcze stał niewielki obiekt mieszkalny.

W piaskowcowym zworniku nad jego drzwiami wejściowymi wyryto inicjały P.M., stanowiące pierwsze litery imienia i nazwiska dawnego właściciela – lub może budowniczego owego domku – oraz rok jego wzniesienia: 1884. Kamienna framuga głównych wrót, a także jedna ze ścian tegoż domostwa zawierały inny ciekawy szczegół: Wyryto na nich i nasączono czarną farbą linie i daty, oznaczające poziom, do jakiego podeszły wody Kwisy w trakcie największych powodzi:

WASSER HOHE 30 JULI 1897

WASSER HOHE 4 AUGUST 1888

Jest to wysokość wody (powódź) 30 lipca 1897 roku oraz 4 sierpnia 1888 roku.

Domostwo to i jego zaplecze służyło przez wiele lat harcerzom z różnych miejscowości jako magazynek sprzętu obozowego, wykorzystywanego w czasie wakacji. Z czasem wysokie stany wód uszkodziły tamę i urządzenia przepustowe, które jeszcze do połowy lat sześćdziesiątych niemal normalnie funkcjonowały. Potem budynki i urządzenia niszczały, a ostatecznie ich martwe mury zostały rozebrane. Dzisiaj na tym miejscu ponownie trwają prace budowlane.

Stara elektrownia kliczkowska została kilkakrotnie wymieniona w dokumentach, sporządzonych przez Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej Polski Obwód Nr 36 w Bolesławcu dla Starostwa Powiatowego i Wojewódzkiego Wydziału Przemysłowego, w Jeleniej Górze. Pierwsze z cytowanych pism sporządzono 30 czerwca, a drugie 14 listopada 1945 roku.

Elektrownia wodna na rzece Kwisie, należąca do majątku hr. Solmsa w Kleszczowej, o mocy 300 kVA, nieczynna z powodu częściowego uszkodzenia urządzeń maszynowych, pomiarowych i rozdzielczych.

Elektrownia wodna na rzece Kwisie w Kleszczowej (Klitschdorf) należąca poprzednio do hr. Solmsa, zasilająca prądem przede wszystkim zamek oraz domy i urządzenia majątkowe, częściowo również wsie Kleszczowa i Wehrau. Moc elektrowni ok. 300 KW prądu stałego. Obecnie nieczynna.

Elektrownia wodna funkcjonowała także w Świątoszowie przy papierni.

BROWARY, HANDEL I USŁUGI PRZED 1945 ROKIEM

Wydawać by się mogło, że dawne życie w wioskach odległych od większych ośrodków miejskich pozbawione było wielu potrzebnych ludzkiemu skupiskom punktów handlowych, placówek opieki medycznej czy miejsc zabaw. Oczywiście w osiemnastym, dziewiętnastym czy nawet na początku dwudziestego wieku sieć podobnych usług była mizerna, niemniej istniała – zwłaszcza gdy chodzi o różnego rodzaju szynki, oberże i zajazdy.



Nie wyliczając więc szczegółowo wszystkich punktów krawieckich, szewskich, czy stolarskich podajemy jako swoiste ciekawostki dane z niektórych, wybranych miejscowości gminy Osiecznica.

Kliczków. Gospoda „Pod Jeleniem”



Przed sklepem kolonialnym (Świętoszów)

Około sześciuset metrów na północ od Huty Andrzeja w Osiecznicy wybudowano domki kolonii, która szczyciła się posiadaniem Lisiej Gospody. Była ona o tyle ważna, że wzniesiono ją przy ważnym szlaku drogowym, prowadzącym z Żagania przez Nowogrodziec do Lubania, Lwówka i dalej położonych miejscowości.

Opodal Osieczowa, posiadającego między innymi salę zabawową i sklep – ponad kilometr od wsi, przy tak zwanej drodze żagańskiej uruchomiono restaurację Neue Schanke (Nowa gospoda). Według niepotwierdzonych opowieści, zasłyszanych od jej dawnych mieszkańców, pod ruinami tego obiektu lub w jego pobliżu mają spoczywać ciała osób, które zginęły tu w trakcie przejścia oddziałów rosyjskich, w lutym 1945 roku.



Obok szynku, przy skrzyżowaniu leśnych szlaków ustawiono istniejący do dzisiaj kamienny drogowskaz. Na jego ściankach wyryto strzałki kierunkowe i informacje o odległościach do różnych miejscowości:

Nach Sagan (do Żagania)–5 M
 Nach Löwenberg (do Lwówka)–3 M
 Nach Bunzlau (do Bolesławca)–1 M
 Nach Aschitzau (do Osieczowa) - .../8 M

Warto przy tej okazji wspomnieć, iż w samym centrum Osieczowa stoi drugi, podobny piaskowcowy słup kierunkowy, opatrzony napisami:

Nach Bunzlau (do Bolesławca)
 Nach Hermsdorf (do Kierzna)
 Nach Nach Bunzlau (do Bolesławca)
 Nach Klitschdorf (do Kliczkowa)

Już od roku 1861 w Parowej funkcjonował browar, a produkowane w nim piwo rozprowadzano w butelkach ze specjalnymi napisami. Oczywiście były też tu sklepy i oberże, zresztą znane i uwieczniane na widokówkach. Bodaj najslynniejsza tu-tejszą knajpą można nazwać dawną Czerwoną Oberżę.

W Świątoszowie przed końcem lat trzydziestych mieszkańcy – o ile tylko mieli odpowiednią ilość pieniędzy

– mogli bez przeszkód na miejscu nabywać rozliczne towary, a także oddawać się wszelakim uciechom.

Funkcjonowały bowiem w tej garnizonowej osadzie sklepy „kolonialne” i rybne, ponadto cukiernie, piekarnie i drogerie. Gości mogły podjąć dwa hotele, a posiłki serwowały i prowadziły godziwy wyszynk dwie restauracje.

Obiektem nadzwyczaj chętnie odwiedzanym była Dębowa czy też Żołędna Gospoda (Eichelschanke), funkcjonująca przy leśniczówce na północ od Świętoszowa.

Zadbano także o opiekę medyczną, wieś posiadała bowiem punkty opieki medycznej i gabinety, gdzie dokonywano zabiegów stomatologicznych. Na rok przed wybuchem II wojny światowej wzniesiono w niej także nowoczesną remizę, wyposażając ją w doskonały sprzęt do gaszenia pożarów. Również potrzeby religijne i duchowe znajdowały w Świętoszowie – podobnie jak i innych miejscowościach gminy – dobre warunki do ich zaspakajania.

POCZTY

1 lipca 1856 roku założono w Parowej pocztę, która 20 lipca 1878 roku została zaopatrzona w telegraf.

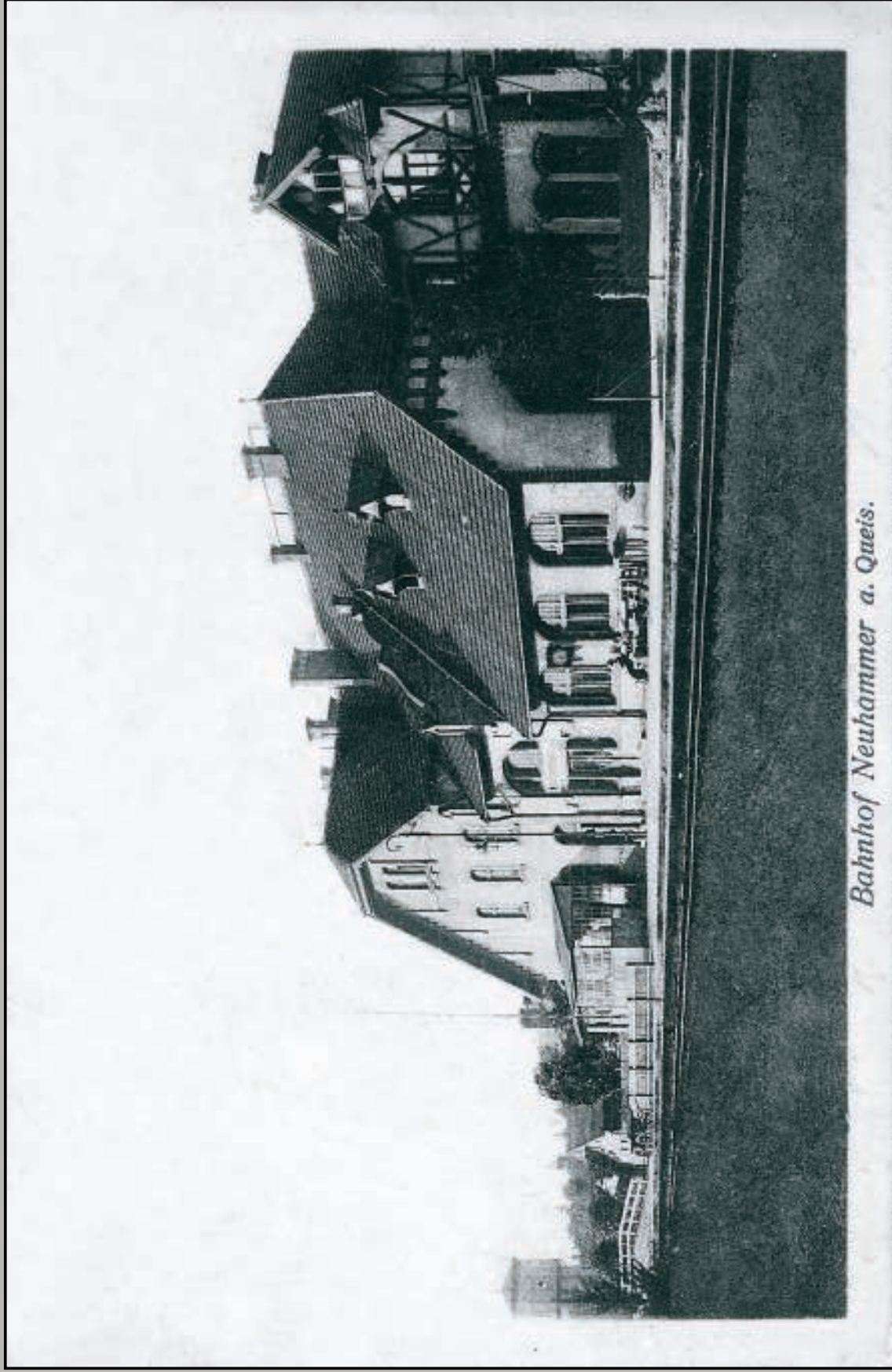


Dworzec kolejowy, poczta...



...i listonoszka

Dworzec kolejowy Świętoszów



Bahnhof Neuhammer a. Queis.

KOLEJ ŻELAZNA

Kolej żelazna miała wielkie znaczenie dla wiosek i miast, obok których poprowadzono w drugiej połowie XIX lub na początku XX wieku szyny. Po wybudowaniu stacji tworzone przy nich zwykle również bocznice i wznoszono magazyny, zaopatrzone w rampy towarowe.

25 listopada 1902 roku oddano do użytku nowo wybudowane torowisko, biegnące z Zebrzydowej do Ławszowej. Miało ono długość ponad 17 kilometrów. Najważniejsze było, że po dotarciu do dworca w Zebrzydowej można było – oczywiście po przesiadce – dojechać do Wrocławia, bądź w przeciwną stronę – do Zgorzelca i dalej.

Po dwóch latach, 1 listopada 1904 roku, otwarto odcinek linii kolejowej, liczący dziewięć tysięcy siedemset metrów długości, prowadzący z Ławszowej do Świątoszowa.

Niemal rok później, 1 sierpnia 1905 roku, torowisko przedłużono o siedemnaście i pół kilometra, aż do dużej stacji węzłowej w Żaganiu.

Cała ten żelazny szlak stał się prawdziwym oknem na świat dla mieszkańców różnych miejscowości

gminy, a zarazem główną arterią komunikacyjną w tej okolicy.

Piękne obiekty stacyjne postawiono w Osiecznicy i Świątoszowie, nieco mniejsze w Tomisławiu, przy Ławszowej i wsi Lipschau-Dohms. W drugiej z wymienionych miejscowości dworzec kolejowy był zresztą budynkiem nie tylko okazałym, ale także w ciekawy sposób udekorowanym. Na jednej z jego ścian umieszczono bowiem duży symbol kolei – uskrzydłone koło parowozu stojące na pojedynczej szynie.

Zabudowania dworcowe wzniesiono z muru pruskiego na początku XX wieku. Obiekty magazynowe posiadały drewniane i murowane pomosty, ułatwiające wyładunek i załadunek towarów. Wewnątrz stacji znalazła się między innymi piękna poczekalnia, pomieszczenia kas biletowych oraz izba dla zespołu urządzeń sterowniczych, umożliwiających prawidłowe kierowanie ruchem pociągów na linii głównej. Z niej prowadzono też obsługę zwrotnic, przesuwających wjazdy na bocznice.

W pobliżu dworca powstała niewielka wieża ciśnień. Jej konstrukcja sama w sobie jest ciekawa,



bowiem wymurowaną z doskonałej cegły zebrzydowskiej dolną część „baszty” uzupełniono solidną, drewnianą obudową, kryjącą właściwy zbiornik. Ponieważ ze stacji na teren poligonu wybiegała linia kolejki wąskotorowej, przy dużym dworcu zrobiono także odpowiednią dla niej bocznice. Tu przeładowywano towary „cywilne”, sprzęt bojowy, amunicję i materiały przeznaczone dla wojska, a także przejmowano przybywających do Świętoszowa koleją normalnotorową ludzi, małymi wagonikami ekspediowanych w głąb garnizonu przez przerzucony nad szosą do Osiecznicy betonowy most – lub jadących jeszcze dalej, do rozległych terenów ćwiczebnych.

Po drodze ciągnięty przez urokliwą ciuchcię zestaw, dudniąc kołami, nieśpiesznie sunął po wysokim nasypie, a następnie wtaczał się na opatrzone cementowymi balustradami wiadukt nad Kwisą. Wkrótce potem, po właściwym przedstawieniu rozjazdów miniaturowy pociąg docierał do południowych zabudowań świętoszowskich koszar. Oczywiście nie był to kres torowiska, wyprowadzonego aż na odległe rejony ćwiczebne.

Już po wojnie wysadzono niektóre filary i przęsła nadkwiskiej przeprawy wąskotorowej, by w ten sposób uniemożliwić dotarcie po niej do zajętego przez Sowietów osiedla.

Bardzo ładny budynek stacyjny otrzymała także Osiecznica. I tu przy głównym torowisku wybudowano bocznice, a obok nich rampy wyladowcze i magazyny.

W miarę upływu czasu i rozwoju transportu samochodowego znaczenie kolei malało, ostatecznie wiele lat po II wojnie światowej przestały przez teren gminy kursować pociągi osobowe, potem zawieszono także ruch składów towarowych. Zdemontowane zostały części torowiska, a pozostałe odcinki szyn służą jedynie do przetaczania wagonów z materiałami do kilku zakładów pracy. W ocalałych budynkach stacyjnych mieszkają dzisiaj ludzie, ale stan tych budowli – zwłaszcza dworca w Świętoszowie – jest bardzo zły.

Przystanki kolejowe w Ławszowej i Lipschau-Dohms całkowicie zniknęły z powierzchni ziemi – podobnie zresztą jak i cała ostatnia z wymienionych wsi...

WODOCIĄGI

Ogromna wieża ciśnień w Świętoszowie, opatrzona doskonale widocznymi z daleka tarczami zegarów, odmierzających niegdyś czas wojskowych ćwiczeń, nie miała oczywiście jedynie charakteru powszechnie dostępnego chronometru. Ułatwiał on jednak w znacznym stopniu życie szkolonym rekrutom i kadrze, więc i ta, dodatkowa funkcja tej imponującej wysokością budowli była bardzo pożyteczna.

Podstawowym zadaniem charakterystycznej, umieszczanej niemal na wszystkich świętoszowskich widokówkach wieży było rozsyłanie pod odpowiednim ciśnieniem wody, bowiem ta duża wieś, przypominająca swoją zabudową i układem ulic małe miasteczko posiadała bardzo wcześnie własne wodociągi. Dostarczały one w latach trzydziestych XX wieku siedem tysięcy dwieście metrów sześciennych wody dziennie. System rur, studzienki z zaworami oraz inne elementy utworzonej sieci stanowiły bardzo nowoczesne na owe czasy rozwiązania techniczne. Do niedawna zresztą w zgrabnie wybrukowanych nawierzchniach ulic można było stosunkowo często dostrzec żeliwne, owalne pokrywy, opatrzone napisem Wasserwerk Neuhammer – Wodociągi Świętoszów.



Niewielką wieżę ciśnień wzniesiono na początku XX wieku także opodal nieistniejącej obecnie, małej stacji kolejowej w Ławszowej. Zwraca uwagę charakterystyczny kształt tego obiektu – jego dolną, ośmioboczną część wybudowano z cegły, ukrywając umieszczony na górze zbiornik w drewnianej konstrukcji.

Wieża ciśnień w Ławszowej

LEGENDA O DOLNOŚLĄSKIM WALGIERZU

Nic nie
cej uroku
niczości
zamkom
niż krą-
legendy
wite opo-
mogło być



Szkic z Pamiętnika Jenny

dodaje wię-
i tajem-
wszelkim
i pałacom,
żące o nich
i niesamo-
wieści. Nie

inaczej także

w wypadku znamienitej budowli kliczkowskiej. Co prawda przytaczana tu historia, powtórzona za wrocławską dziennikarką, Beatą Maciejewską, przypomina bliźniaczo podobne opowiadki, mówiące o zupełnie innych miejscach – ale jednak godna jest przedstawienia Czytelnikowi. I nie ma tu istotnego znaczenia fakt, że niewiele ma ona wspólnego z realnymi wydarzeniami sprzed wieków. Tak to już bowiem najczęściej bywa z legendami...

Otóż dawno temu władający rzekomo kliczkowską warownią rycerz, opętany bez reszty duchem walki zbrojnej i potrzebą dokonywania bohaterских czynów, udał się na kolejną wyprawę wojenną, pozostawiając w zamku młodą i piękną żonę. Jej wdzięki i usilne błagania nie zatrzymały krewkiego małżonka, najwyraźniej bardziej ceniącego bitewny zgiełk niż zacisze alkowy, a nad towarzystwo niewiasty przedkładał obecność wiernych druhów od miecza. Po jakimś czasie jednak, wiedziony być może spóźnionymi wyrzutami sumienia, beztrósco powierzył szczególną misję wybranemu, zaufanemu podwładnemu.

Nakazał mu więc powrót do zamku i sprawowanie opieki zarówno nad osamotnioną kobietą, jak i pozostawionym majątkiem. Przystojny, przeżony początkowo zadaniem żołnierz najpierw usiłował odwieść swego pana od powziętego przez niego zamiaru, ale wreszcie uległ mu i potulnie popędził do Kliczkowa.

Od chwili przyjazdu począł bardzo gorliwie zajmować się włościami swego pana. Aliści po kilku tygodniach nowej służby, zasmakowawszy w wygodnym, bezpiecznym życiu, otrzymane doraźnie pełnomocnictwo postanowił przekształcić w trwałe włodarzenie majątkiem dotychczasowego chlebowodcy, zastępując go całkowicie we wszystkim. Oczywiście w małżeńskich, nierealizowanych od dawna obowiązkach także. Pragnąc ostatecznie wyeliminować lekkomyślnego rycerza, zaczął się na niego przy drodze, którą ten, syty wojennej chwały, wracał do zamku. Tam pojmał naiwnego nieszczęśnika i po zakuciu go w kajany wtrącił do lochu.

By zalegalizować swój związek z żoną osadzonego w niewoli rycerza i otworzyć sobie tym samym drogę do formalnego przejęcia majątku, złożył wizytę biskupowi wrocławskiemu, przedstawiając pozostawioną w domu kobietę jako wdowę. Oczywiście zamierzał jak najszybciej ją poślubić, czego nie krył przed wysokim duchownym. Jego precyzyjne obmyślony plan pokrzyżowała jednak nieoczekiwanie ucieczka uwięzionego rycerza. Przyszedł czas na zemstę zdradzonego pana. Teraz on wtrącił swego żołnierza i niewierną żonę do zamurowanym lochu i począł ich morderzyć głodem, nakazując służbie mizerne karmienie więźniów tylko co trzeci dzień.

Setnik – bo tak w istocie określono w legendzie przebiegłego żołnierza – wkrótce miał dość wysłuchiwania zamurowanej z nim, biadolącej bezustannie kobiety. Wolał sam przyspieszyć własną śmierć z głodu, przestał więc przyjmować i te posiłki, które co trzy dni dostawał. Po jego zgonie kobietę uwolniono i odesłano do klasztoru w Saksonii.

Dzisiaj w okolicy można usłyszeć powtarzaną sporadycznie, dość naiwną opinię, że miejscem zamurowania setnika i żony rycerza była część tunelu, prowadzącego z Kliczkowa aż do samego Bolesławca. Na ile jest to informacja wiarygodna, lepiej nie dywagować...

PIEKIELNY STRUMIEŃ

Na ziemi osiecznickiej jest kilka niezwykłych miejsc, będących do dzisiaj małymi enklawami pierwotnej przyrody. Niektóre z nich przed wiekami miały stanowić szczególną, urzekającą swym dziwnym pięknem oprawę dla rozgrywających się tam jakoby mrocznych, tajemniczych wydarzeń.

Informację o nich przekazywano niegdyś z pokolenia na pokolenie w osadach i samotnych zagrodach, położonych w głębi puszczańskich ostępów. W izbach, rozjaśnianych płomieniem kaganków zebrani wieczorami sąsiedzi z zapartym tchem słuchali barwnych opowieści i fascynujących legend, powtarzanych przez miejscowych bazarzy, beztrąsko mieszających prawdę z wytworami własnej, bujnej zwyczaj fantazji.

Również i dzisiaj można znaleźć romantyczne uroczyska przy rzece Czarna Wielka i znacznie większej od niej Kwisie. Rozłożone opodal nich w nadbrzeżnych borach, ocienione wiekowymi dębami i przerosnięte gęsto krzewami mateczniki przywodzą na myśl zapomniane ludowe bajania o straszydłach, strzygach i duchach.

Za południowym skrajem Osieczowa przepływa wąły potoczek, określany dawniej mianem Piekelnego Strumienia. Nazwa tajemnicza i groźna, ale także prowokująca do odwiedzenia tego miejsca i sprawdzenia, coż jest w nim aż tak demonicznego, że nadano mu niegdyś to szczególne imię. Głęboko wcięta w grunt mizerna struga, spływająca do martwego zakola Kwisy dnem mrocznego parowu – podobnie jak dziesiątki innych, śródleśnych cieków - leniwie przesączająca się pomiędzy zalegającymi w korycie liśćmi i połamanymi gałęziami – nie ma pozornie w sobie za grosz czartowskiego przesłania. Zdarzyło się jednak, że późną porą, w smolistej czerni nocy przy potoczku pojawiły się tajemnicze, fosforyzujące plamy. Ich światło wyraźnie pulsowało i zmieniało kształt – chociaż tkwiło w miejscu. Zejście nad sam strumień pozwoliło ustalić, jakież to demoniczne sztuczki działały się przy nim. Otóż z potoczku ku koronie krawędzi parowu wybiegał leżący na zboczu, zbutwiały doszczętnie pień dorodnego niegdyś drzewa. Jego dolne, spróchniałe fragmenty jarzyły się zielonkawą łuną.

Ale to nie wszystko. Na nich bowiem przysiadły setki świetlików, których „latarki” wydatnie intensyfikowały poświatę. Żyjątka te powodowały także pulsowanie „czartowskich” plam i zmienne natężenie ich jaskrawości. Niby takie proste zjawisko, a jednak....

ZAGADKOWA INFORMACJA

W niewielkim fragmencie *Dziennika z Kliczkowa* – który w oryginale przetrwał do naszych czasów, stanowiąc niewątpliwie część straconej bezpowrotnie, o wiele bogatszej kroniki z życia zamku – pod datą 29 stycznia 1874 znalazł się lakoniczny, szokujący jednak swoją wymową zapis. Zaczyna się on nadzwyczaj pogodnie informacją o tym, iż bliżej nieokreślonemu – a najprawdopodobniej w jakiś sposób zbliżonemu do kręgu stałych bywalców kliczkowskiego zamku – Gottwaldowi urodził się silny i zdrowy syn. Przy tej radosnej nowinie dość makabrycznie brzmi druga część tekstu, relacjonującego przebieg owego dnia: *wartownik Schimmel padł przed ołtarzem martwy*.

Po upływie stu trzydziestu sześciu lat od tego wydarzenia zapewne nigdy nie dowiemy się, kim był zmarły w tak niezwykłym miejscu wartownik Schimmel, dlaczego jego zgon połączono z informacją o narodzinach syna Gottwalda, wreszcie – w jakich okolicznościach doszło do tej nieoczekiwanej śmierci...

LEGENDA O DIABLIM JAZIE

Dawno, dawno temu, gdzieś z bardzo daleka przybył do Osiecznicy ubogi chłopak, posiadający jednak pewne kwalifikacje młynarskie i bardzo ambitne plany na przyszłość. Zwał się ów młody człowiek Melchior Zange. Od miesięcy przemierzał samotnie Łużyce w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Nad Kwisę dotarł bez grosza przy duszy, nie mając także odrobiny żywności ani nadziei na własny kąt. Siedział więc nad brzegiem rzeki, medytując, kto też mógłby mu pomóc w tak dramatycznym dla niego położeniu. Zapewne doprowadzony do rozpacz w jakiś sposób spowodował pojawienie się biesa, ten bowiem – wezwany najpewniej nieopatrznym

słowem – stanął przed młodzieńcem i chętnie zaoferował młynarczykowi swoje wsparcie. Oczywiście – jak to zwykle w legendach bywało – nie za darmo. Szybko spisano odpowiedni cyrograf. Diabeł miał wybudować okazały młyn, zasilany wodami Kwisy, ponadto przy nim stajnie i inne zabudowania gospodarcze, a także piękny, podpiwniczony dom z przestronną, dobrze wyposażoną kuchnią. Całość wzniesionego przez czarta obejścia, zgodnie z postanowieniami umowy, otoczył wspaniały ogród. Za wszystkie te dobra Zange po sześciu latach zobowiązał się oddać piekłu duszę.

Teraz życie młynarza zaczęło przypominać bajkę. Został najbogatszym człowiekiem w Łużycach, płaścił się w dostatku i oddawał rozlicznym uciechom. Jednak wieczorami pozornie szczęśliwy Melchior stale odliczał czas, jaki mu pozostał do ponownego spotkania z wysłannikiem Belzebuba. Gdy zbliżał się termin spłacenia zaciągniętego długu, sprytny rzemieślnik pewnego dnia po prostu uciekł. Jak wieść niesła, wstąpił do jednego z klasztorów, gdzie swoje zmartwienie szczerze i wyczerpująco przedstawił przez kratki konfesjonału przeorowi. Ten po całonocnej spowiedzi uznał skrucę grzesznika i pozwolił mu zostać. A na teren konwiktu, oczywiście, diabelskie moce nie miały dostępu.

Wystrychnięty na dudka urzędnik piekieł długo czekał w młynie na swojego dłużnika, w końcu dotarła do jego czartowskiej świadomości prawda o tym, że on – mistrz oszustwa – sam padł tym razem ofiarą człowieka, bardziej przebiegłego od niego. W przypływie ślepej furii rozwalił wszystkie wybudowane dla Melchiora z brył piaskowca budynki i wrzucił ich gruzy do Kwisy. Tak powstało kamienne spiętrzenie wody. Nie wiadomo, jak wyprowadzonego na manowce diabła przyjął w piebraciszek Melchior Zange żył w konwikcie jeszcze długo i często opowiadał mnichom o swoim zwycięstwie nad ciemnymi mocami.



Szkic z Pamiętnika Jenny



Przełom Kwisy

Chwilowe ocieplenie spowodowało wtedy spiętrzenie ruszających przedwcześnie lodów, a szybko następnie krzepnące zatory utworzyły w przewężeniach doliny rzecznej prawdziwe tamy. Topiel pograżyła w odmętach wiele gospodarstw, śmierć w zimnych falach ponieśli ludzie i zwierzęta domowe.

Kiedy otrząśnięto się ze skutków tragedii i powoli zapomniano o przebrzmiałym nieszczęściu, rozszalał się kolejny kataklizm. Tym razem wielkie straty przyniósł „czerwony kur”, trawiąc 13 czerwca 1784 roku w morzu płomieni siedem domostw i nieznaną liczbę pomniejszych zabudowań. Były one w większości wznoszone z drewna, więc pożoga szybko ogarniała kolejne obiekty.

Gdy w roku 1804 przez pięć następujących po sobie dni padały

ulewne deszcze, ludzie z trwogą oczekiwali na najgorsze. Ich strach był w pełni uzasadniony. Tym razem woda w rzece podniosła się do poziomu ośmiu metrów...

Powodzie opisane w różnych kronikach, zdarzyły się jeszcze w latach 1828, 1854 i 1858. Na drzwiach wspomnianej już elektrowni zaznaczono stan wysokiej wody z 30 lipca 1897 roku oraz z 4 sierpnia 1888 roku.

Oczywiście nie są to wszystkie nieszczęścia, jakie na ludzi sprowadzała urokliwa zazwyczaj Kwisza. Uciążliwe bywały niegdyś – i są nadal – niewielkie, za to często powtarzające się podtopienia, zaś wielu nierozważnych pływaków utonęło w jej nurcie.

Wielka powojenna powódź doprowadziła też do istotnych zmian w wyglądzie Diabelskiego Jazu.

KLICKOWSKA MORDERCZYNI

Zapewne w pierwszych latach XVII wieku Klicków musiał być wstrząsany mrozącymi krew w żyłach wiadomościami o tajemniczych zabójstwach, bowiem na początku drugiej dekady tego stulecia doszło do spektakularnego aresztowania miejscowej kobiety i przypisania właśnie jej popełnienia aż dwudziestu dwóch makabrycznych morderstw.

O ile pierwszy fragment zamieszczonego wyżej zdania jest tylko pewnym naszym domniemaniem, to jego drugą część oparliśmy już na konkretnej, odnotowanej w dokumentach, szokującej informacji.

Oto bowiem 22 grudnia 1612 roku w Kliczkowie pojmano, a następnie w przeprowadzonym najprawdopodobniej publicznie procesie skazano niewiastę, oskarżoną o dokonanie wspomnianych wcześniej, haniebnych czynów. Nie były to zresztą wszystkie, popełnione przez nią przestępstwa. Miała ona bowiem także utrzymywać stosunki cielesne ze swoim jedynym synem.

Demoniczna dama zapłaciła za zarzucane jej przewinienia głową, nim jednak do tego doszło, wcześniej zapewne poddano ją w trakcie śledztwa torturom. Godzi się więc przypomnieć, iż niejedna ofiara ówczesnych dochodzeniowych praktyk pod wpływem „perswazji” kata, pragnąc skrócić męki, szybko przyznawała się do wszystkiego, co podsuwali jej sędziowie...

Jak powszechnie wiadomo, w tamtych czasach zadawanie wyrafinowanego bólu przestępcom – najczęściej zresztą ku uciechu zgromadzonej przy miejscu kaźni, okrutnej gawiedzi – było swoistą sztuką. Co więcej, bywało i tak, że nie przejmowano się w ogóle tym, czy oskarżona i torturowana osoba jest rzeczywiście winna...



UKRYCI W PUSZCZY

Pewne oddalenie ziemi osiecznickiej od niegdyś najważniejszego, regularnie wykorzystywanego szlaku komunikacyjnego na tej ziemi – drogi królewskiej – nie uchroniło terenu gminy od nieproszonych wizyt różnych zdemoralizowanych oddziałów wojskowych, przynoszących przerażonym mieszkańcom mniej lub bardziej dramatyczne przeżycia w trakcie wszelakich konfliktów zbrojnych i niepokojów militarnych. Szukający schronienia i ratunku w głębi puszczy ludzie, wracali później do przedstawiających opłakany widok domostw – oczywiście tylko tych, które nie zostały doszczętnie spalone... A bywało i tak, że w ślad za uciekinierami podążali do lasu napastnicy, szukający zabranych przez chłopów skromnych zapasów żywności. Zachował się przekaz o jednym z takich najść, niedotykających co prawda w tym konkretnym przypadku bezpośrednio samych mieszkańców gminy. Osiecznickie lasy uratowały wtedy ich nieszczęsnych sąsiadów z pobliskiej Zebrzydowej. Wydarzenie miało miejsce w okresie kampanii napoleońskiej. Upamiętniono to po latach w szczególny sposób poprzez nadanie nazwy

jednemu z puszczańskich ostępów. Oto grupa chłopów ze wspomnianej wsi – z sołtysem Welzelem, miejscowym nauczycielem oraz dzierżawcą majątku Junkerem – by nie wpaść w ręce penetrujących tamtejszy teren umundurowanych rabusiów uszła z rodzinami spod Zebrzydowej aż do Puszczy Osiecznickiej. Na kryjówkę świadomie wybrali fragment borów wybitnie niesprzyjający bytowaniu, jednak dający poczucie względnego bezpieczeństwa. Rozciągały się tam liczne bagniska i wypełnione wodą rowy. Malaryczny obszar miał zniechęcić do wejścia na trzęsawiska potencjalnych poszukiwaczy mizernego chłopskiego majątku. Ostatecznie wybór obrzydliwych błot jako schronienia rzeczywiście ocalił uciekinierów.

Niestety, część pozostałych mieszkańców Zebrzydowej, szukających kryjówek bliżej swojej wsi, brak przeczności opłaciła utratą resztek pożywienia i zabranego do lasu dobytku. Kilku próbujących się bronić chłopów żołdacy bestialsko zabili... Od tej pory miejsce, gdzie przetrwał sołtys z towarzyszami zaczęto nazywać Czarnym Błotem – i tak oznaczać je na niektórych mapach. Ale dzisiaj o tej nazwie i jej pochodzeniu już mało kto wie...



ŚMIERĆ LEŚNEGO PŁATNIKA

Na jednym z leśnych szlaków opodal smolarni, wtopionej w bór kilka kilometrów od dzisiejszego Tomisławia, postawiono w latach dwudziestych ubiegłego wieku kamienny krzyż. Miał on upamiętniać bandycki napad, jakiego tam dokonano.

Zatrudniony w miejscowym leśnictwie urzędnik o nazwisku Altmann pod koniec stosownego okresu pracy najemnych robotników zmierzał – jak zapewne czynił to już wcześniej wielokrotnie – świetnie sobie znaną, puszczańską drogą do miejsca, gdzie pracowali drwale. Jego powinnością było dostarczenie im należnej wypłaty. Tym razem jednak nie wypełnił powierzonego zadania, które zresztą stało się ostatnim zleceniem w życiu kasjera. Przy schowanym przed ludzkim wzrokiem skrzyżowaniu duktów czekał na niego w ukryciu napastnik. Nie ulega wątpliwości, że musiał on wiedzieć o tym, iż wędrujący lasem płatnik niesie pokaźną ilość gotówki – co więcej, zapewne znał też osobiście swoją przyszłą ofiarę. Najprawdopodobniej wcześniej śledził nieszczęsnego urzędnika, bądź

dokładnie wiedział, że ten będzie szedł do robotników właśnie wspomnianym duktem. Okazało się, że samotne – jak należy domniemywać, z konieczności – taszczenie w głąb lasu sporej sumy pieniędzy nawet osiemdziesiąt lat temu było nie tylko nierozważne, ale wręcz śmiertelnie niebezpieczne.

Gdy Altmann znalazł się w pobliżu miejsca zaczajenia napastnika – bandyta wyskoczył z ukrycia, ciężko turbując biednego płatnika, po czym – być może pod wpływem doznanego szoku, wywołanego własnym czynem – umknął z całą kasą. Wbrew odwiecznym, złośliwym dowcipom na temat inteligencji policji miejscowy stróż prawa – którego rychło powiadomili o nieszczęściu wracający do wsi robotnicy, odnajdujący ciało zamordowanego – bardzo sprawnie wytypował osobnika podejrzanego o dokonanie zbrodni.

Kierując się intuicją, udał się natychmiast rowerem do pobliskiej Zebrzydowej, gdzie domniemany rabuś popijał już gorzałkę w gospodzie. Policjant niespiesznie podszedł do jego stolika i przez jakiś czas prowadził obojętną rozmowę, bacznie obserwując próbującego ukryć zdenerwowanie podejrzanego.

Gdy ten dzięki sprytowi „władzy” zapomniał o czujności, stróż prawa od niechcenia powiedział, że jadąc do szynku spotkał w lesie Altmana. Zaskoczony bandyta, nie zdając sobie zapewne sprawy z tego, że bezwiednie przyznaje się do winy, przerażony zapytał: Co, on jeszcze żyje? To wystarczyło policjantowi do potwierdzenia słuszności podejrzeń. Zabójca płatnika został natychmiast aresztowany i oddany w ręce wymiaru sprawiedliwości, a na miejscu napadu postawiono kamienny krzyż.

Dzisiaj jednak owego monumentu już nie ma, zginęła również pamięć o tamtym, dramatycznym wydarzeniu, o którym nie wie także niemal nikt ze współczesnych mieszkańców pobliskiej wsi.

KAMIENNI INFORMATORZY

W borach otaczających Przejęśław i Ławszową zachowały się tu i ówdzie pojedyncze słupy ceramiczne, wyznaczające granice byłego terytorium dawnych właścicieli kliczkowskiego zamku. Posiadali oni w swoich dobrach imponujący obszar ziemi, porośniętej starym drzewostanem. Tu urządzano ekskluzywne polowania z udziałem koronowanych głów, a miejsca padnięcia szlachetnych zwierząt upamiętniano okazałymi pomnikami. Te graniczne pale na górnej płaszczyźnie zdobiono stylizowanymi lwami lub herbami, natomiast na bokach liczbowymi symbolami przylegających kwartałów leśnych.

Odrębne oznaczenia noszą także do dzisiaj zachowane kamienne płyty o kształcie zaokrąglonych w górnej części tablic, opatrzonych zgrabnie wyrzeźbionymi w przedniej ścianie cyframi i zwykle osadzanych na usypianych kopcach. Spora ich liczba nie tak dawno widniała jeszcze pomiędzy Dobrą i Osieczowem.

Jeszcze innymi relikтами czasu minionego są dziewiętnastowieczne drogowaskazy – piaskowcowe graniastosłupy, opatrzone wrytymi strzałkami, pomagającymi w dotarciu do śródlęśnych miejscowości. Jeden z nich zachował się przy ruinach dawnej, zniszczonej gospody, tuż obok przebiegającej tamtędy Drogi Żagańskiej. Drugi stoi w centrum Osieczowa.

Trzeba mieć nadzieję, że osoby napotykające na swojej drodze te skromne obiekty docenią zapobiegliwość informacyjną minionych pokoleń i pozwolą dalej trwać owym historycznym przedmiotom w miejscach, gdzie przed wieloma dziesiątkami lat ustawili je ludzie, których już dawno nie ma wśród żywych.

ZABÓJSTWA I ZBRODNI

Gdzie jak gdzie, ale w Kliczkowie słoneczna jesień może swoimi barwami spowodować prawdziwy zawrót głowy. Obleczony w ciepłe kolory przypałacowy park, zaprojektowany niegdyś przez mistrza zieleni Petzolda, konkuruje tu z niepowtarzalnym urokiem nadkwiskich lasów, hojnie przystrojonych różnymi odcieniami żółci, purpury i brązu. Ta pora roku nastraja raczej refleksyjnie, a u osób wyjątkowo uduchowionych romantyczne spacery po szeleszczących kobiercach opadłych liści wywołują czasem nastrój wręcz melancholijny.

Cofnijmy się więc do 23 października roku pańskiego 1597. Tego dnia dwaj dostojni panowie von Rechenberg – Kasper z Kliczkowa i Melchior ze Schlawy – wydawali za mąż swoje dorodne córki. Oczywiście tak ważna uroczystość – bacząc choćby na pozycję rodu w hierarchii społecznej – musiała mieć godną oprawę weselną, oszałamiającą rozmachem i przepychem zarówno wiejskie pospólstwo, jak i sąsiednie dwory.

Nie szczędzono więc na nią grosza, zastawiając biesiadne stoły przednim jadłem i najszlachetniejszymi trunkami. Na huczną zabawę zjechali wyśmienici i bogato utytułowani goście. Niestety, ich wysokie urodzenie nie uchroniło przyjęcia od zgoła pospolitej awantury. Rechenbergowe weselisko przebiegało bowiem spokojnie tylko do czasu. Nieoczekiwanie dla gospodarzy i znacznej części biesiadników doszło do żałosnego incydentu. Nie wiadomo dokładnie – wszak od wydarzeń upłynęło z górą czterysta lat – co stało się powodem spięcia, w każdym razie ilość spożytych „procentowych” delicji miała niewątpliwie swój znaczący udział w inicjacji rozróby.

Wypite trunki uskrzydliły bowiem dwóch świadków zaślubin do tego stopnia, że nie bacząc na charakter „imprezy” rzucili się do bitki.

O całym przebiegu szlacheckiego pojedynku źródła mówią niewiele, wiadomo tylko, że jeden z krewkich weselników, Wilhelm von Dohnau, został zraniony. Jego przeciwnik Otto von Kittlitz wyszedł ze starcia bez szwanku. I chyba w tym miejscu godzi się opuścić zasłonę milczenia nad dalszym przebiegiem tak szokująco urozmaiconej biesiady... Z dzisiejszej perspektywy można oczywiście powiedzieć – cóż to za rewelacja, wszak współcześnie gorzące zadymy (również na weselach!) także się zdarzają! Tylko, czy zechce je ktoś wspominać za kolejne czterysta dziesięć lat...?

Znacznie krwawszy okazał się finał innego, kliczkowskiego małżeństwa sprzed wieków. Tym razem rzecz działa się w roku 1600 i dotyczyła ludzi niższego stanu. Bohaterem wydarzenia, z racji niezwykłości odnotowanego w starych kronikach, był miejscowy chłopogrodnik. Pozbawił on życia najemnego robotnika, zatrudnionego w pobliskiej kuźni, dokonując na nim samosądu. Jakkolwiek każde

zabójstwo jest czynem potwornym, karalnym, to nie spowodowało poniesienia adekwatnych konsekwencji przez zabójcę.

Dlaczego? Ponieważ zabity pomocnik kowala był winien domniemanego zbałamucenia żony rolnika... Z historycznych zapisków nie można wyłuskać szczegółów tej zbrodni, jednak co do samej istoty sprawy nie ma raczej wątpliwości. Wina adepta kowalstwa została stwierdzona dość jednoznacznie, ponieważ kochanków jakoby przyłapano na gorącym uczynku. Ten fakt miał zapewne bezpośredni wpływ na wyrozumiałość organów ówczesnej sprawiedliwości, gdy idzie o potraktowanie zazdrosnego małżonka. Czy do ujawnienia cudzołóstwa oraz zabójstwa doszło w samej kuźni (rozgrzewającej do czerwoności, jak się okazało, nie tylko surowiec do wyrobu podków i żelaznej galanterii), nie wiadomo. Tak czy owak, pomocnik kowala gwałtownie rozstał się z tym światem. Bardzo szybko również nieszczęsna małżonka, uwiedziona wdziękami kuźniczego terminatora, została ukarana okrutnie za swój udział w przytoczonej aferze miłosnej.

I ona zapłaciła za nią głowę. Najprawdopodobniej egzekucji dokonano w majestacie jakiegoś miejscowego prawa. I tu dopiero rodzi się jesienna refleksja...

O ile pierwsze z omawianych wydarzeń – pojedynek na weselu – nie jest dla wielu dzisiejszych awanturników niczym szczególnym, o tyle drugi przykład, wyzierający z przeszłości Kliczkowa, budzi grozę. Zapewne nie tylko we współczesnych mieszkańcach tej zacnej miejscowości. Zdradzonny chłopina dokonał samosądu w wielkim afekcie, z zaskoczenia – dlatego najprawdopodobniej amant-kowal zapłacił łepetyną za swoje amory. Natomiast zasądzoną „na zimno”, nieludzką karę za cały incydent poniosła niewiasta...

DRAMAT HRABIOSTWA zu SOLMS-TEKLENBURG

Jedyna córka Jana Krystiana Henryka Hermana hrabiego zu Solms-Teklenburg i Marii z domu von Raven, hrabianka Jenny – takie imię nosiła bowiem domniemana autorka większości rysunków z odnalezionego po latach aż w Szwajcarii kliczkowskiego, zamkowego szkicownika – jawi się nam dzisiaj jako osoba tajemnicza, odbiegająca zdecydowanie od utrwalonego przez literaturę wizerunku dziewiętnastowiecznej dziewczyny szlacheckiego urodzenia.

Była ona w istocie kimś niezwykłym, żeby nie powiedzieć – dziwnym. Z zachowanych zapisków na jej temat wynika, iż cierpiała na jakąś chorobę – prawdopodobnie anemię lub anoreksję. Melancholijna i snująca się wśród zabudowań wsi z atrybutami rysunkowymi, uwielbiająca romantyczne chaty leśne i skłaniające do zadumy ustronne miejsca – wśród prostych mieszkańców okolicy budziła szczególne zaniepokojenie i prowokowała rozliczne uwagi.

Była bardzo kochaną córką, której świadomi jej nieszczęścia i zrozpaczeni rodzice pragnęli głębokim uczuciem zrekompensować smutny los. Zapewne ich wielki dramat potęgowała całkowita bezsilność w obliczu choroby dziecka.

Tu ani ogromny majątek Solmsów, ani cała ówczesna medycyna nie mogły odwrócić biegu wydarzeń.

Jak wynika z tekstu odnalezionego dziennika innego lokatora zamku – Jenny umarła bardzo młodo, nie doczekawszy nawet dwudziestu lat. Stało się to 29 marca 1874 roku. Pochowano ją w rodowej kaplicy cmentarnej, wybudowanej na skraju przepięknego parku, założonego w otoczonej wysoką skarpą dolinie, wypłukanej w ciągu wieków przez meandrującą Kwisę.

W końcu lat dziewięćdziesiątych XX wieku na strychu stojącego opodal zamku obiektu gospodarczego odnaleziono rozbite, marmurowe tablice nagrobne z epitafium Jenny, umieszczonego pierwotnie na ścianie zniszczonej kaplicy.

Dzisiaj nie wiadomo, gdzie podziały się nawet te ich szczątki...

*Stojąca niegdyś na obrzeżu parku pałacowego,
nieistniejąca obecnie kaplica grobowa Solms-Baruthów*



„TYGRYS KRÓLEWSKI” W ŚWIĘTOSZOWIE?

Czy na świętoszowskim poligonie testowano również prototypy hitlerowskiego czołgu ciężkiego nowej generacji, osławionego Tygrysa Królewskiego, mającego zahamować coraz bardziej niekorzystny dla hitlerowskiej III Rzeszy bieg wydarzeń na frontach II wojny światowej? Warto tej sprawie poświęcić nieco więcej uwagi.

Kiedy na bitewnych polach II wojny światowej pojawił się sowiecki czołg średni T-34 - swoimi walorami bojowymi zaszokował dowództwo i niemieckich żołnierzy. Jak twierdzi część historyków wojskowości – do pierwszego starcia hitlerowskich zagonów z nowymi tankami doszło już 7 października 1941 roku. Tego dnia oddziały niemieckiej 13 Dywizji Pancerniej miały poznać siłę tych rosyjskich maszyn, górujących wyraźnie w tym czasie nad używanymi przez Wehrmacht i Waffen SS pojazdami.

Specjalna komisja Ministerstwa Uzbrojenia Rzeszy – Waffenamt – osobiście obejrzała kilka zdobytych tanków. Przyspieszono prace nad własnym pojazdem, mogącym

sprostać sowieckiemu przeciwnikowi. W III Rzeszy prym wiodły dwa rywalizujące ze sobą biura projektowe, w których pod nadzorem głównych konstruktorów, dr. inż. Ferdynanda Porsche i naczelnego inżyniera firmy Henschel, przygotowano odmienne prototypy czołgów ciężkich, określanych jako VK 4501 (P) i VK 4501 (H).

Ostatecznie po próbach poligonowych wybrano model Henschela (VK 4501 H), który stał się „przodkiem” bodaj najslawniejszego pojazdu z okresu II wojny światowej – ciężkiego czołgu Pz.Kpfw. VI Tiger. To hitlerowskie monstrum dysponowało armatą kalibru 88 mm, będącą adaptacją działa przeciwlotniczego, i posiadało pancerz wykonany z niezwykle twardej, walcowanej stali, co w pewnych okolicznościach powodowało, iż pociski nieprzebijające go odpryskiwały wewnątrz kawałki stali, rażące śmiertelnie załogę.

„Tygrys” doczekał się też mutacji – powstał kolos o potężnym, znacznie lepiej ukształtowanym pancerzu – Tygrys Królewski. I właśnie z tym czołgiem nowej generacji wiąże się pewna tajemnica. Przed wielu laty pojawiła się niepotwierdzona jednak nigdy żadnymi dokumentami

pogłoska, że taką właśnie maszynę testowano także na świętoszowskim poligonie. Ostatni jej egzemplarz, stojący gdzieś w magazynie, miał wyjechać na wagonie kolejowym z opuszczanego przez Rosjan Świętoszowa dopiero w ostatnich latach ich pobytu na ziemi osiecznickiej.

W tamtejszym lesie spoczywała nawet rzekomo strącona wieża zagadkowego pojazdu. Trudno dostępny teren sowieckiego wtedy obszaru ćwiczeń nie krył jednak oczekiwanej rewelacji. Okazało się, iż wbita bokiem w ziemię baszta należała do sowieckiego IS-2, najprawdopodobniej użytego jako cel. Sprawa powróciła ponownie tuż po opuszczeniu przez oddziały Armii Radzieckiej Świętoszowa. Dopiero na kilka miesięcy przed tym faktem miano stamtąd jakoby wywieźć Tygrysa II, stojącego od czasu wojny w jakimś niedostępnym hangarze.

Wreszcie, w ostatnim czasie znaleziono nad Kwisą wielkie ogniwo gąsienicy, najprawdopodobniej pochodzącej z tego właśnie czołgu. Jedno jest pewne – wyprodukowane pod koniec wojny w niewielkiej ilości Pz.Kpfw. VI Tiger II walczyły zarówno na froncie wschodnim, jak i zachodnim, ale wbrew szumnym zapowiedziom nie okazały się jedną z cudownych broni Hitlera i nie uratowały jego upiornej III Rzeszy...

LOS SIERGIEJA JERCHOWA

Urodzony w 1922 roku Siergiej Iwanowicz Jerchow był ochotnikiem. Wstępując do Armii Czerwonej jako młody chłopak, zostawił w głębi Rosji swoje miejsce pracy oraz matkę i rodzeństwo, którymi się opiekował jako najstarszy syn osieroconej przez ojca rodziny. Jego żyjąca do dzisiejszego dnia siostra zdążyła tylko zamienić z nim kilka słów, gdy nagle musiał odjechać na front, wyciągnięty wprost z miejsca pracy. Z żalem i lękiem rozstawała się z bratem, nie wiedząc, że już nigdy go nie zobaczy. Po kilku latach walki zginął pod Tiefenfurtem. Taką bowiem nazwę nosiła wtedy dzisiejsza Parowa.

Ziemię osiecznicką zajmowały w lutym 1945 roku – konkretnie w połowie tego miesiąca – sowieckie oddziały 3 Armii Pancernej Gwardii.

Jej dowódcą był generał pułkownik Paweł Rybałko, awansowany właśnie w lutym do stopnia marszałka wojsk pancernych. Walczyły tu także oddziały 48 korpusu piechoty 52 Armii Ogólnowojskowej, dowodzonej przez generała pułkownika Konstantina Korotiejewa.

To właśnie w szeregach tejże 52 Armii – jak wynika z dokumentów – służył Siergiej Jerchow. W trakcie walk na początku lutego 1945 roku od północnego zachodu wspomniane siły rosyjskie stykały się z 4 Armią Pancerną generała pułkownika Dimitrija Leluszenki.

W osiecznickich lasach jako przeciwnik operowała zaś niemiecka 6 Dywizja Grenadierów Ludowych, mająca w swoich zasobach oddziały Volksturm, a także Führer Grenadier Division. Pojawiały się także różne, doraźnie klecone z niedobitków Wehrmachtu i innych formacji ugrupowania. Walki były nadzwyczaj ciężkie i krwawe, rozmiękłe pola i pobocza utrudniały ruch czołgów i innych pojazdów bojowych. Wiele tanków T-34 oraz IS-2 ugrzęzło, wiele też padło ofiarą specjalnych niemieckich grup bojowych, uzbrojonych w pancerfausty. Także niemieckie maszyny – czołgi „pantery” oraz starsze panzer IV gęsto zasłały pola bitewne. Bardzo groźne były „hetzery” – niszczyciele czołgów, niskie działa pancerne wykonywane na podwoziu czeskiego czołgu.



Cmentarz żołnierzy radzieckich...



...i mogiła Siergieja Jerchowa

Przez wiele lat po wojnie w lasach i na nieużytkach znajdowano szczątki żołnierzy obydwu stron. Tak dzieje się sporadycznie również dzisiaj.

Siergiej Jerchow nie zginął natychmiast, w wyniku ciężkich obrażeń zmarł 28 lutego 1945 roku. Jego szczątki przewieziono na bolesławiecki cmentarz i tu pochowano. W pobliżu jego grobu, oznaczonego numerem 757, znajduje się mogiła nr 731. W niej spoczywają dwaj inni żołnierze sowieccy, polegli w lutym w Parowej, czyli dawnym Tiefenfurthcie – sierżant Iwan Jakowlew Kutiawin oraz sierżant Iwan Jakowlewicz Szkuta.

OSTATNI OBIAD

Zdarzyło się, że pod warstwą ceglanego i piaskowcowego gruzu w jednej z byłych, śródleśnych osiecznickich osad został utrwalony – jak w pojedynczym kadrze taśmy filmowej – skromny fragment prozaicznego, ludzkiego życia, przerwane nagle dramatycznym wydarzeniem – zawaleniem się zbombardowanego budynku tuż przed przygotowywanym właśnie obiadem. Taki zapis tragicznego momentu sprzed lat zachowała zatopiona w ziemi, ulokowana w niskim parterze izba domostwa, w której kącie stał reprezentacyjny stół, służący zapewne do wspólnego spożywania posiłków.

Jego solidne dębowe nogi i gruby blat wytrzymały ciężar osuwającego się z rozdartego stropu wapiennego pyłu, który nie tylko przykrył rozstawione właśnie talerze, sztucce, garnek z zupą i dzban z napojem, ale także skutecznie utrwalił całość zastawy w takiej pozycji, w jakiej ją porzucili uciekający z zagrożonego domu jego mieszkańcy.

Z biegiem kolejnych powojennych lat pagórek ruin nad resztką kuchni powoli malał, aż w końcu zrównał się z otoczeniem. Działo się tak, ponieważ przybyli w te okolice nowi gospodarze systematycznie wybierali z rumowiska cegły i kamienie, przydatne do naprawy ich zagród. Z czasem zdziczały rosnące w pobliżu drzewa owocowe, zasypujące każdego roku swoje podnóże cierpkimi jabłkami. Kiedy i one padły ze starości, na ostatecznie zapomnianym, ukrytym pod krzewami gruzowisku

wyrosły dorodne samosiejki, ocieniające pobliski trakt, w tym miejscu wygięty w łuk i mocno zakłęsnięty.

Przejeżdżające tędy coraz częściej traktory i samochody pogłębiały stale wilgotne koleiny, bowiem w czasie wywożenia z tego miejsca cegły zasypano bezmyślnie dawny, przydrożny rów, zapobiegający gromadzeniu się tu wody deszczowej. Taki stan rzeczy przeszkadzał jednak w sprawnej komunikacji, piaszczysta nawierzchnia musiała być wreszcie porządnie utwardzona. Wtedy to przystąpiono do wydrążenia nowego rowu, odprowadzającego kłopotliwą wodę deszczową na położony niżej dziedziniec nieistniejącego gospodarstwa. W trakcie prowadzonych robót natrafiono na zasypany fragment fundamentów chaty i żałosne pozostałości jej kuchni ze skamieniałym stołem, na którym ciągle – jak przed wieloma dziesiątkami lat – stały przygotowane do posiłku talerze i fajansowe kubki. Tkwiły dokładnie w tym samym miejscu, w którym położyła je gospodyni, sąsiadując niezmiennie z zaśniedziałymi łyżkami, nożem o skorodowanym ostrzu, dużym, lekko tylko wyszczerbionym garnkiem (z którego wystawała rączka chochli) oraz smukłym dzbanem.

I mogły tak trwać kolejne dziesiątki, a nawet setki lat – bowiem drewniany stół w trakcie wielu deszczowych dni i wiosennych topnień śniegu został dokładnie „zamulony” warstwami długo nakładanych resztek tynku i ziemi – gdyby nie przypadkowe odsłonięcie kuchennego pomieszczenia w czasie kopania rowu odwadniającego. Odkrycie wywołało burzliwe komentarze robotników, sprowokowało ich też do bardziej szczegółowego oczyszczenia napotkanego fragmentu ruin.

Okazało się jednak, że za wyjątkiem stołu i zastawy dla pięciu biesiadników leżały tam tylko doszczętnie pogruhotane reszki krzeseł i jakieś nadpalone fragmenty belek. Dziwnym więc trafem jedynie przygotowany do posiłku blat i stojące na nim nakrycia pozostały tak, jak je w pośpiechu porzucono. I przez lata trwały pod warstwą gruzu, świadcząc swoim istnieniem o dramacie dawnych lokatorów tego miejsca.

SKARBY WYDARTE ZIEMI

Tak to już bywa, że zwykło się za skarby uważać przede wszystkim złote lub srebrne przedmioty, a zwłaszcza miło brzęczące monety, wykonane właśnie z tych szlachetnych kruszców. Dlatego też skarbem można śmiało nazwać odkrycie, jakiego dokonano stosunkowo niedawno, bowiem w roku 1978, podczas ratowniczych badań archeologicznych prowadzonych w okolicy Osiecznicy.

Odkryto wtedy kolekcję monet z XVI – XVII wieku. Miedzy innymi w jej skład wchodził talar Ferdynanda II z 1625 roku, talar „lewkarzy” z 1620 roku i ćwierć talara saskiego z 1586 roku.

Osiemnaście lat później, 25 lipca 1996 roku, pewien mieszkaniec Osieczowa drążył wykopy pod fundament przyszłego budynku. W trakcie robót nieoczekiwanie natknął się na pęknięty gliniany garnek, zawierający dużą ilość srebrnych monet. Dzięki dobrej woli uczciwego znalazcy, po stosownej konsultacji w gronie rodzinnym zdecydował się on przekazać cały odkryty zbiór Państwowej Służbie Ochrony Zabytków w Jeleniej Górze. Skarb trafił tam

8 sierpnia 1996 roku, a następnie, 14 dnia tegoż miesiąca, do miejscowego Muzeum Okręgowego. Jeszcze później wydobyte z ziemi pieniądze powędrowały do Gabinetu Numizmatycznego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, gdzie naukowym opracowaniem kolekcji zajęła się Pani Gabriela Sukiennik. Stamtąd wiekowy, srebrny bilon powrócił do jeleniogórskiego muzeum. Niestety, w zamieszaniu powstałym po odkryciu przepadł gdzieś sam uszkodzony gliniany garnek. Wbrew pozorom stanowiło to wielką stratę dla ewentualnych archeologicznych dociekań.

Co kryło wcześniej zaprzepaszczone tak niefrasobliwie naczynie? Schowano w nim 39 monet większych oraz aż 439 mniejszych srebrnych krążków. Wszystkie zostały przez fachowców zgodnie ze sztuką pieczołowicie odczyszczane i prawidłowo zakonserwowane. Przejęty zbiór obejmował bilon hiszpański, burgundzki, brabancki, austriacki, czeski, saski, szwedzki, polski i śląski. Do najstarszych egzemplarzy należały grosze praskie, pochodzące z początku szesnastego wieku, z okresu panowania Władysława II Jagiellończyka.

Przeważającą część monet wybito w wieku XVII, zaś najmłodsze wytłoczono w roku 1663. Jeśli idzie o wielkość – to prym wiodły tu pieniądze książąt śląskich – Christiana, Ludwika i Jerzego, dalej polskich królów – Zygmunta III Wazy, Władysława IV i Jana Kazimierza, potem szwedzkie Gustawa Adolfa, cesarskie Fryderyka II, Fryderyka III, Leopolda I i wreszcie hiszpańskie Filipa IV.



MIEJSCA KULTU

Historia świątyń istniejących na obszarze gminy Osiecznica sięga czasów bardzo odległych. Choć zapewne każda społeczność ludzka już w swoich najgłębszych pradziejach kultywowała jakieś wierzenia, to większość materialnych śladów, czy nawet informacji o większości z nich, nie dotrwała do dziś.

W przypadku Osiecznicy zachowały się dość enigmatyczne przekazy – dziś już nieweryfikowalne – o istnieniu w pobliżu wsi Ołobok miejsca kultu pogańskiego bożka Mielboga (lub też Mohalybog, Mühlbock czy nawet Mała Pocca bądź Mała Paka).

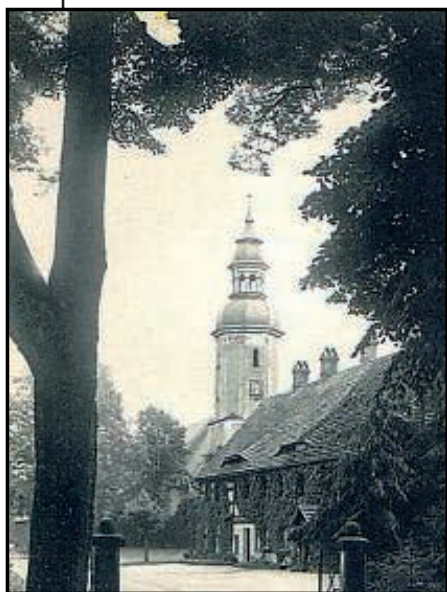
W okresie wczesnego średniowiecza istniała tu pierwsza znana osada na terenie gminy. Według zapisków pochodzących ze znacznie późniejszych kronik około 800 lat po narodzeniu Chrystusa sprawowano tam pogańskie obrządki w świątyni tegoż właśnie Mielboga.

Sprawa pogańskiego kultu w Ołoboku, a zwłaszcza jego związku z nazwą wsi, nie jest do końca jasna. Piszący o dziejach Górnych Łużyc Niemiec, Mischke, w roku 1861 wydał w Zgorzelcu pracę, odnosząc się w niej również do tego problemu.

Sugerował on na jej kartach, iż dawne miano osady pochodziło właśnie od imienia serbsko-łużyckiego bożka o imieniu Mohaly Bog, którego świątynia stała jakoby przed rokiem 1000 w miejscu, na którym po wiekach zmian i rozbudowy wsi wzniesiono duże gospodarstwo, zasiedlone przez ogrodnika Mensela. Trudno rozstrzygnąć, czy taką sugestię można uznać za w pełni uzasadnioną przekazami historycznymi, czy raczej należy traktować ją jako koncepcję opartą na powtarzanych niegdyś legendach – w każdym razie miejscowość Ołobok była niewątpliwie przed kilkunastoma wiekami ważnym miejscem kultowym Słowian zamieszkujących dzisiejsze okolice Bolesławca. Istnienie w pobliżu świątyni znanego szeroko bożka miało więc doniosłe znaczenie dla rozwoju zarówno tej osady jak i innych, okolicznych miejscowości – takich jak Parowa czy Kliczków.

Osiecznickie świątynie przechodziły wraz ze swymi wiernymi zmienne koleje losu. Ulegały zniszczeniom, przebudowom, zmieniały się wyznawane w nich konfesje.

Terytorialnie, niemalże od początków chrześcijaństwa w Polsce, Osiecznica należała do najstarszego na naszych ziemiach (obok Gniezna, Krakowa i Kołobrzegu) biskupstwa wrocławskiego, utworzonego już w roku 1000, podczas słynnego zjazdu gnieźnieńskiego. Jeden z najstarszych dokumentów zawierających nazwy osiecznickich wsi to Księga Uposażeń Biskupstwa Wrocławskiego z roku 1305. Zapis informuje, że: Ławszowa, Osieczów, Kliczków, Tomisław i wszystkie dobra panów de Ladnskron przynależące do terytorium bolesławieckiego nie płacą nic biskupowi. Wyznanie katolickie od czasu wojen husyckich stopniowo traciło wiernych, a co za tym idzie – również majątek i świątynie. Niektóre z nich po zakończeniu wojny trzydziestoletniej na jakiś czas przywrócone zostały katolikom, jednak z powodu braku wyznawców stopniowo przestawały funkcjonować, popadały w ruinę lub były wykorzystywane przez protestantów. Do zakończenia II wojny światowej zdecydowana większość mieszkańców gminy należała do kościoła ewangelickiego.



Kościół w Kliczkowie

Przez długi czas jedyną wyspą katolicyzmu był Kliczków, w którym w trakcie remontu miejscowej świątyni, jeszcze w roku 1878 podkreślano, iż jest to budowla służąca wiernym wyznania rzymskokatolickiego. Wiele wskazuje na to, że przed II wojną światową kościół służył już protestantom. Ostatni właściciel zamku, hrabia zu Solms-Baruth był chrześcijaninem, zdeklarowanym wrogiem nazistowskiego rządu w Niemczech.

Najstarszymi, do dziś istniejącymi świątyniami osiecznickimi są kościoły w Kliczkowie i Tomisławiu. Na przestrzeni lat

wielokrotnie remontowane i przebudowywane – nie zachowały się one w swoim pierwotnym kształcie, mają jednak najdłuższą udokumentowaną historię. Niewielki (jak na dzisiejsze standardy) kościółek kliczkowski wzniesli Rechenbergowie w XIV w.

Obecnie wygląd zewnętrzny budowli wskazuje na architekturę drugiej połowy XVI w. Dobrze natomiast zachował się pierwotny wystrój wnętrza. Jednym z najcenniejszych elementów wyposażenia jest trzyczęściowy drewniany ołtarz główny. Ufundowany został przez rodzinę Rechenbergów pod koniec XVI w. Mimo że czas powstania ołtarza sugerowałby styl renesansowy, posiada on wyraźne cechy gotyckie. Główne pole trzyczęściowej konstrukcji przedstawia (zgodnie z wezwaniem kościoła) Pokłon Trzech Króli. Pierwszy z przedstawionych mężczyzn jest wyraźnie starszy od pozostałych. Klęcząc przed Nowo Narodzonym, ofiarowuje Mu szkatułę ze złotem. Dwaj pozostali monarchowie wręczają puszki z mirrą i kadzidłem. Na skrzydłach ołtarza widzimy sceny z Nowego Testamentu: po lewej stronie: Zwiastowanie Najświętszej Marii Panny oraz Obrzezanie, a po stronie prawej: Narodziny i Ucieczka do Egiptu. Na odwrocie skrzydeł tryptyku widnieje wizerunek Maryi i naturalnej wielkości Chrystusa Ubiczowanego.

Pod stopami postaci namalowano słabo dziś widoczny herb fundatorów. Ołtarz zwieńczony jest

wizerunkiem Piety w trójkątnej ramie wypełnionej złotym tłem. Tu również umieszczono rzeźbiony herb rodziny Rechenbergów.

Wydaje się, że najcenniejszym zabytkiem tej świątyni jest rzeźbione w drewnie lipowym i sosnowym epitafrum Kaspra von Rechenberg zmarłego w roku 1588, jego żony Katarzyny von Schaffgotsch-Neuhaus oraz ich dzieci i sióstr. Za autora dzieła uważa się słynnego w owych czasach śląskiego snycerza Jana Klintscha. Wybitnego twórcę sprowadziła do Kliczkowa najprawdopodobniej właśnie Katarzyna, żona Kaspra. Wiadomo bowiem, że wykonywał on zlecenia dla rodziny Schafotsch, z której pochodziła.

Rzeźba przedstawiała całą osiemnastoosobową rodzinę łącznie z 12 dziećmi, nawet noworodkami. Postacie klęczały ze złożonymi rękami u stóp ołtarza. Największe z rzeźb mierzą około 1 m.

Zachowane do dziś grafiki utrwaliły obraz całej konstrukcji z rzucającymi się w oczy postaciami ubranymi w renesansowe zbroje. Z lewej strony klęczy sam Kasper von Rechenberg wraz z ojcem Jerzym von Rechenberg.

Na wprost mężczyzn umiejscowiono rzeźby przedstawiające żonę Kaspra – Katarzynę von Schaffgotsch-Neuhaus i jej teściową Helenę Schaffgotsch-Schwarzbach. Obok ustawiono ich dzieci.

Wszystkie postacie kierują wzrok w stronę ołtarzyka stanowiącego integralną część epitafium. Pozbawiona dziś większości elementów konstrukcja składa się z trzech części, z których największą jest środkowa. Podziwiać można w niej było naturalnej wielkości figurę Chrystusa na krzyżu. Obok stały figury Maryi i św. Jana. Dwupiętrowe skrzydła ołtarza wypełnione są scenami z Nowego Testamentu: Zwiastowanie, Obrzezanie, Modlitwę w Ogrójcu, Ukrzyżowanie, Złożenie do Grobu, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. Szczyty zwieńczono niewielkimi rzeźbami symbolizującymi cnoty kardynalne: Miłość, Wytrwałość, Roztropność, Sprawiedliwość, Łaskawość, Wiarę i Nadzieję. Do dziś



zachowały się tylko dwie z wymienionych figurek. Opisane wcześniej duże rzeźby członków rodziny Rechenberg oraz krucyfiks znajdują się od 1972 roku we wrocławskim Muzeum Narodowym.

Obecnie epitafium, pozbawione

większości elementów, stoi po lewej stronie od wejścia do kościoła. Do roku 1840 znajdowało się w kaplicy grobowej za ołtarzem głównym. W kaplicy mieści się krypta grobowa Rechenbergów i Schellendorfów. Jeszcze dziś znajdują się tu resztki kilku trumien właścicieli Kliczkowa.

W kaplicy znajduje się jeszcze jeden cenny zabytek – wykonana z piaskowca, późnogotycka, ośmiokątna chrzcielnica. Prawdopodobne daty jej powstania to lata 1419, 1490, lub 1519. Wyraźnie natomiast widoczna jest data na innym elemencie wyposażenia kościoła – gotyckim sakramentarium. Wyryto na nim: 1512. Nie ma również wątpliwości co do daty powstania

widocznej po prawej stronie kościoła ambony. Ufundował ją w roku 1599 dziedzic kliczkowskiego zamku Kaspar von Rechenberg Młodszy. Ambonę zdobią, często spotykane w takich konstrukcjach, postacie czterech ewangelistów. Na zewnętrznej stronie schodów umieszczono herby Rechenbergów i Schaffgotschów (rodziny żony fundatora).

W tym samym mniej więcej czasie powstała okazałych rozmiarów ława z emporami stojąca po lewej stronie ołtarza. Zasiadali w niej podczas mszy św. kliczkowscy dziedzice ze swymi rodzinami po wejściu do kościoła specjalnie dla nich przeznaczonymi (istniejącymi do dziś) drzwiami prowadzącymi dawniej do zakrystii. Ława zdobiona była ośmioma herbami rodowymi, z których widoczne są dziś tylko herb Rechenbergów i Schaffgotschów. Pozostałe sześć trudno obecnie odczytać, ponieważ zostały częściowo zamalowane.

Integralną częścią budynku kościoła jest typowa w tych stronach wieża dzwonnicza. Czworokątna u podstawy, przekształca się w ośmiokąt przykryty barokowym hełmem z galeryjkami. Na szczycie widnieje jabłko i krzyż lotaryński. Wieżę zdobi nieczynny dziś zegar. Niegdyś rozbrzmiewały stąd głosy dwóch dzwonów, obecnie pozostał tylko jeden – odlany we Wrocławiu w roku 1878 roku, o czym informują dobrze widoczne na nim napisy.

Tablica znajdująca się w pomieszczeniu pod wieżą informuje o trwaniu przy wyznaniu katolickim właścicieli Kliczkowa. Zatrudniony przez nich do renowacji znany architekt Piotr Gansel umieścił tu łaciński napis głoszący, że ta katolicka świątynia została odnowiona w roku Pańskim 1878.

Detal z epitafium





Epitafia na kliczkowskim cmentarzu przykościelnym

Na wewnętrznej stronie muru otaczającego kościół oglądać możemy wmurowane tu kamienne epitafia. Znajdziemy tu przede wszystkim pamiątki po rodzinie Rechenbergów. Nie wszystkie wyryte na nich napisy są dziś czytelne, niemniej bez problemu znajdziemy tu tablice nagrobną np. Mikołaja von Rechenberg zmarłego w 1583 roku, czy maleńkiego Kaspra von Rechenberg, który zakończył życie po zaledwie jednym roku i trzech tygodniach odchodząc z tego świata 29 XI 1573.

Wśród ocalonych pamiątek nagrobnych wyróżnia się niewątpliwie metalowy krzyż pochodzący z mogiły zmarłego 6 XI 1845 roku H. L. Reimanna, właściciela tutejszej papierni.

Wspomnieć należy także o zaniedbanym, ukrytym obecnie wśród krzewów i samosiejek, znacznie większym miejscu wiecznego spoczynku byłych kliczkowian, położonym w odległości kilkuset metrów od kościoła. Ten stary, od lat pięćdziesiątych XX wieku nieczynny cmentarz powstał najprawdopodobniej na samym początku dziewiętnastego stulecia. Według niepotwierdzonych źródłowo informacji pogrzebano na nim pierwszych zmarłych już w czasie kampanii napoleońskiej 1813 roku – w tym jakoby kilku chorych żołnierzy cesarza, którzy wyzionęli ducha, stacjonując we wsi.

Nekropolię zlokalizowano wysoko po wschodniej stronie Kliczkowa, na płaskim terenie, blisko granicy stoku opadającego ku dolinie Kwisy. Kilkadziesiąt metrów od jej bramy, w ciasnym łuku wykopu umocnionego na brzegach piaskowcowym murkiem, biegnie szosa prowadząca w kierunku Bolesławca. Cmentarz jest obecnie całkowicie zdewastowany i zarośnięty drzewami.



Żeliwny krzyż z grobu właściciela kliczkowskiej papierni

Betonowe oraz kamienne nagrobki walają się w jego różnych zakątkach, ale można dostrzec tu także kilka mogił, które najwyraźniej ktoś sporadycznie odwiedza. Stoją bowiem na nich wypalone znicze gdzieś leżą sztuczne kwiaty i resztki wieńców.

Główne wejście od lat wyznaczają masywne słupy dawnych wrót – a kilka podobnych pali stanowi mizerną pozostałość ogrodzenia. Ocalone, nieliczne epitafia przypominają dawnych mieszkańców Kliczkowa, których ciała złożono w tej ziemi przed dziesiątkami lat.

Destrukcyjnej działalności wpływającego czasu i miejscowym wandalom oparła się między innymi duża płyta piaskowcowa z tekstem, mówiącym o zmarłej Paulinie Berndt z domu Hoppner. Inne, łatwe do odczytania inskrypcje to napisy umieszczone na epitafium Teresin Borrman, Fritza Heidorfa i Heinricha Nusslera. Jest też wiele domniemyanych grobów dzieci. Wobec braku jakichkolwiek wiarygodnych informacji na ten temat, za takie można przyjąć mogiły niewielkich rozmiarów.

Dużo wcześniej na terenie nekropolii znaleziono drewniany,

dębowy krucyfiks z pięknie wyrzeźbioną głową Chrystusa w koronie cierniowej. Ten pochodzący z lat trzydziestych krzyż, stojący niegdyś – jak głosi wycięty na nim napis – na mogile matki, zachował się doskonale. Uratowany od całkowitego zniszczenia przechowywany jest obecnie w galerii w Przejęśławiu.

Kilku pochówków na cmentarzu dokonano jeszcze pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych XX wieku. W księdze zgonów wiernych z parafii rzymskokatolickiej w Tomiśławiu, do której należał w tamtym czasie Kliczków (raz zresztą w owym dokumencie nazwany Kleszczową), wymienione są następujące osoby, spoczywające na wspomnianej nekropolii: Michał Skobliński zmarły w roku 1949, Wiktor Łaszczyk zmarły 19 kwietnia 1950 roku, Maria Stanisława Stapel – dziecko zmarłe 18 lutego 1950 roku – oraz Wincenty Baran zmarły 17 maja 1952 roku. W związku z brakiem wpisów o kolejnych pochówkach w następnych latach należałoby więc przyjąć, iż był to na tym cmentarzu ostatni pogrzeb.

Najstarsi żyjący mieszkańcy Kliczkowa twierdzą jednak,

że pogrzebano tam także młodą dziewczynę, zmarłą na gruźlicę Krys-
tynę Galus, nieznanego obecnie z imienia mężczyznę Galusa oraz
dwoje dzieci z rodziny Pietrzaków. Co prawda takich zapisów nie ma
w księdze parafialnej ani w roku 1946, ani w latach następnych, jednak
podaną informację uwiarygodnia fakt uczestniczenia w pogrzebie Krys-
tyny Galus jednego z naszych rozmówców.

Kwestia powojennych pogrzebów jest o tyle ważna, że pośrednio wska-
zuje, iż kliczkowski cmentarz służył zarówno ewangelikom, jak i kato-
likom.

TOMISŁAW

Kościół w Tomisławiu należy do najstarszych świątyń gminy. Naj-
dawniejszy znany nam dokument dotyczący tej budowli pochodzi
z roku 1346. Pismo biskupa miśnieńskiego wymienia kościół katolicki
(dziś pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu) jako należący do de-
kanatu lubańskiego. W okresie reformacji przejęty został, podobnie
jak większość świątyń, przez protestantów. Katolicy jako
dominująca konfesja po-
dopiero po II wojnie
jawili się tu ponownie
światowej.

Sam budynek był
budowywany. W
wiono niewiel-
świątynię nazywa-
kim Kościołem,
żeli do niej ewan-
z odległego o
ca i kilku innych
Dwa lata póź-
powstała drew-
nica. Gruntow-
kościół dokona-
XVII wieku, w



wielokrotnie prze-
1654 roku posta-
ką drewnianą
ną Bolesławiec-
ponieważ nale-
gelicy nawet
10 km Bolesław-
miejscowości.
niej – w 1656 –
niana dzwon-
nej przebudowy
no pod koniec
latach 1689-90.

Kościół w Tomisławiu – charakterystyczna, samotnie stojąca wieża

Niemal dekadę później – w roku 1699 – drewnianą dzwonnice zastąpiono o wiele solidniejszą – kamienną. Kolejną przebudowę wymusił pożar z roku 1719, po którym natychmiast przystąpiono do odbudowy. Dzisiejszy kształt świątynia uzyskała po kolejnym pożarze, który strawił budowlę 9 października 1835 roku. Prace renowacyjne trwały przez dwa lata – 1836-37 – i znacznie zmieniły wygląd kościoła.

Interesującą konstrukcją jest kościelna wieża, która jako ewenement w tych okolicach, jest samodzielną budowlą stojącą w odległości 2-3 m od samego kościoła. Na jej renowację rozpoczętą w roku 1861 miasto Bolesławiec przeznaczyło kwotę 100 talarów. Na wieży umieszczono zegar o grawitacyjnym mechanizmie i archaicznie dziś wyglądającej konstrukcji, składającej się w przeważającej części z mosiężnych kół zębatach, zapadek i przekładni. Potężne, uruchamiające czasomierz swoją masą obciążniki po powolnym opadnięciu podciągane są systematycznie przez kościelnego ręcznie lub za pomocą elektrycznego silnika. Wewnętrzny, niewielki kontrolny cyferblat w górnej części tarczy opatrzony jest widocznym do dziś napisem *Ed. Korfbage & Söhne*, w dolnej zaś: *Buer. Bez. Osnabrück*. Zabytkowy chronometr nadal jest czynny i dzięki starannej konserwacji dokładnie odmierza czas i wybija godziny. (zdj. str.234)

Na mszę wzywają wiernych dwa dzwony. Starszy – z wyraźnie odlaną datą 1841 ozdobiony jest motywem kwiatowym biegnącym wokół najszerzej części kielicha. Ciekawszą formą zdobniczą jest doskonale widoczny w górnej części szlaczek, złożony z fantazyjnych gryfów stojących parami na wprost siebie, wkomponowanych w malowniczo wyginające się liście akantu. Dzwon odlany został z mosiądzu w Kruszyńcu przez ludwisarza G.L.Puhlera. Posiada on także wykonany wypukłymi literami (jak i wszystkie pozostałe napisy w tych dzwonach) bardzo czytelny cytat z Pisma Świętego, fragment z Psalmu 150.1:

CHWALCIE BOGA W JEGO
ŚWIĄTYNI,
CHWALCIE GO DLA POTĘŻNYCH JEGO DZIEŁ

Dokładnie 80 lat młod-
szy jest drugi dzwon
wykonany z żeliwa w
roku 1921, którą to
datę odlano cyframi
rzymskimi poniżej
znaku firmowe-
go wykonawców.
Instrument prze-
był długą drogę
do Tomisławia.
Przywieziony tu
został przez juko-
słowiańskich re-
emigrantów po II
wojnie światowej.



Dzwon kościoła w Tomisławiu

„przeprowadzki” ze
starej nekropolii, za-
chowano dla po-
tomnych nagrobne
pomniki najznacz-
niejszych miesz-
kańców Tomisła-
wia. Szczególnie
cenne są dwa.
Jeden ze wzglę-
du na swój wiek,
drugi z powodu
osoby, którą upa-
miętania. Najstar-
sze tutejsze epi-
tafium pochodzi
prawdopodobnie

Kościół nie posiada cennych z his-
torycznego punktu widzenia detali
zdobniczych. Zdecydowana więk-
szość wystroju pochodzi z czasów
już powojennych. Najstarszym ele-
mentem są organy, które umiesz-
czono tu w roku 1909 podczas
ostatniej przedwojennej renowacji
świątyni.

Niezwykle interesujące pod wzglę-
dem historycznym jest za to oto-
czenie budynku. Na murze ota-
czającym kościół znajdują się
liczne epitafia przeniesione tu naj-
prawdopodobniej podczas jednej
z renowacji w XIX w. Dokonując

z roku 1625 i nie umieszczo-
no go w murze okalającym koś-
ciół, lecz na wschodniej ścianie
świątyni. Późnorenesansowa w
formie tablica zawiera natu-
ralnej niemal wielkości płasko-
rzeźbę przedstawiającą szlachcica
w stroju z epoki. Co ciekawe i ra-
czej nietypowe, u jego stóp wyrzeź-
biono postać owiniętego szczelnie
becikiem niemowlęcia. Niemal
całość napisów zachłapana została
podczas tynkowania kościoła, nie
wiemy więc kogo upamiętnia ta
płyta ani tym bardziej – jaki był
powód umieszczeni na niej tego
nietypowego szczegółu.

Drugi ze wspomnianych pomników to epitafium pastora Andrzeja Rothe. Płytę umieszczono jako pierwszą od strony plebanii w murze kościelnym. Pastor należał do najznamienitszych mieszkańców Tomisławia. Znany na całym Dolnym Śląsku poeta, pisarz, autor wielu pieśni kościelnych, pełnił kapłańską posługę w Tomisławiu w latach 1742–1758. (Jego postać opisujemy szerzej w rozdziale Ludzie Niezwykli). Z zachowanego do dziś napisu możemy poznać dość szczegółowo biografię tego niezwykłego człowieka.

Kolejne zachowane epitafia to głównie pomniki tutejszych pastorów. Odczytać możemy dziś napisy upamiętniające pastora Georga Geißlera zmarłego w roku 1678 oraz jego syna, również pełniącego tu funkcję pastora – Gottharda, zmarłego dziesięć lat po swym ojcu. Kapłańskie obowiązki przejął po zmarłym Gotthardzie jego brat Georg Młodszy. Jego nagrobek jest dziś słabo widoczny. Przesłania go pień rosnącego przy murze drzewa i szeroko rozkrzewiony bluszcz. Trudno też odczytać już wyryte na nim napisy, które zachowały się tylko częściowo. Pełny tekst widocz-

ny jest natomiast na płycie pastora Johanna Heinricha Röhra zmarłego w październiku 1839 roku.

W tym, w większości „męskim” lapidarium znaleźć możemy co najmniej dwie płyty poświęcone kobietom. Jedna z nich to żona pastora Georga Geißlera – Rozyna z domu Pflander, zmarła w roku 1640, o czym informuje nas wyryty gotykiem tekst. Drugie „damskie” epitafium wmurowane jest w ścianę kościoła, tuż obok najstarszej opisywanej wcześniej płyty. Wykonano je dla Anne Margarethe von Nositz, która opuściła świat żywych 21 XI 1660 roku.

Większość z pozostałych płyt i pomników zawiera teksty dziś już w dużej części słabo, lub w ogóle nieczytelne. Wiele z nich przyciąga jednak wzrok fantazyjnymi kamiennymi sztukateriami i rzeźbami.

Dodatkową atrakcją opisywanego przez nas miejsca jest niewielka, zamurowana obecnie brama w murze okalającym kościół od strony Kwisy. To niepozorne przejście to (najprawdopodobniej) tzw. **Bolesławieckie Wrota** – przejście, którym przybywali do Tomisławia ewangelicy z Bolesławca



i okolic na przełomie XVII i XVIII wieku. Przekraczając Kwisę, wchodzili na teren Łużyc, gdzie panowała wolność religijna. Wrota straciły swą funkcję, gdy w 1742 roku Fryderyk Wielki po włączeniu do Prus między innymi tutejszych terenów ogłosił w państwie wolność religijną. Dziś, kilka metrów od zamurowanych Wrót, istnieje inne, otwarte przejście prowadzące w stronę rzeki. Nikt z niego jednak nie korzysta, gdy w pobliżu biegnie dużo wygodniejsza droga prowadząca do niewielkiego mostu wiszącego nad Kwisą. Pomniki wraz z otaczającą je roślinnością i historycznym murem tworzą niezwykle malowniczy zakątek, który ze wszech miar godny jest polecenia zwiedzającym.

Do tomiślawskiego kościoła przynależał też teren dawnego cmentarza. Używano go co najmniej od XVII wieku (a prawdopodobnie dużo wcześniej), aż do wieku XX, kiedy założono nową, funkcjonującą do dziś nekropolię. Stary cmentarz rozciągał się pomiędzy drogą biegnącą do Osieczowa a placem przyświątynnym. Otoczony częściowo kamiennym murem teren przekształcono w niewielki park po 1945 roku. Przez pewien czas traktowano to miejsce jako teren rekreacyjny, ustawiono więc ławki, wytyczono ścieżki. Dziś tylko wystające gdzieś fragmenty kamiennych konstrukcji przypominają o pierwotnym przeznaczeniu tego miejsca.

PAROWA

Być może jednym z najstarszych (a możliwe, że najstarszym) kościołem gminy Osiecznica była świątynia w Parowej. Niepotwierdzone informacje lokalnego historyka niemieckiego, Dewitza, opublikowane pod koniec XIX w., mówią o wzniesieniu tu kościoła już w XII wieku. Żadne inne źródło nie potwierdza jednak tych wiadomości. Tutejszy kościół istniał jednak prawdopodobnie już w XV w., posiada bowiem najstarszy zabytek w gminie – dzwon kościelny z roku 1498. Jego niewielki (57 cm średnicy) kielich zdobią łacińskie napisy: O REX GLORIE oraz rzymskimi cyframi uwieczniona data:

ANNO DNI MCCCCLXXXVIII.

Dekorację stanowią dwa niepozorne, oplatające instrument w górnej części „warkocze”, pomiędzy którymi umieszczony jest wspomniany napis.

Obecnie użytkowany budynek powstał na miejscu starego kościoła. Wzniesiony został przez protestantów w XVIII wieku.



Rozbudowano go na początku XX wieku, o czym przypomina umieszczona w zworniku portalu data 1901. Gruntowne remonty budynek przechodził już po II wojnie światowej. Również obecnie (2010) trwa tu renowacja. We wnętrzu zachowały się i funkcjonują do dziś organy z połowy XIX wieku wykonane w Eilenburgu przez mistrza organowego Carla Geisslera. Informuje o tym zachowana tabliczka firmowa umieszczona nad klawiaturą instrumentu.

Na chórze stoi także ciekawa, zabytkowa i nadal czynna, pedałowa fisharmonia wykonana w Barmen przez zakład Friedricha Bongardta.

Najstarszym elementem wyposażenia jest barokowy polichromowany ołtarz główny z końca

XVII wieku. Zachowała

się również kamienna chrzcielnica z zielonego piaskowca.

Z XVIII wieku przetrwały cynowe lichtarze oraz dwie srebrne tacki do ampulek.

Na wieży dzwonniczej widzimy

jeszcze grawitacyjny mechanizm zegara, niestety jednak – odmienienie niż w Tomisławiu – od dawna jest nieczynny. Wymagałby generalnego remontu i uzupełnienia wielu części, by mógł ponownie odmierzać godziny.

Za kościołem, jak niemal wszędzie, założono cmentarz, który stopniowo powiększany służy mieszkańcom Parowej również obecnie. Po cmentarzu niemieckim pozostały obecnie nieliczne relikty usytuowane tuż przy murze lub w niego wmurowane.

Najciekawszym z nich jest epitafium Johanna Christoha Bessera, żyjącego w latach 1741–1800 właściciela folwarku w Parowej. Ta płyta zachowała się najlepiej, dzięki temu że wmurowano ją w ścianę świątyni. Z pomników widzianych tu jeszcze 10 lat temu pozostała już tylko jedna możliwa do zidentyfikowania – tablica małżonków Berty i Paula Michael, zmarłych w 1923 i 1937 roku. Miejsca dawnego rozmieszczenia pozostałych inskrypcji rozpoznajemy już tylko dzięki ich ozdobnym obmurowaniom, pozbawionym dziś granitowych lub marmurowych tablic, upamiętniających spoczywających pod nimi ludzi.



Kościół w Parowej widziany od strony zalewu





Po innych epitafiach nie ma obecnie już śladu. Zastanawiające jest umiejscowienie dwóch zachowanych nagrobków. Nie wmurowano ich w mur cmentarny, lecz w ścianę budynku prywatnego położonego około 100 m od nekropolii. Pierwsza z piaskowcowych ram jest pusta, wyrwano z niej najprawdopodobniej marmurową lub może nawet granitową płytę opatrzoną napisami. Na drugim epitafium, wykonanym w całości z piaskowca, widnieje częściowo zatarty tekst upamiętniający zmarłą Selmę Ottilie Beffer, urodzoną 21 września 1839 roku, a zmarłą po przeżyciu niespełna dwudziestu dwóch lat 24 kwietnia 1861 roku i pochowaną w Parowej. Z nagrobkowego napisu dowiadujemy się, że była ona sierotą przygarniętą przez dom miejscowego producenta butelek. Trudno dziś dociec, z jakiego powodu akurat te dwa nagrobki umieszczono poza cmentarzem i kiedy to się stało. Jest bowiem mało prawdopodobne, by ściana gospodarskiego budynku stanowiła ich pierwotne miejsce.

Wieża kościoła w Parowej

ŁAWSZOWA

Jedyny istniejący dziś w Ławszowej kościół wybudowany został najprawdopodobniej w XVIII wieku. Od początku była to świątynia ewangelicka powstała w Schöndorf (lewobrzeżnej części Ławszowej) dzięki staraniom miejscowej gminy i po wstawiennictwie dziedzica Kliczkowa Rechenberga. Widniejąca nad głównym wejściem data 1823 to niemal na pewno rok remontu generalnego. Wcześniej istniała tu świątynia drewniana. Jak pisze w swojej kronice Wernicke, wybudowaną ją w zaledwie 20 tygodni, zaczynając 7 maja 1657 roku. Nic więc dziwnego, że wybudowany w tak ekspresowym tempie kościół nie dotrwał do naszych czasów i na jego miejscu musiała powstać konstrukcja dużo solidniejsza, murowana. Wspomniany remont wykonany w roku 1823 wymuszony został najpewniej pożarem (z kronikarskich zapisów wynika, że drewniany kościół płonął co najmniej dwukrotnie). Dzisiejsze wyposażenie kościoła parafialnego

pod wezwaniem Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny pochodzi głównie z XIX wieku. W 1823 roku wraz z otwarciem świątyni oddano do użytku organy oraz klasycystyczne balkony. Na rok 1827 datowana jest kamienna krypta w stylu empire. Z połowy XIX wieku pochodzą późnoklasycystyczne drewniane ławy oraz neobarokowy krucyfiks procesyjny.

Na kościelnej wieży od roku 1922 wiszą dwa dzwony. Obydwa opłatają napisy w języku niemieckim.

Tekst na większym dzwonie głosi w tłumaczeniu:

**ŻYJĄCYCH WZYWAM TU
NA NABOŻEŃSTWO.**



Kościół w Ławszowej

Na mniejszym odlano w żeliwie zdanie:

LUDZIE PRZYCHODZĄ
I ODCODZĄ
BÓG POZOSTAJE WIECZNIE.

Pamiętkami po dawnych mieszkańcach Ławszowej pochowanych na cmentarzu przykościelnym w jej lewobrzeżnej części, nazywanej przed wojną Piękną Wsią, są obecnie jedynie trzy epitafia. Na miejscu tej byłej ewangelickiej nekropolii funkcjonuje dzisiaj powojenny, cmentarz katolicki. W trakcie porządkowania terenu stare nagrobki zostały z niego usunięte. Jedno z zachowanych epitafiów wmurowano niegdyś w ścianę budynku gospodarczego, usytuowanego po zachodniej stronie kościoła. Ze słabo zachowanych napisów domyślać się można, że wykonano je dla tutejszego pastora imieniem Krystian Fryderyk Schulze, pełniącego we wsi posługę w latach 1743-1749.

Dwie pozostałe płyty ocalono od zniszczenia, umieszczając je przed kościelną, a zarazem cmentarną bramą, w murze wzmacniającym podstawę skarpy, wznoszącej się po lewej stronie drogi prowadzącej do

świątyni. Te zabytkowe, piaskowcowe tablice nagrobne, poświęcone zmarłemu noworodkowi z rodziny Erdmann, który przeżył zaledwie trzynaście tygodni, oraz dorosłemu szlachcicowi, stanowią obecnie swoiste uzupełnienie zadbanego otoczenia pomnika, upamiętniającego nazwiska poległych w I wojnie światowej żołnierzy, pochodzących Ławszowej. Obok niego usytuowano współczesny polski, rocznicowy monument.

Epitafia pierwotnie były wmontowane w ceglany mur kaplicy grobowej, stojącej niegdyś na terenie nekropolii. W trakcie przygotowania miejsc dla kolejnych pochówków obiekt ten rozebrano, a wyjęte ze ściany płyty złożono w pomieszczeniu kościoła. Tam przeleżały ponad dwadzieścia lat, następnie przetrzymywano je w niewielkim, wzniesionym w centrum cmentarza domu pogrzebowym.

Kiedy porządkowano otoczenie niemieckiego pomnika, w jego pobliżu, w miejscu, gdzie stał niegdyś szynk, odsłonięto piwnice, służące dawniej zapewne magazynowaniu jakichś produktów spożywczych bądź alkoholi. Po zamocowaniu w ich sąsiedztwie ocalonych epita-



Ocalone epitafia w Ławszowej

fiów i zabezpieczeniu wejść kratami przypominają one krypty grobowe. W istocie nie mają jednak nic wspólnego z cmentarnymi budowlami.

Inny, od dawna nieczynny i zdewastowany cmentarz leży za północno-wschodnimi zabudowaniami Ławszowej. I tam można jeszcze dostrzec tu i ówdzie resztki nagrobków, ukrytych pod zarastającymi teren samosiejkami.

Jak wspomniano wcześniej, istniejący obecnie w Ławszowej kościół od początku był świątynią ewangelicką. Wieś ta miała niegdyś również kościół katolicki. Dziś jedynym śladem po tym budynku jest niski mur w centrum prawobrzeżnej części wsi. Otacza on pusty obecnie plac, na którym urządzono boisko do siatkówki. Spora jego część to także dawny cmentarz, od wielu lat pozbawiony jednak całkowicie nagrobków. Budynek świątyni katolickiej podupadał stopniowo od czasów reformacji, gdy gwałtownie zmniejszyła się liczba wiernych. Zanedbana, a później zrujnowana budowla stała tu jeszcze do początku XIX w. W roku 1835 tutejszą parafię mocą rezolucji Królewskiego Urzędu w Legnicy zawieszono, a następnie zniesiono ostatecznie w roku 1860.



Ławszowskie epitafia

Wsie Przejęśław, Ołobok i Osieczów nie posiadają swoich kościołów i nie miały ich również w przeszłości. Nie wybudowano również nigdy kościoła w Świętoszowie, co może dziwić, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że od czasu utworzenia tu poligonu była to osada kilkutysięczna. Przedwojenni mieszkańcy chodzili na nabożeństwa do nieistniejących dziś już wsi Dohms i Lipschau, a nawet odległej o około 10 km Rudawicy. Po II wojnie światowej i zawłaszczeniu Świętoszowa przez Armię Czerwoną istnienie jakiegokolwiek świątyni w sowieckim garnizonie było oczywiście zbędne w świetle obowiązującej, ateistycznej doktryny państwowej byłego ZSRR. Dopiero w wyniku przemian, po opuszczeniu wsi przez Sowietów, uwzględniono potrzeby religijne zarówno żołnierzy, jak i cywilnych mieszkańców garnizonu. Znajdujący się blisko głównej bramy jednostki wojskowej budynek dawnego kina i sali widowiskowej zaadaptowano na świątynię rzymskokatolicką.



Obecna parafia świętoszowska istnieje więc dopiero od roku 1993, a uprzednio zupełnie „niekościelna” budowla w wyniku systematycznie prowadzonych remontów i przeróbek stopniowo zyskuje sakralny charakter.

Tutejszy cmentarz komunalny zlokalizowany jest na południowym krańcu miejscowości. W pobliżu widocznego z daleka charakterystycznego pomnika, poświęconego jeńcom rosyjskim kończącym tu życie w czasie I wojny światowej, widniały dawniej rzędy jednakowo wyglądających, betonowych grobów zmarłych żołnierzy garnizonu. W 2009 roku, po gruntownym remoncie tej niewielkiej nekropolii, dawne nagrobki zlikwidowano, a ekshumowane szczątki umieszczono w zbiorowych mogiłach opatrzonych tablicami, zawierającymi nazwiska pochowanych osób.



ŁUDZIE NIEZWYKLI

ABRAHAM GOTTLOB WERNER

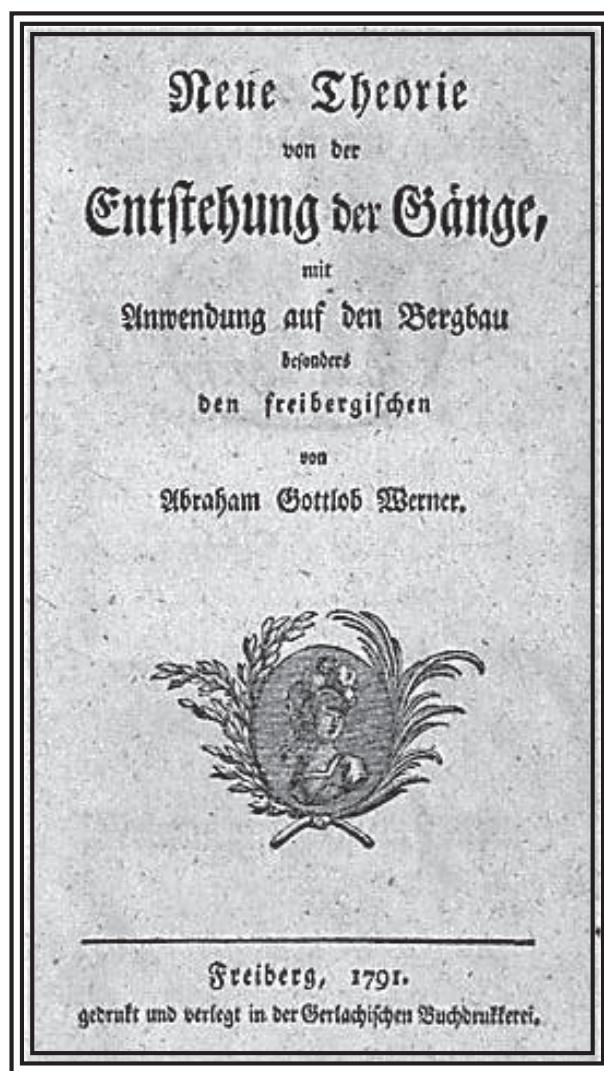
Postacią wyjątkową dla Osiecznicy jest jeden z najślawniejszych synów tej ziemi – Abraham Gottlob Werner. Pochodził ze znakomitego rodu, który od trzystu lat zajmował się górnictwem i hutnictwem.

Na świat przyszedł 25 września 1749 roku (inne źródła podają jako rok urodzenia 1750) w budynku oznaczonym numerem 21 w Osiecznicy, w domu niezwykle bogobojnego Abrahama Davida Wernera, inspektora hut hrabiego Promnitza. Matka późniejszego wybitnego naukowca wywodziła się ze starej bolesławieckiej rodziny Schilling. Jeden z protoplastów tego rodu, Mikołaj Schilling, był dzierżawcą młyna na Bobrze już w roku 1432.

Pierwszym nauczycielem Wernera został znany na całym Dolnym Śląsku ewangelicki pastor Andrzej Rothe z Tomisławia, autor wielu pieśni kościelnych. Kiedy mały Abraham Gottlob skończył dziewięć lat, ojciec wysłał go do cenionej powszechnie szkoły bolesławieckiego sierocińca, gdzie pobierał on nauki do roku 1764. W tymże też roku przystąpił do ewangelickiej konfirmacji. Po ukończeniu szkoły w Bolesławcu i konfirmacji rozpoczął już w czternastym roku życia pracę jako pisarz hutniczy. Z wielkim zapałem czytywał w tym okresie dostępną literaturę techniczną i dbał o kolekcję minerałów swego ojca. Niestety, jego zdrowie poważnie nadszarpnęła praca w hucie. Rodziciel zapewnił mu więc kurację w Karlsbadzie. Doszło wtedy do wizyty młodego Wernera we Fryburgu, która zadecydowała o jego dalszej drodze życiowej, a zwłaszcza karierze zawodowej.

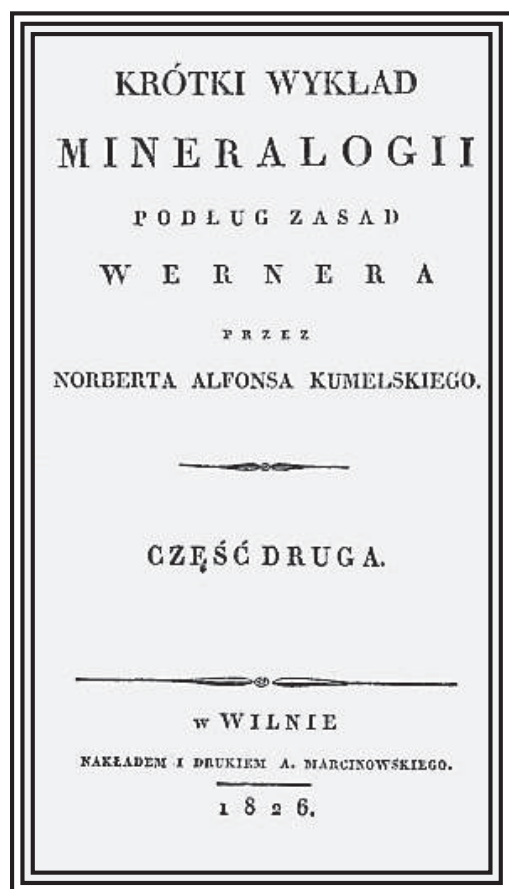
Odwiedzając tamtejsze kopalnie i huty, a także zapoznając się z imponującymi kolekcjami minerałów, postanowił oddać wszystkie siły górnictwu. Po serdecznej rozmowie z ojcem wyjechał w roku 1769 do Fryburga

i rozpoczął edukację na tamtejszej Akademii Górniczej. Był studentem ambitnym i pilnym, co szybko dostrzegli jego wykładowcy. Szczególną opieką otoczył go starosta górniczy Oheim. Werner był świadom braków w swoim wykształceniu, w roku 1771 opuścił więc Fryburg i wyjechał do Lipska. Tam intensywnie uczył się języków, prawa i historii naturalnej. Już wtedy zauważył, że w literaturze mineralogicznej nie ma dostatecznie przejrzystej systematyki minerałów. Jako student wydał więc w roku 1774 w Lipsku pracę, w której usystematyzował minerały według zasad, zastosowanych przez Linneusza dla roślin i zwierząt. Dzieło to szybko zyskało rozgłos – co zaskoczyło nawet jego twórcę – i stało się załączkiem jego naukowej kariery.



Potem na krótko powrócił jeszcze do Osiecznicy na początku 1775 roku, i tam pracował przy boku ojca. Szybko dotarła jednak do niego znacznie bardziej intratna propozycja zatrudnienia. Miał objąć we Fryburgu katedrę mineralogii i stanowisko inspektora Akademii Górniczej. Już na Wielkanoc roku 1775 rozpoczął tam wykłady.

Początkowo obejmowały one wszystkie dziedziny nauk związanych z górnictwem, następnie oddzielił mineralogię od nauk górniczych, później zaś podzielił ją na oryktognozę, czyli naukę o czystych minerałach, i geognozę, która wtedy była rozumiana jako nauka o masach skalnych, stanowiących mieszaniny czystych minerałów. Werner był niechętny wszelkim pseudonaukowym spekulacjom, formułowane przez siebie wnioski wyciągał na podstawie poczynionych w kopalniach badań i obserwacji.



To właśnie on stworzył spójną i klarowną koncepcję budowy i etapów kształtowania się skorupy ziemskiej, będącą zaczątkiem zarówno późniejszej geologii dynamicznej, jak i geologii historycznej. Rozsławiła ona na całą Europę Akademię we Fryburgu i przysporzyła Wernerowi licznych uczniów i zwolenników, wśród których był między innymi Alexander von Humboldt i twórca skali twardości minerałów – Friedrich Mohs.

Koncepcje niemieckiego naukowca cenili bardzo uczeni polscy, szczególnie pracujący na Uniwersytecie w Wilnie. Do jego zwolenników należeli Jędrzej Śniadecki i Norbert Alfons Kumelski. W latach 1806–1827 w Wilnie i Warszawie wydano trzynaście pod-

ręczników mineralogii i geognozji napisanych w duchu Wernera.

Saksonia doceniła zasługi Abrahama Gottloba Wernera. W roku 1792 powierzono mu obowiązki Królewskiego Saskiego Radcy Komisji Górniczej, zaś od roku 1799 pełnił on zaszczytną funkcję Królewskiego Radcy Górniczego. Mianowano go też członkiem wielu akademii nauk, a w roku 1816 odznaczony został Krzyżem Rycerskim saskiego Orderu Zasługi i Wierności. Dorobek naukowy Wernera w porównaniu z otaczającą go sławą był raczej skromny. W rzeczywistości opublikował on kilkanaście rozpraw, w większości zaprezentowanych na jego wykładach. W roku 1788 odmienny od Wernera pogląd na temat pochodzenia bazaltu głoszony przez jego ucznia Johanna Carl Wilhelma Voigta zapoczątkował spór tak zwanych neptunistów – uważających większość skał za powstałe w morzu utwory osadowe – z plutonistami. Ci ostatni części skał przypisywali pochodzenie wulkaniczne. W sporze tym, wbrew wynikom kolejnych badań, autorytet Wernera długo nie dopuszczał do uznania teorii plutonistów za prawdziwą.

Ze względu na kłopoty ze zdrowiem Werner niemal każdego roku przybywał do Karlsbadu na kurację. W połowie roku 1817 lekka niedyspozycja spowodowała, że wyjechał do Drezna na konsultację do tamtejszych lekarzy. Nieoczekiwanie jednak doszło wtedy do radykalnego pogorszenia stanu zdrowia, zakończonego 30 czerwca zgonem naukowca.

Po śmierci ciało Wernera spoczęło w katedrze we Fryburgu. Spór nep-tunistów z plutonistami zakończyli uczniowie Wernera – Humboldt i Buch, po odejściu swego mistrza stając zdecydowanie po stronie zwolenników wulkanicznego pochodzenia bazaltu i innych skał magmowych. Poznano też słabą stronę Wernerowskiego podziału dziejów Ziemi. Jego badania terenowe dotyczyły bowiem wyłącznie obszarów Saksonii i Turyngii. Ich wyniki uznawał on za uniwersalne, jednak nowe dane z innych obszarów Europy, zwłaszcza z Anglii, Francji i Belgii, coraz wyraźniej temu zaprzeczały.

Bodaj największą zasługą Wernera pozostaje wyodrębnienie geologii jako odrębnej dyscypliny nauk przyrodniczych. Niewątpliwie jest

więc on „ojcem geologii”. Chociaż na nowej, dwujęzycznej tablicy, wmurowanej w ścianę do dzisiaj zachowanego w Osiecznicy domu jego narodzin tekst mówi jedynie o „współtwórcy współczesnej mineralogii i geologii”. Odsłonięto ją 24 września 1999 roku z okazji 250-lecia urodzin naukowca.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że w trakcie zbierania materiałów do *Przewodnika Historycznego* po gminie, wydanego w roku 1999, jego autorzy pod tynkiem domu Wernera znaleźli XIX-wieczną tablicę pamiątkową. Niestety, przed jej zachlapaniem zaprawą skuto wszelkie umieszczone na niej napisy. W latach osiemdziesiątych podjęto próbę umieszczenia na historycznym budynku nowej płyty okolicznościowej. Koordynatorem całego przedsięwzięcia był ówczesny rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, prof. dr hab. inż. Antoni S. Kleczkowski. Wykonano nawet z mosiądzu dużą tablicę według projektu plastyka Zbigniewa Woźniaka. Zrealizowanie tego godnego zamiaru uniemożliwiły jednak zarządzenia ówczesnych władz politycznych istniejącego wtedy województwa jeleniogórskiego.

PASTOR JAN ANDRZEJ ROTHE

Postacią ciekawą i szeroko znaną był Jan Andrzej Rothe, duchowny z Tomisławia, sprawujący samodzielnie swą duszpasterską powinność w tej wsi w latach 1742–1758. Objął miejscową parafię po śmierci swego poprzednika Jerzego Geisslera, urodzonego w Tomisławiu dnia 12 sierpnia 1663 roku. U jego boku pracował w niej w istocie od roku 1739, będąc jednym z trzech przysłanych pomocników, wspierających ostatnie lata posługi wiekowego pastora.

Jan Rothe urodził się 12 maja 1688 roku w Leśnej koło Lubania, w rodzinie tamtejszego ewangelickiego duchownego. Podstawowe nauki pobierał w Zgorzelcu, następnie kontynuował edukację w słynnym gimnazjum św. Marii Magdaleny we Wrocławiu. Kolejnym etapem zdobywania przez niego kwalifikacji były studia w Lipsku, ukończone w roku 1712.

Po uzyskaniu dyplomu Rothe rozpoczął poszukiwanie dla siebie miejsca, w którym mógłby w pełni realizować swoje religijne powołanie. Początkowo nie mógł jednak objąć samodzielnej funkcji w żadnej gminie. Ostatecznie został więc adiunktem w kościele Świętej Trójcy w Zgorzelcu, gdzie pastorem był znany na całym Śląsku wybitny duchowny Melchior Schäffer.

Zdradzający talent pisarski duszpasterz trafił tam pod wpływem idei Nikolausa Ludwiga hrabiego von Zinzendorfa – niemieckiego teologa ewangelickiego i gorliwego reformatora religijnego, przywódcy ruchu pietystycznego w Saksonii, twórcy tak zwanej „teologii serca”, a także animatora wspólnoty religijnej „Herrnhut” (Straż Pańska), dla której przygotował swój „scenariusz” nabożeństw – tudzież autora wielu pieśni kościelnych, śpiewanych do dziś w świątyniach protestanckich.

W roku 1719 Jan Rothe podjął obowiązki nauczyciela w dobrach Schweinitzów w miejscowości Lauba. Co ciekawe – tam także uczył reformator Zinzendorf. Mając trzydzieści cztery lata, w roku 1722 Rothe został mianowany pastorem w Uniegoszcu, a następnie w 1737 roku w Jerzmankach pod Zgorzelcem.

Nagrobek pastora



Jak wspomnieliśmy wcześniej, w 1739 roku przybył do Tomisławia i tu po zgonie miejscowego duchownego Geisslera został samodzielnym pastorem. Jako tomiśławski duszpasterz Jan Andrzej Rothe szeroko znany był ze swojej twórczości pisarskiej i poetyckiej. Jego poezję cenili także Zinzendorf.

Zapewne fakt, iż Rothe zainteresowany był działalnością wspólnoty „Herrnhut”, zdecydował w dużym stopniu o jego pojawieniu się w Tomisławiu, w dobrach hrabiego Promnita, także zwolennika owej „Straży Pańskiej”.

Ten nietuzinkowy pastor przyjaźnił się z dyrektorem bolesławieckiego sierocińca, także poetą Ernestem Bogumiłem Woltersdorffem. Często wymieniali się towarzyskimi wizytami, w których uczestniczył również ówczesny duchowny ewangelicki z Bolesławca.

Jan Andrzej Rothe zmarł w Tomisławiu 6 lipca 1758 roku w wieku siedemdziesięciu lat. Jego nagrobek znajduje się przy murze z tyłu kościoła.



HISTORIA Z WODĄ W TLE

Gmina Osiecznica, posiadając rozległe tereny, nie jest zasobna w wartościowe gleby rolnicze. Głównym źródłem utrzymania jej mieszkańców od wieków była puszcza i wszystko, co dzięki niej można było uzyskać. Także rzeki, jeziora, stawy i związane z nimi bogactwa przynosiły dochody tutejszej ludności.

Najważniejszą z osiecznickich wód jest Kwisa, wzdłuż której brzegów zlokalizowana jest większość tutejszych miejscowości. Pozostałe wsie również ściśle związane są z wodą. Leżą albo nad drugą z tutejszych rzek – Czarną Wielką, albo w pobliżu wielowiekowych stawów hodowlanych.

Kwisa – wśród polskich rzek raczej średniej wielkości (140 km długości) – ma niezwykle bogatą przeszłość zarówno pod względem geologicznym, jak i historycznym, związanym z działalnością człowieka. Nie wypływa z jednego źródła. Jej początek stanowi kilka potoków spływających z północnych zboczy Wysokiego Szczytu Izerskiego nazywanych Widłami i opatrzonych kolejnymi numerami. Połączone wody Widel już jako rzeka Kwisa płyną pomiędzy Piechowicami a Świeradowem, dnem najlepiej chyba w Polsce widocznego rowu tektonicznego nazywanego Rowem Rozdroża Izerskiego.

Przemierzając zróżnicowane geologicznie tereny, przepływa przez Mirsk, Gryfów, Leśną, Lubań, Nowogrodziec, by – minąwszy Nową Wieś – dotrzeć do obszarów osiecznickich. Spokojny, leniwy od Nowogrodźca nurt staje się w pobliżu Osiecznicy ponownie wartki, niemal górski. Osiecznicki fragment Kwisy to obszar wyjątkowo malowniczy i interesujący pod względem geologicznym. Na brzegach doliny widać kilkunastometrowe skałki. Tuż nad wodą znaleźć można niewielkie złoża węgla brunatnego z utrwalonymi w łupkach odciskami drzew sprzed kilkudziesięciu milionów lat. Nad węglem widoczne są piaskowce kwarcytowe z intrygującymi, okrągłymi otworami. Są to również ślady sprzed milionów lat. Zostawiły je korzenie rosnących tu niegdyś drzew, które same już uległy rozpadowi. Najbardziej charakterystycznymi, bardzo chętnie fotografowanymi czy dawniej rysowanymi, tworam geologicznymi tutejszej okolicy



są wznoszące się na lewym brzegu rzeki skałki z kredowych piaskowców z najbardziej charakterystycznym „Dzbanem”.

Ta wielość i różnorodność geologicznych atrakcji zapewne w znaczący sposób wpłynęła na młodego Abrahama Gottloba Wenera, urodzonego właśnie tu, w domu tuż nad rzeczną skarpą. Po latach Werner, którego dzieciństwo upływało w tej okolicy, stał się znanym na całym świecie uczonym – twórcą współczesnej geologii i mineralogii.

To wyjątkowo urokliwe miejsce nadal jest ulubionym celem wycie-

czek wielu amatorów geologii i po prostu pięknych widoków.

Przesmyk miał i nadal ma kilka zbliżonych do siebie, potocznie używanych nazw. Między innymi określa się go mianem „czarciego wodospadu”. Jak bowiem głosi legenda, skalne rumowisko powstało z resztek rozbitego przez diabła młyna. Czartowski gniew spowodowało niedotrzymanie umowy przez sprytnego młynarza, który najpierw podpisał cyrograf w zamian za błyskawiczne wybudowanie mu młyna, a potem umknął diabłu w ostatniej chwili przed realizacją zobowiązania.

Minąwszy Osiecznicę, Kwisa znowu zwalnia i dużo spokojniejszym nurtem zdąża do ujścia do Bobru powyżej Żagania.

Niewątpliwie interesująca jest etymologia nazwy Kwisa. Próbowano niegdyś kojarzyć jej nazwę ze słowem gwizd. Nawet w niektórych opracowaniach naukowych z lat pięćdziesiątych pojawia się nazwa Gwizda. Prawdopodobnie jednak Kwisa to nazwa czysto topograficzna wywodząca się ze słowiańskiego *kwiść*, czyli kwitnąć. Bowiem od czasów pierwszych słowiańskich osadników, aż do dziś, każdy, kto w miesiącach letnich wybierze się na wędrowkę wzdłuż Kwisy, w jej spokojniejszym odcinku natpotka w wielu miejscach kwitnące „dywany” wodnej roślinności.

Warto wspomnieć, że pojawiają się również hipotezy łączące powstanie nazwy rzeki z zamieszkującymi tu ponad dwa tysiące lat temu Celtami.

Historia wyznaczyła niegdyś Kwisie niezwykle istotną rolę granicy oddzielającej Śląsk od Łużyc. Jako jedna z niewielu naturalnych europejskich granic Kwisa pełniła tę funkcję przez kilkaset lat.



Wehrau a/Queis Tiespol's Kaffeekanne

Nazwa rzeki po raz pierwszy pojawiła się w dokumencie wystawionym 7 maja 1241 roku w Königstein przez króla czeskiego Wacława I, dotyczącym granicy biskupstwa miśnieńskiego. Kolejną wzmiankę znajdziemy w piśmie Henryka III Wrocławskiego z 20 kwietnia 1249 roku wystawionym w Miśni. Interesujący nas fragment brzmi : „... albo całą ziemię pomiędzy Kwisą i Bobrem aż do lasu, który znajduje się pomiędzy Lwówkiem i Nowogrodzcem nad Kwisą, który to las rozpościera się aż do Czeskich Gór.”

Kwisę wymienił też jeden z największych polskich kronikarzy – Jan Długosz – w powstałej w latach 1450–1460 *Chorographia Regni Poloniae*. W jego spisie rzek śląskich znalazł się Bóbr z dopływem – Kwisą. Pomylił się jednak dziejopis, określając zarówno okolice źródeł, jak i ujścia rzeki. Początek jej umiejscowił w Górach Żytawskich, w pobliżu klasztoru celestynów, zaś ujście chciał widzieć przy klasztorze w Lubiążu, na Odrze. Bartłomiej Stein, autor *Descriptio Tocius Silesie et Civitatis Regie Vratislaviensis* wydane w roku 1513, pisze o Kwisie jako o najbardziej naturalnej granicy Śląska.

Do dziś uznaje się Kwisę za naturalną granicę rozdzielającą krainy geograficzne – Śląsk i Łużyce.

Stanowiąc niezwykle istotny czynnik przyrodniczy tego terenu, miała także zawsze ogromne znaczenie dla żyjących nad jej brzegami ludzi. Rzeka zapewniała bowiem dostatek świeżej wody, dostarczała dużej ilości ryb różnych gatunków, wzmacniała obronność osad, wreszcie tworzyła ważny element krajobrazu. Każdy, kto odbył wędrówkę wzdłuż Kwisy, musiał dostrzec jej szczególny urok, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie przeciska się ona pomiędzy skalnymi przełomami lub toczy swój nurt wśród rozległych obszarów leśnych. Bodaj najpiękniejsza część koryta rzeczno zlokalizowana jest na trudno dostępnych obrzeżach poligonów. Napotkać tam można samotnie rosnące, ogromne drzewa – a także resztki boru przypominającego pierwotną knieję. Tu i ówdzie w wypłukanych zakolach szumią przejrzyste fale, obmywające pnie i gałęzie puszczańskich olbrzymów, powalonych przez upartą wodę.

Ale od wieków mieszkańcy terenów przylegających do tej rzeki wiedzieli też, że stanowi ona nie tylko piękny element naturalnego środowiska, lecz także potrafi być groźnym żywiołem, niosącym zniszczenie.

(O powodziach piszemy w rozdziale: **Zbrodnie, powodzie, pożary.**)

Inną, szczególną cechą Kwisy było powstanie w niej dogodnego środowiska dla życia stworzeń „produkujących” perły. O tym, że z osiecznickich wód wyławiano owe drogocenne kamienie, pisano już w opracowaniach siedemnastowiecznych przyrodników. Wspominał o tym między innymi Kasper Schwenckfeld, przyrodnik z Gryfowa Śląskiego w pracy *Stirpium et fossilium Silesiae catalogus* wydanej w roku 1600. Opisał w niej Kwisę jako rzekę obfitującą w ryby, żyły ołowiu oraz perły rzeczne. Znajdowane tutaj słodkowodne perły należały do gatunku niezwykle cennych klejnotów. Z zapałem poszukiwali ich więc miłośnicy klejnotów i amatorzy szybkiego zysku. Między innymi ta okoliczność – zachwycająca kolorystyka i kształt, a zapewne i rzadkość występowania – przyczyniła się pośrednio do wyginięcia wytwarzających

je skójek perłorodnych. W pewnej przenośni, ale także i dosłownie w tym procesie palce maczali Walonowie, którzy przemierzali nadkwiskie obszary w wiekach średnich, poszukując tu złota i kamieni szlachetnych. Znając wartość pereł, nie pogardzili oczywiście i nimi.

Doceniali je również władcy nadkwiskich ziem, bowiem na ich połów już w odległej przeszłości trzeba było zdobyć specjalne zezwolenia. Najstarszy taki dokument pochodzi z roku 1445, a sporządzono go w Saksonii. Jak można się dowiedzieć z opracowań badaczy, zgłębiających szczegółowo ten temat, sława kwiskich klejnotów miała bardzo szeroki zasięg. W książce *Officina Ferrara, abo huta y warsztat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego* wydanej w Krakowie, a pochodzącej z 1612 roku, jej autor wspominał między innymi o „ślicznych perlach” wydobywanych z Kwisy. O ile same perły rzeczne i ich wykorzystanie są fascynującym tematem, o tyle ciekawa jest również kwestia pożytków płynących rzekomo z używania ich przetworzonych odpowiednio muszli skójek. Otóż – kierując się zapewne w mniejszym



stopniu medycznym uzasadnieniem, a bardziej oczekiwaniem potencjalnych pacjentów – używano ich do produkcji jedyne w swoim rodzaju medykamentu. Skorupy dokładnie mielono, a następnie w postaci proszku bądź dodatków do różnych mikstur i maści miały one stanowić antidotum na różne schorzenia. Jak wieść niosła, przede wszystkim zdecydowanie przyspieszały gojenie się ran po wszelakich oparzeniach. Trudno jednak obecnie stwierdzić, czy mazidła owe były naprawdę skuteczne... Niestety, czas egzystencji skójek perłorodnych w Kwisie zbliżał się nieuchronnie do końca.

Według *Polskiej czerwonej księgi zwierząt*:

Pierwszą chronologicznie i główną przyczyną ustąpienia skójki perłorodnej z Polski było jej rabunkowe poławianie. Utrzymanie się populacji i możliwość skutecznej restytucji gatunku wykluczone zostały przez daleko idące zmiany w siedliskach tego stenobionta, spowodowane głównie regulacją rzek, wycinaniem lasów, zanieczyszczeniem wód związanym z urbanizacją okolic podsudeckich itp. Zwłaszcza zmiany własności fizyczno-chemicznych wód, i to dla gatunku o niezwykle czułym mechanizmie gospodarki solami

*mineralnymi, są czynnikiem uniemożliwiającym normalny jego rozwój. W Sudetach, podobnie jak i w innych regionach kraju, na przełomie XIX i XX w. nastąpiła gwałtowna zmiana warunków fizyczno-chemicznych w biotopach wodnych. Prócz zanieczyszczeń przemysłowych i rolniczych przyczynił się do tego wyrąb lasów, które odgrywają istotną rolę w kształtowaniu chemizmu wód zasiedlanych przez perłoródkę. Analizując aktualne rozmieszczenie perłoródky w Niemczech, stwierdzono iż utrzymuje się ona tylko na stanowiskach zupełnie nienaruszonych (Jungbluth 1975). Podobnie w Czechach ustalono, że nieznaczna zmiana warunków fizyczno-chemicznych (przede wszystkim kwasowości) ogranicza rozwój skójkii perłorodnej (Vodák 1968). Regres gatunku mogło przyspieszyć wprowadzenie do potoków pstrąga tęczowego *Oncorhynchus mykiss*, co znacznie ograniczyło w potokach liczebność autochtonicznych ryb, będących żywicielami glochidiów perłoródkii. Stosunki biotyczne w siedlisku skójkii perłorodnej zakłóciło również pojawienie się w Sudetach piżmaka (*Ondatra zibethica*) bezpośrednio limitującego jej populację (Dyk 1958). Ssak ten często – zwłaszcza zimą – odżywia się tym mięczakiem.*

(cytat z ***Polskiej czerwonej księgi zwierząt***, pod red. Zbigniewa Głowacińskiego i Janusza Nowackiego, 2005)

Już pod koniec drugiej dekady ubiegłego wieku uznano skójkę perłorodną za gatunek na tutejszym obszarze wodnym wymarły. Co prawda w pewnym niewielkim dopływie miano jeszcze odkryć kilka egzemplarzy w latach trzydziestych dwudziestego stulecia, jednak obecnie nie ma już nadziei na znalezienie tych żyjatek i wytwarzanych przez nie pereł. I tak prawdziwe skarby z Kwisy przeszły nie tylko do historii, ale także stały się inspiracją do powstania romantycznych legend.

Dla wszystkich wędrujących doliną rzeki ważną będzie zapewne informacja, że Kwisa jako jedna z nielicznych polskich rzek może poszczycić się bardzo czystymi wodami, należącymi do I i II klasy czystości. Jest zatem doskonałym miejscem dla miłośników wędkarstwa. Występują tu między innymi: okoń, szczupak, lin, karp i pstrąg.



Rzeka Czarna Wielka

Drugą rzeką, a właściwie dużym leśnym strumieniem, przepływającym przez zachodnią część osiedla osiecznickiego jest Czarna Wielka. Dawniej nazywano ją Hammerbach – czyli Kuźniczy Potok. Przed wiekami nad jej krętym nurtem powstawały pierwotne osady, które następnie przekształciły się w duże wsie; między innymi są to Ołobok, Parowa, Bronowiec i Poświętne. Mimo niezbyt imponującej szerokości oraz głębokości rzeczka ta poruszała dawniej kilka młynów wodnych, zasilła stawy rybne, wreszcie napędzała niewielkie elektrownie. Wbrew pozorom pomagała także w skutecznym fortyfikowaniu pierwszych sadyb. Przy niej wypalano niegdyś węgiel drzewny i pozyskiwano smołę.

Oprócz opisanych rzek i pomniejszych potoków gmina Osiecznica może poszczycić się różnymi co do wielkości i przeznaczenia zbiornikami wodnymi. Najbardziej obecnie znanym jest zalew, utworzony po wybudowaniu w roku 1976 tamy na Kwisie, poniżej Diabiego Jazu. Odbijające się w wodzie ciekawe formy skalne, takie jak Kawowy Dzban czy Słoń, oraz bogate, różnorodne zadrzewienie brzegów tworzą niepowtarzalny urok tego miejsca. Mieszkańcy okolicy chętnie odwiedzają też dawne wyrobiska piasku i gliny, między innymi powszechnie znane jest piękne oczko wodne zwane Błękitką, położone tuż za Kliczkowem, przy szosie prowadzącej do Bolesławca.

Okolicom Parowej i Ołoboku specyficznego piękna dodaje rozciągający się na południowy zachód od centrum Ołoboku ogromny, otoczony borami kompleks stawów hodowlanych. Jego część, bliższą ołobockich zabudowań, stanowią trzy zbiorniki wodne o łącznej powierzchni przekraczającej kilometr kwadratowy. Utworzono je, rozdzielając rozległą, płytką nieckę wąskimi wałami. Powstałe w ten sposób samodzielne akweny nosiły

dawniej nazwę Górnego Delikatnego Stawu, Średniego Delikatnego Stawu i Dolnego Delikatnego Stawu. Kilkaset metrów dalej, już poza granicami gminy Osiecznica, leży znacznie większy akwen, długimi, prostymi groblami pocięty na trzy duże stawy. Do wysuniętego najbardziej na południe przylegają dwie mniejsze sadzawki o regularnym kształcie.

Łącznie pięć wspomnianych jezior ma blisko dwa kilometry kwadratowe powierzchni. Kiedyś największe, północne, określano mianem Zdrowego Stawu, zaś południowe nazywano Stawem Wierbowym. Zapewne w ten sposób nawiązano do dużej ilości tych drzew, porastających niegdyś brzegi akwenów. Po II wojnie światowej nadano wszystkim nowe nazwy: Staw Wolno Stary, Staw Wolno Nowy i Staw Czapli. Dwa przylegające do Stawu Czaplego małe zbiorniki opatrzone po prostu tłumaczeniami nazw niemieckich – powstał więc Staw Kolejowy Dolny i Staw Kolejowy Górny – przy czym na dokładnej polskiej mapie z roku 1998, wykonanej w skali 1:10000, polska nazwa Staw Kolejowy Górny zastąpiła niemiecką Staw Kolejowy Dolny,

zaś niemiecki Staw Kolejowy Górny ustąpił miejsca polskiemu Stawowi Kolejowemu Dolnemu.

Pierwszą znaną, pisemną wzmiankę o stawach, leżących w okolicach Ołoboku i Węglińca, stanowi najprawdopodobniej dokument pochodzący z roku 1329. Jest nim przywilej zezwalający na połów ryb w Stawie Wolno Starym. Pierwotna, słowiańska nazwa tego obiektu brzmiała Wołowy, zaś w dokumencie z 1329 roku określono go już jako Wolin.

Na tle rozbudowy sieci stawów dochodziło do ostrego konfliktu interesów. Z jednej strony barykady byli ci, którzy z przyszłej hodowli ryb zamierzali czerpać dochody, natomiast ich adwersarzami stawali się ludzie, tracący w wyniku realizacji takich inwestycji miejsca dotychczasowej pracy. Jeden ze sporów miał miejsce w latach 1498–1499, gdy robotnicy, wynajęci przez wójta krajowego, Zygmunta Decinskyego z Wartemburga, przystąpili do drażenia kolejnych stawów pod Ołobokiem i Jagodzinem. Zdecydowanie sprzeciwili się temu pomysłowi zarówno miejscowi pszczelarze-bartnicy, jak i wytapiacze

żelaza z rudy darniowej. Tym ostatnim napełnione wodą zbiorniki uniemożliwiłyby dostęp do leżących pod nimi pokładów rudy darniowej, natomiast konieczna w takim wypadku wycinka drzew niewątpliwie pociągnęłaby za sobą zniszczenie wielu pni, w których żyły pszczoły. Ostatecznie inwestor, którego najemnicy w międzyczasie podjęli już roboty ziemne, po otrzymaniu stosownego odszkodowania odstąpił od prac. Za protestującymi stanął bowiem monarcha Władysław Jagiellończyk, król Czech i Węgier.

Podobne perturbacje miały miejsce w roku 1501, kiedy to właściciel Czernej, Jerzy von Schellendorf sprzedał wieś Lubaniowi. Miasto zamierzało założyć nad Czarną Wielką, na miejscu osuszanych bagien, nowe stawy rybne. I w tym wypadku burzliwy sprzeciw hutników osiecznickich i zgorzeleckich zapobiegł budowie akwenów.

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, iż podobne spory nie stanowiły reguły. Obecność stawów, zwłaszcza w okresie suszy, była jak najbardziej pożądana przez hutników, którzy sami także dążyli do rozwinięcia ich sieci.

Woda potrzebna była przy produkcji żelaza, więc w trakcie suchych lat zasoby z zarybionych zbiorników zastępowały zamierające strumienie leśne. W połowie XVI wieku odłowy ryb prowadzono od końca wiosny do zimy. Stawy zarybiano trzyletnimi karpami, a następnie odławiano je po dwóch latach. Staw Wolno Stary o powierzchni 89 hektarów należał do największych. Ryby sprzedawano między innymi w Węglińcu, Pieńsku i Jędrzychowicach.

Pierwotnie ekstensywna gospodarka rybna doskonalila się w ciągu wieków. Zaczęto dbać o rozwój planktonu służącego jako pożywienie dla ryb. W tym celu co pewien czas niektóre stawy na obrzeżach puszczy zostawiano ugorem (przed powtórным zalaniem dno stawu zaorywano) lub użytkowano rolniczo (np. w połowie XVIII wieku stawy pod Stojanówkiem obsiewano owsem). Starano się zapobiegać szkodnikom i chorobom ryb oraz kłusownictwu (dozór stawów przez rewirowych leśniczych). Wreszcie zaczęto ryby dokarmiać. Tak postawiona hodowla karpia stawała się coraz bardziej dochodowa. W 1830 roku stawy puszczańskie dostarczały 52 centnary (ok. 2,6 tony) ryb, co przyniosło dochód w wysokości 364 talarów. W 1897 roku powierzchnia stawów w nadleśnictwach Węglińcu, Pieńsk i Ruszów wynosiła już 550 ha, a od 1897 roczny dochód z jednego ha zmienił się z 35 do 42 marek.

Po II wojnie światowej szereg stawów puszczańskich osuszano. I tak zniknęły stawy z zachodniej części nadleśnictwa Ruszów, pod Piaseczną, Parową i Węglińcem. Na miejscu większości z nich rośnie teraz bujny las. Obecnie łączna powierzchnia stawów zlokalizowanych na terenie nadleśnictw Węglińca i Ruszów wy-
zarządzane przez Rybackie Lasów w Parowej. Dotunkiem hodow-
karp, a roczna jego



nosi 520 ha. Są one Gospodarstwo Państwowych minującym galanym pozostał produkcja waha się

od 150 do 230 ton. Dodatkowo są hodowane liny (do 10 ton), szczupaki (ok. 2 ton), amury (2-10 ton) i tołpygi (2-10) ton.

Hodowla ryb prowadzona tu była od dawna, ale wiele starych przepustów, zastaw i innych elementów wodnej infrastruktury służy dobrze rybakom aż do dnia dzisiejszego.

Stawy otoczone lasem, pocięte zielonymi groblami zwłaszcza latem i „złotą jesienią” stanowią piękny widok. Zlatuje się tu sporo ptactwa wodnego co jednak niekoniecznie cieszy hodowców ryb.

Puszczańskie stawy oddziałują korzystnie na mikroklimat i regulację stosunków wodnych w lasach. Rozsądne prowadzenie gospodarki rybnej pozwala także na zachowanie części roślinności szuwarowej, gdzie gnieźdzą się liczne gatunki ptactwa wodno-błotnego. Obrzeża zbiorników stanowią siedlisko różnych chronionych roślin.

Niemal dokładnie dwa kilometry na zachód od centrum Tomisławia, za mokradłami zwanymi niegdyś Parafialnymi Błotami lub Parafialnymi Bagnami, tuż przy skrzyżowaniu przecinek, określanych do końca II wojny światowej jako Linia Smolarni i Górna Linia

Lisiej Góry znaleźć możemy w lesie duży zbiornik wodny, podzielony na dwie różnej wielkości części porośniętą drzewami groblą. Idąc wyznaczonym szlakiem turystycznym z Małego Tomisławia lub z Bieńca, można stosunkowo szybko dotrzeć do owego puszczańskiego stawu. W istocie jest to stare wyrobisko torfu i gliny, stanowiące obecnie niezwykle malowniczy zakątek gminy. Na pochodzących z początku lat czterdziestych ubiegłego wieku niemieckich mapach nosi ono nazwę Szerokich Bagien.

Do 1945 roku z górą dwa kilometry na północny zachód od tego jeziora stała duża leśniczówka, Górna Smolarnia. Wokół domostw i budynków gospodarczych rozciągały się tam niewielkie poletka uprawne, otoczone zewsząd borem. Obecnie na miejscu zniszczonych, rozległych zabudowań przechoździeń dostrzega mroczne otwory dwóch studni, sterty pokruszonych cegieł i dachówek, resztki solidnych piwnic i jakieś zalane cuchnącą breją, podziemne betonowe zbiorniki. Przed kilkudziesięciu laty, realizując planowy wyręb, pozbawiono starego drzewostanu część otoczenia wielkich, wypełnionych stojącą wodą Szerokich Bagien.

Oczywiście ujęło to dostojęstwa nadbrzeżnym terenom, ale przy okazji uczyniło bardziej widoczną pewną naturalną ciekawostkę – ogromny, spękany głaz, na dawnych mapach nazywany zresztą wielkim kamieniem. Dzisiaj nowy las znów otacza ów piaskowcowy pagórek. Jeden ze szlaków, prowadzących do tego specyficznego, ponownie osłoniętego knieją przyrodniczego monumentu, biegnie właśnie od strony ruin Górnej Smolarni przez wspomnianą wyżej groblę.

Do jej obrzeża „przybijają” czasem ledwo wystające nad powierzchnię wody, niewielkie pływające „wyspy”, które na pierwszy rzut oka wydają się być trwałym tworem gruntowym, sięgającym dna wyrobiska. W istocie są to kępy unoszących się na wodzie, połączonych systemem korzeni porostów. Warto przestrzec ewentualnych amatorów wodnych przygód przed próbą wchodzenia na te naturalne tratwy. Z pewnością nie są one solidnym oparciem dla żadnego stworzenia większego od wodnego ptactwa.

Leśne jeziorka zabagnione przy brzegach stanowią prawdziwy raj dla dzikich kaczek i innego ptactwa, chętnie odwiedzają też błotnisty teren dziki. Gościnnie mnożna tu spotkać nawet czaple. Wyrobiska powoli zarastają, zapewne kiedyś nie będzie po nich śladu.



Kliczków, dziedziniec wewnętrzny



MIEJSCA PRZEPIĘKNE

W wielu miejscach naszej publikacji podkreślaliśmy walory estetyczne, krajobrazowe opisywanych miejsc. W niniejszym rozdziale chcielibyśmy zwrócić szczególną uwagę Czytelnika na kilka z nich, stanowiących zarówno dzieła rąk ludzkich, jak i wytwory natury.

Na początek warto wspomnieć o budowli dziś już nieistniejącej, po której zostały zaledwie ruiny podziemi, w przeszłości jednak zajmującej szczególne miejsce w osiecznickim krajobrazie. To osiecznicki zamek, którego żywot dobiegł kresu w dość niejasnych okolicznościach w ostatnich miesiącach II wojny światowej. Ukończony został w roku 1692, gdy pracami przy jego wznoszeniu kierował już znakomity włoski mistrz Giulio Simonetti, mieszkający stale w Bolesławcu, piastujący także godność członka tamtejszej rady miejskiej. Simonetti był między innymi autorem barokowego wystroju kościoła parafialnego w tymże grodzie.

Urokliwa leśna budowla stojąca na wysokiej skarpie rzecznej, u podnóża której szumiała Kwisza przedzierająca się przez przegrodzony potężnymi głazami przełom, powstała za sprawą hrabiego Baltazara von Promnitz. Po nabyciu miejscowych włości zlecił on bowiem wybudowanie dla siebie reprezentacyjnej siedziby w wyjątkowo pięknym zakątku Osiecznicy. Simonetti został godziwie wynagrodzony za swoje dzieło, chociaż sam zamek nie był w istocie gmachem szczególnie imponującym i nie mógł dorównać pod żadnym względem choćby okazałej warowni klickowskiej. Za to jego otoczenie i roztaczający się z okien widok na rzeczną dolinę w pełni rekompensowały brak wyrafinowanego kształtu zamku i skromność jego zewnętrznego wykończenia.

Nieliczne zachowane ryciny przedstawiają piętrowy budynek o wysokim, spadzistym dachu, opatrzonym czterema kominami i wyrastającą ze środkowej części głównej kalenicy niewielką wieżyczką. Jej zwieńczony długim grotem baniasty hełm wsparty jest na kolumnach, wyprowadzonych z prostopadłościennej podstawy. Na tej właśnie części wieży widniała również tarcza zegarowa skierowana w stronę folwarku.

Zgodnie z pewną modą w czasie ostatniego remontu dachu ułożono na nim z kolorowych dachówek datę przeprowadzonej renowacji – 1827. Główne drzwi wejściowe do zamku obudowano piaskowcowym najprawdopodobniej portalem. W okolicy budowli powstał duży park, sięgający brzegów Kwisy. Część drzew przetrwała do dnia dzisiejszego, będąc obecnie ogromnymi pomnikami przyrody. Są to lipy i buki, a także dęby. Zamek został najprawdopodobniej spalony przez żołnierzy sowieckich. Przybyli do Osiecznicy po wojnie nowi mieszkańcy zastali tylko jego przemieszane z popiołem, wypalone ruiny. Nie wiadomo, co stało się z przechowywaną w nim książeczą biblioteką, być może nie spłonęła ona wraz z budowlą, lecz zabrano – przynajmniej jakąś jej część – do Związku Sowieckiego.

Obecnie śladem po zniszczonym zamku są jego piwnice, w których przez jakiś czas miejscowy pszczelarz trzymał zapasowe ule i narzędzia pasieczne. Wzniesione z kamienia podziemia oparły się sile ognia i upływającego czasu. Można też ciągle rozpoznać resztki zabudowy folwarcznej. Przy górnej krawędzi nadrzecznej skarpy widnieje częściowo zasypany



Zdjęcie nieistniejącego zamku w Osiecznicy

gruzem i śmieciami wylot piaskowcowego tunelu, prowadzącego niegdyś do zamkowych piwnic.

Architektoniczną wizytówką gminy Osiecznica stał się niewątpliwie zamek Kliczków. Przed wojną uznawano go za jedną z najokazalszych rezydencji magnackich w naszym regionie. Dziś również – po podniesieniu tej dawnej warowni z ruiny, w którą zamieniła się przez kilka powojennych dziesięcioleci – stanowi ona jedno z najpiękniejszych miejsc na Dolnym Śląsku. Budowla usytuowana jest w północnej części Kliczkowa, niemal w samym centrum dość wysoko wypiętrzonego, płaskiego, rozległego zakola rzecznego, wypłukanego w trakcie minionych wieków przez meandrującą Kwisę. Układ urbanistyczny całej wsi został dostosowany do położenia zamku i towarzyszących mu zabudowań.

W czasie wielowiekowego istnienia kliczkowski zamek zmieniał wygląd i charakter. Z typowo obronnej budowli powstałej w XIII – stanowiącej wówczas jedną z najważniejszych warowni na śląskiej granicy – stopniowo stawał się okazałą rezydencją magnacką, zmienianą i unowocześnianą przez kolejnych właścicieli.



Widok na zamek w Kliczkowie



Najstarszą część zamku stanowi renesansowy dwór. Zachował się on w swoim XVI-wiecznym kształcie, ale z pewnością w jego murach kryją się ślady budowli średniowiecznej. Jest to opatrzony dwuspadowym dachem trzypiętrowy gmach wzniesiony na planie prostokąta. Na południowej ścianie umieszczono dwie fasadowe wieże z baniastymi hełmami i galeryjkami. Ta część zamku wyraźnie wyróżnia się pod względem wysokości.

Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny dla średniowiecznych warowni podział dziedzińca zamku na dwie części – dla zamku wysokiego i średniego.

Największa przebudowa zamku miała miejsce w latach 1881–1883. Zatrudniono do niej wybitnych architektów berlińskich – Henryka Kaysera i Karola von Grossheima. W wyniku ich pracy kliczkowska rezydencja nabrała eklektycznego wyglądu. Architekci odwołali się bowiem do wzorców włoskiego modernizmu, francuskiego renesansu i późnego renesansu niemieckiego. Jednocześnie nadano zamkowi charakter wielkiej, książęcej posiadłości. Do zamku prowadzi szeroka, wysadzana starymi kasztanowcami aleja. Jej zakończeniem jest brama wjazdowa do zamku zwana Lwią Bramą.

Kliczków na starych fotografiach

Na jej szczycie do dziś stoi symbol dawnych właścicieli – herb rodziny Frankenberg-Schellendorf trzymany przez lwa. Tuż za bramą zaczyna się park zamkowy dochodzący aż do suchej dziś, dawnej fosy. Nad nią właśnie, kamiennym mostem wchodzimy do zamku. Wejście obudowane zostało ozdobnym barokowym portalem z dwoma, trzymającymi rozbudowany gzyms kolumnami. Pośrodku umieszczony został herb rodziny von Frankenberg-Schellendorf. Nad wjazdem góruje powstała podczas przebudowy w XIX wieku wieża ozdobiona czterema mniejszymi wieżyczkami. Brama wprowadza nas na wewnętrzny dziedziniec. Po jego prawej stronie widzimy osiemnastowieczną fontannę w kształcie muszli, a po drugiej stronie – na niewielkim wzniesieniu – dziewiętnastowieczny stojak na upolowaną zwierzynę. Konstrukcja ma kształt grzybka z daszkiem pokrytym gontem i umieszczoną poniżej metalową obręczą z hakami do zawieszania myśliwskich trofeów. Niemal w centrum dziedzińca rośnie ponad dwustuletni dąb, zasadzony tu zapewne dla upamiętnienia jakiegoś ważnego wydarzenia z życia właścicieli zamku.





Kliczków, brama

Po prawej stronie, za fontanną wzniesiono budynek dawnej powozowni. Obecnie jego parter zamieniony został na oranżerię i służy jako miejsce wypoczynku gości hotelowych. Zachowano jednak wszelkie możliwe do uratowania detale świadczące o dawnym przeznaczeniu. W ciągu północnym budowli, na wprost bramy, w dawnych stajniach urządzono obecnie recepcję hotelową i kawiarnię. Tu również przystosowano przestrzeń do nowych celów, starając się zachować i wyeksponować wszelkie historyczne detale.

Największą wewnętrzną przemianę przeszedł budynek dawnej ujeżdżalni. Wzniesiono ją na przełomie XVIII i XIX wieku tuż za stajniami. Nadano jej charakterystyczny ośmio-boczny kształt, a podczas przebudowy w XIX w. dodano zaopatrzoną w świetlik cebulowatą kopułę. Po przebudowie zamku przez obecnych właścicieli i przystosowaniu całego kompleksu dla potrzeb hotelowych ujeżdżalnia zamieniona została na niewielki basen.

Do najstarszej i najbardziej reprezentacyjnej części należy zachodnia ściana dziedzińca. Gmach oddzielający zewnętrzny dziedziniec gospodarczy od wewnętrznego dworskiego został wzniesiony pod koniec XVI w,

a przeznaczony był zarówno dla kancelistów i urzędników zamkowych, jak i dla gości. Co charakterystyczne – budowla nie stoi pod kątem prostym w stosunku do sąsiednich. Może to wynikać z rozkładu starych fundamentów zamku. Obecnie w zachodnim skrzydle mieści się sala wystawowa, centrum biznesu i administracja hotelu. Pod budynkiem możemy przejść na dziedziniec wewnętrzny dwiema bramami – północną i południową. Brama północna zachowała swój renesansowy wystrój z charakterystycznym wieńczącym całość gzymsem, narożnymi polami wypełnionymi ornamentem roślinnym, oraz ściętymi pilastrami. Przejście południowe różni się diametralnie. Ozdabia je dwukondygnacyjny neorenesansowy portal. Całość konstrukcji wsparta jest na dwóch półkolumnach. Przy ich kapitelach umieszczono dwie tarcze herbowe, a całą konstrukcję pociągnięto wzwyż, aż do samego dachu.

To właśnie na wewnętrznym dziedzińcu niegdyś najchętniej przebywali właściciele zamku. Nie docierały tu odgłosy prac z dziedzińca wewnętrznego ani niemiłe stajenne wonie. Centralnym jego punktem była fontanna, na której miejscu rośnie obecnie kasztanowiec. Największą i najbardziej charakterystyczną budowlą tej części zamku jest neogotycka wieża wzniesiona w pierwszej połowie XIX w, stylizowana na średniowieczną wieżę mieszkalną. Podczas przebudowy w drugiej połowie XIX wieku zamurowano większość jej okien, pozostawiając po jednym z każdej strony. Nie zmieniano narożnikowych, półokrągłych wykuszy, krzyżowych otworów strzelniczych jak i blanek. Wieżę nazwano w pierwszej połowie XIX wieku wieżą Jenny – na cześć młodziutkiej hrabianki, autorki zamieszczonego również w niniejszej publikacji szkicownika. Od zachodu i południa zamek obwiedziony jest obszernymi tarasami otoczonymi dekoracyjnymi kamiennymi balustradami.

W najstarszej, największej części zamku znajdziemy najbardziej reprezentacyjne pomieszczenia. Najbardziej okazałym z nich jest sala koncertowo-balowa. Ma ona wymiary 18x8 m. Odbywają się tu, podobnie jak w przeszłości, koncerty muzyczne, przedstawienia i przyjęcia. Tak jak dawniej występującym tu artystom służy dwupiętrowa scena z proscenium, ponad którą widnieje okazałe malowidło o tematyce łowieckiej.

Innym łowieckim elementem wystroju jest mozaikowe obramowanie posadzki zawierające poza wzorami roślinnymi sceny pogoni psów za dzikami, zającami czy sarnami. Salę przykrywa piękne drewniane sklepienie w stylu angielskich rezydencji, wsparte na 10 rzeźbionych podłuczach. Do sąsiedniej sali dostaniemy się przez drzwi obudowane drewnianym portalem, przyozdobionym neorenesansowym elementem geometrycznym. Obecna salka restauracyjna ma podobnie jak dawniej wystrój w stylu empirem, położone dalej dawna biblioteka i salon dla dam pełnią dziś funkcję sal konferencyjnych.

Widok na dziedziniec zamku...



...współczesny...



...i dawny

Do kliczkowskiego kompleksu zamkowego należy również ogromny park, równie godny polecenia zwiedzającym, jak sama budowla. W komponowaniu założenia parkowego uczestniczyli dwaj słynni w całej Europie projektanci – w latach 1880-1884 Eduard Petzold i prawdopodobnie kilkadziesiąt lat wcześniej Piotr Józef Lenné. Warto pamiętać, że Eduard Petzold był współautorem jednej z najsłynniejszych w Europie kompozycji parkowych – parku w Mużakowie (obecnie Bad Muskau). Po latach w Kliczkowie zachowało się jednak niewiele elementów dawnej architektury przyzamkowego, romantycznego parku.

Znaleźć też możemy tutaj obecnie jedynie dwa ocalałe pomniki nagrobne – konia i psa - pochowanych po wschodniej stronie zamku, na specjalnie dla nich założonym cmentarzu. Dawniej na tę szczególną nekropolię składało się co najmniej kilkanaście opatrzonych

stosownymi monumentami mogli zasłużonych koni i psów, kończących życie w służbie właścicieli Kliczkowa. Wokół niej biegł solidny mur, a między grobami zwierząt wytyczono utwardzoną alejkę.

W południowej części parku znajdziemy również ślady neogotyckiej kaplicy dworskiej, która została ufundowana przez hrabinę Marię zu Solms-Teklenburg w roku 1877, po śmierci jej męża. Kaplica miała kształt krzyża, a wzniesiona została na niewielkiej, dziś już zarośniętej polanie. W środku znajdował się marmurowy sarkofag z rzeźbioną w marmurze karraryjskim postacią zmarłego. Później pochowano tu również samą fundatorkę kaplicy, jej jedyne dziecko – młodziutką hrabiankę Jenny – oraz kolejnych właścicieli zamku. Ostatni pochówek odbył się tu w roku 1943. Po wojnie okradana i dewastowana kaplica niszczała coraz bardziej i w latach 60. została całkowicie rozebrana.

Prace zatrudnionego tu pod koniec XIX w wieku Petzolda objęły nie tylko bezpośrednie otoczenie zamku. Architekt włączył do kompleksu krajobrazowego całą okolicę

wraz z terenami na drugim brzegu Kwisy. Znajdujące się tam polany z ich leśnymi wartowniami tworzyły bardzo wówczas modny nastrój romantyzmu. Po wschodniej stronie parku projektant połączył go z lasem, wykorzystując przy tym wysoką rzeczną skarpcę, którą obsadził drzewami. Elementami kompozycji były również pomniki łowieckie, domki myśliwskie oraz wieże widokowe. Dzisiaj są już, niestety, tylko wspomnieniem. Zachowały się natomiast aleje, którymi również zajął się wybitny projektant. Jego prace obejmowały bowiem także dalsze okolice włości kliczkowskich. Tu i ówdzie w głębi lasów możemy wędrować obsadzonymi wówczas traktami. Najdłuższy i najszerszy z nich to Wapienna Droga, rozpoczynająca się tuż za mostem na Kwisie, a prowadząca aż do Marienhaus (Marianówki). Kolejny „kasztanowy” szlak biegnie od zamku w stronę Przejęśławia – wzdłuż lewego brzegu Kwisy, od mostu do leśniczówki Lisek i dalej na północ, w kierunku dawnych leśniczówek Zumm i Nieder Pechofen.

Przy wartowniach leśnych, mostach i brodach również tworzone kompozycje drzewne.

Taka pozostała choćby w pobliżu Hermansberg (Hermanówki), gdzie znajdziemy wiele starych dębów, zaś przy ruinach leśniczówki Ober Pechofen (Górnej Smolarni) spacerować można aleją kasztanową. Opodal wartowni Hosnizbrandt odkrywamy następną drogę ocienioną dorodnymi dębami. Całość tych rozrzuconych elementów przyrodniczych tworzyła wielki leśny park, jego centrum stanowił zamek w Kliczkowie. Części tego ogromnego założenia przetrwały do dziś w formie licznych drzew pomnikowych i nadal cieszą oko osób odwiedzających te okolice.

Ale zamek i jego otoczenie to tylko część atrakcyjnych krajobrazów elementó w Osiecznicy. Warto sięgnąć po dawne mapy tych okolic, a później spróbować odzyskać za ich pomocą zagubione w lesie resztki zrujnowanych od dawna leśniczówek, ślady nieistniejących łowieckich pomników i domków myśliwskich, pójść nad zarośnięte szuwarami śródlęgowe stawy i jeziora. Jednym z nich jest zlokalizowana w pobliżu Tomisławia, zalana wodą dawna kopalnia torfu i gliny, przy której kolejne pokolenie drzew otacza charakterystyczny twór natury – wielki głaz, nazywany dawniej „Wielkim”, a obecnie „Szarym Kamieniem”.



zanie to tylko część zow elementó w gminy po dawne mapy tych okolic,

Puszczańskie, osiecznickie zagrody lokalizowano niegdyś, pamiętając nie tylko o ich gospodarczym przeznaczeniu, ale także wybierając na miejsca ich wzniesienia okolice piękne, z dostępem do zdrowej wody, połączone z pobliskimi sadybami odpowiednimi drogami. O tym, jak dawniej wyglądały, świadczą obecnie ocalone fotografie i zachowany na mapach układ ich poszczególnych obiektów. Niestety, dzisiaj pozostały już po nich tylko wątłe kopczyki porośniętych zielskim gruzów. Warto odbyć wyprawę wzdłuż brzegów Kwisy, która na terenie gminy utworzyła mnóstwo urokliwych zakątków, nie zawsze łatwo dostępnych, ale tym bardziej atrakcyjnych dla wytrwałych poszukiwaczy niepowtarzalnych widoków.

Wędrując jej zachodnią stroną w kierunku północnym, tuż za mostem w Kliczkowie dociera się do niewielkiej sadyby, złożonej z kilku skromnych domków. Przynależą one administracyjne do Osiecznicy, a nazywano je dawniej dość dziwnie – Siostrzaną Miłością. Może to sugerować, iż stanowiły one przed laty tło rozegrania się jakiejś romantycznej historii. Kolonia budyneczków powstała u podnóża skarpy doliny Kwisy, w prostej linii około pięćset metrów na zachód od kliczkowskiego zamku. Ukształtowanie terenu w pobliżu tych zabudowań i bogactwo okolicznej przyrody uczyniło z nich ciekawy i malowniczy fragmencik osiecznickiej ziemi.

Z kolei za szczególnie urokliwą wieś trzeba uznać lewobrzeżną część Ławszowej, co zresztą zostało podkreślone jej dawną nazwą – Schöndorf (Piękna Wieś). Tu także niezwykle urozmaicony teren, pocięty głębokimi jarami, strome zbocza rzecznej doliny zbiegające w kierunku Kwisy i ciekawe domy wzniesione na naturalnych tarasach tworzą niepowtarzalny klimat tej miejscowości. Wybudowanie szerokiej zapory i skierowanie za jej pomocą części wód do turbin, zainstalowanych w ceglanym budyneczku niewielkiej elektrowni nie tylko nie zubożyło walorów widokowych Ławszowej, ale wręcz je wzbogaciło. Można się o tym przekonać, patrząc na stare widokówki, które przedstawiają jaz w okresie jego świetności. Co ciekawe; nawet dzisiaj ta pogruchotana budowla hydrotechniczna emanuje nadal swoistym urokiem, chociaż smętne resztki betonowych przepustów zapewne w większości odwiedzających to miejsce ludzi budzą uczucia dalekie od podziwu.

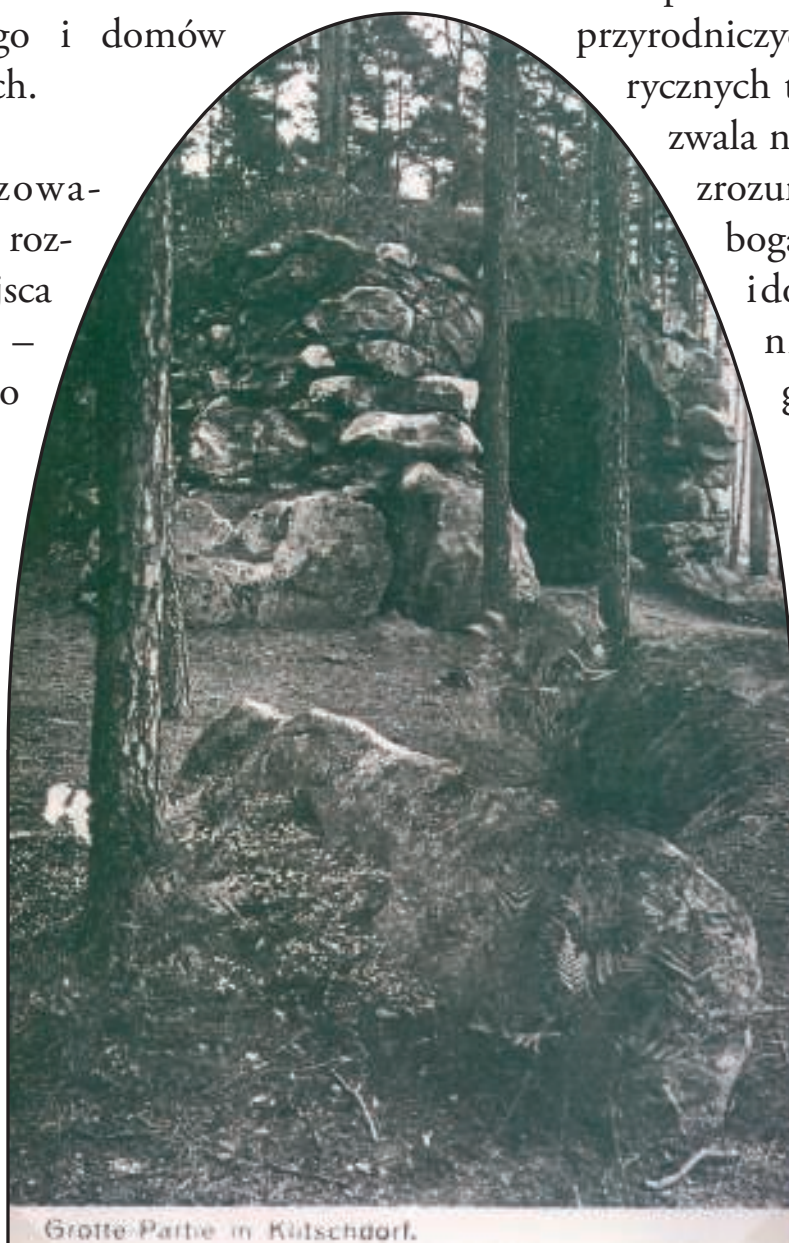
Obiektami nie tyle pięknymi, ile stanowiącymi od lat prawdziwe symbole rozpoznawcze niektórych osiecznickich miejscowości są wieże ciśnień. Najbardziej charakterystyczną tego typu budowlą jest, wspomniana wielokrotnie na kartach naszej publikacji, imponująca ogromem wieża w Świątoszowie. Większość przedwojennych pocztówek z tej osady garnizonowej z upodobaniem eksponowała jej wysoką sylwetkę, wyrastającą ponad dachami zabudowań koszarowych.

Nieco mniejsza, lecz równie wrośnięta w krajobraz innej osiecznickiej wsi – Parowej, jest betonowa konstrukcja wzniesiona na terenie dawnej wytwórni Tuppacka. I w niej pozostał zabudowany, pordzewiały, nikomu już niepotrzebny zbiornik na wodę, z którego niegdyś miała być ona doprowadzana pod odpowiednim ciśnieniem do zakładu ceramicznego i domów mieszkalnych.

Zasygnalizowane w tym rozdziale miejsca przepiękne – bądź tylko

charakterystyczne lub ciekawe – to w istocie skromna część tego, co można znaleźć na terenie Zielonej Gminy. Są nimi bowiem także opisane w innych rozdziałach świątynie, stare nekropolie z wiekowymi epitafiami, liczne enklawy nieskażonej natury, a także dziwne, nietypowe budowle, takie jak choćby **Szewska Grota**. Dopiero

osobiste poznanie walorów przyrodniczych i historycznych tej ziemi pozwala na prawdziwe zrozumienie jej bogatej historii i doświadczenie niecodziennego uroku.



Grotte Parthe in Kilschdorf.

„Grota szewska” – miejsce, gdzie według legendarnych przekazów miał pracować niechciany w Osiecznicy rzemieślnik

MIEJSCA, KTÓRYCH JUŻ NIE MA

Jadąc betonowym traktem prowadzącym z Przejęśławia w kierunku Świętoszowa, wkrótce po minięciu mostu przerzuconego nad autostradą dostrzega się urządzony po prawej stronie szosy śródleśny parking. Od jego wschodniego skraju prostopadle do osi jezdni wybiega gruntowa droga, prowadząca w głąb dorodnego lasu.

Niegdyś stanowiła ona główny ciąg komunikacyjny wsi Dohms, która w drugiej połowie XIX wieku liczyła siedemdziesiąt dwa gospodarstwa. Żyło w nich łącznie ponad pięciuset mieszkańców. Po drugiej stronie Kwisy widniały aż do zakończenia II wojny światowej zabudowania osady Herzogliche Zeisau.

Z racji bliskości linii kolejowej prowadzącej z Węglińca do Żagania Dohms mogła poszczycić się posiadaniem niewielkiej stacyjki. W pierwszych latach XX wieku fakt ten miał istotne znaczenie, wydatnie podnosząc prestiż sadyby.

Tylko niespełna dwieście metrów od granicy dzisiejszego parkingu stał dawniej kościół, wzniesiony w latach 1668–1669, otoczony cmentarzem, na którym po zakończeniu ziemskiej wędrówki grzebano mieszkańców wsi. Jeszcze nie tak dawno można było w krzewach porastających obrzeża fundamentów świątyni znaleźć liczne nagrobki z czytelnymi napisami.

Fragment starej mapy z zaznaczoną miejscowością Dohms



Między innymi leżało tam rozbite, barokowe epitafium Wacława von Knobelsdorf, zawiadującego w połowie osiemnastego stulecia majątkami zarówno wsi Dohms, jak i pobliskiej osady Lipschau.

Ludność obydwu wymienionych miejscowości nie stroniła oczywiście od uciech tego świata, więc i knajp tam nie zabrakło.

Wymienione osady zniknęły prawie całkowicie po roku 1945, pozostawiając po sobie ślady w postaci mrocznych otworów studni, fundamentów budynków i kopczyków gruzów. Ich los znacznie później dzieliły także wykradane kolejno ze zdemolowanej nekropolii epitafia. Część nich wylądowała w przydomowych ogródkach „kolekcjonerów”. Zaiste, szczególna to „dekoracja” dla współczesnych siedzib ludzkich...

Na powojennych mapach niewielki fragment lasów, rozciągających się nad Kwisą, a kryjących szczątki tych puszczańskich miejscowości, oznaczano już jako ruiny. Od czasu bowiem, gdy w pobliskim Świątoszowie rozlokowali się krasnoarmiejcy, pogruchotane mury wsi traktowano jako fragment otuliny sowieckiego poligonu. Dostęp do tych porośniętych chaszczami pagórków pokruszonych cegieł i kamieni był, delikatnie rzecz nazywając, mocno ograniczony, a mapy zajętego przez „bratnią armię” terenu nosiły nadruk „tajne”...

Dzisiaj wędrowaniu po uślanym grubą warstwą zmiażdżonych dachówek terenie dawnej Dohms towarzyszy specyficzny klimat przemijania, wyzierający spod połaci zniszczonych, zamaskowanych pokrzywami resztek domów mieszkalnych, szop i stodół. Dzięki nim ciągle jeszcze można zlokalizować niektóre miejsca, gdzie niegdyś funkcjonowały zapomniane gospodarstwa chłopskie – chociaż chyba niewiele osób potrafi na podstawie zachowanych szczątków tej zniszczonej sadyby wyobrazić sobie jej dawny widok.

Główną drogę, prowadzącą przez centrum Dohms do osady Lipschau w latach trzydziestych dwudziestego wieku przecięła autostrada Wrocław-Berlin. Jej budowniczowie nie zapomnieli o utworzeniu istniejącego do chwili obecnej, specjalnego tunelu, przebiegającego

pod ruchliwą jezdnią. Zapewniał on bezpieczną, bezkolizyjną komunikację pomiędzy „koloniami” wiejskiego kompleksu.

Dzisiaj szlak ten nie ma już znaczenia, ponieważ w Luboszowie – dawnym Lipschau – żyje jedna rodzina, znana przede wszystkim z hodowli pszczół, do czego zresztą ma tam doskonałe warunki.

Wśród pozostałości zabudowań Dohms walają się skorupy z porzbijanych naczyń, żelastwo i szkło z uszkodzonych butelek. Co jakiś czas przedmioty te spod warstwy ściółki wygrzebują zwierzęta leśne i poszukiwacze staroci, liczący zapewne na jakieś epokowe odkrycia. Należy jednak pamiętać, że zdarzało się Rosjanom traktować ruiny jako wygodne wysypisko wywożonych z koszar stert zużytych butów wojskowych i innego śmiecia. W ostatnim czasie jakiś poszukiwacz wydobył z ziemi ciekawą, nadbitą butelkę, ozdobioną wypukłym tekstem. Dolna część „inskrypcji” informuje, że produkt jest prawnie chroniony i pochodzi z Sagan-Sprottau, czyli Żagania-Szprotawy. Górna część napisu jest najciekawsza – dotyczy pro-

ducenta „flaszek” i zapewne niegdyś także wytwórcy jej zawartości. Był nim L. Gonczewicz. Łatwo sobie wyobrazić, jakie problemy z wypowiedzeniem tego nazwiska mieli Niemcy. Czy ten szklany okruch pochodził z jakiejś firmy naszego rodaka, Polaka, który tu żył i pracował przed wojną? To tylko domniemanie – ale któż inny mógłby nosić takie nazwisko?

Na przylegających do Kwisy płaskich, podmokłych tarasach blisko dawnej Dohms rosną wielkie buki, świerki i sosny. Zlokalizowana opodal nich imponująca wielkością grobla zapomnianego stawu rybnego, przeobrażonego w porośnięte tatarakiem trzęsawisko, dźwiga prawdziwe leśne olbrzymy – wielkie rozłożyste dęby. U ich podnóża gliniasta gleba przez lata przechowywała łuski amunicji mauzera. Zapewne stanowiły one pozostałość po ostatniej wojnie, co potwierdzał rok ich produkcji, wybity na denku.

Mniej więcej trzy kilometry na północ, z lekkim odchyleniem na zachód od centrum Parowej, funkcjonuje dzisiaj kilkanaście rozrzuconych z dala od siebie zabudowań, noszących nazwę Poświętne.

Tak wygląda obecnie pozostałość po znacznie większej wsi, istniejącej do ostatnich dni II wojny światowej na rzece Czarną Wielką. Bowiem agonía dawnej Heiligensee rozpoczęła się 14 lutego 1945 roku, gdy miejscowość ta przeżyła chwile grozy.

W trakcie jej zajmowania przez Sowietów w tym dniu doszło do przerażających scen. Wkraczający żołnierze brali na niewinnych, bezbronnych ludziach odwet za okrucieństwa Niemców popełniane wcześniej w ich ojczyźnie. Niestety, ofiarami gwałtów i mordów padli głównie starsi, bądź zupełnie młodzi cywilni mieszkańcy wsi. Zastrzelono pięćdziesięciosiedmioletniego Juliusa Gesserna, starszego od niego o rok Oskara Jakischa, także Emila Hirscha i jego sześćdziesięcioletnią żonę, w wyniku zbiorowego gwałtu zamęczono Charlotte Schubert i jej siedmioletnią córeczkę Roswithę. Poza wymienionymi z nazwiska zakatowano wtedy jeszcze wielu innych mieszkańców Poświętnego. Po wojnie cegłę z rozbieranych domostw tej opustoszałej wsi wysyłano do odbudowy kraju.



KLICKOWSKI SZKICOWNIK

Szczególnym zbiegiem okoliczności, w czasie gromadzenia przez Mariusza Olczaka i jednego ze współautorów *Dziejów Zielonej Gminy* materiałów do opracowywanego *Przewodnika historycznego Osiecznicy i okolic*, wydane w 1999 roku, do gminnej biblioteki przywieziono jako cenny dar aż ze Szwajcarii ciekawy zbiór rycin. Stanowi go niewielki brulion rysunkowy, nazywany dalej umownie szkicownikiem, który powstał niemal półtora wieku temu.

Ważny jest on przede wszystkim dla klickowskiego zamku, ale niewątpliwie ma także duże znaczenie dla całej wsi, w pewien sposób dokumentując jej przeszłość.



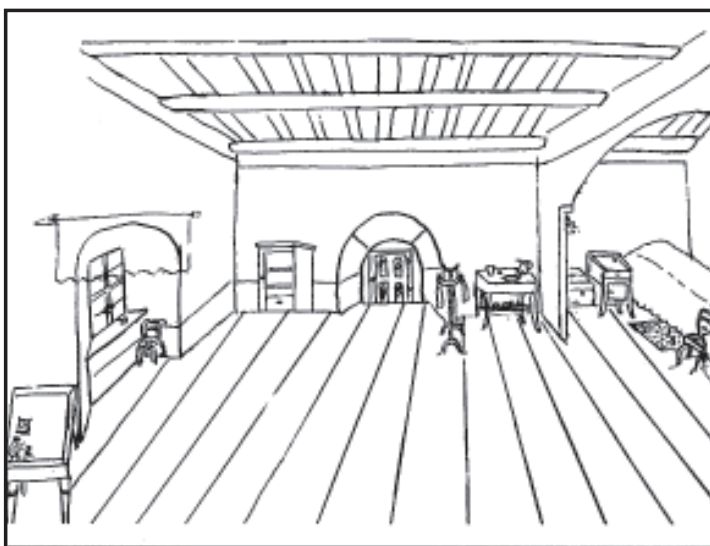
Wewnętrzny dziedziniec zamkowy



Widok na kolonię „Siostrzana Miłość”



Pokój w zamku



Pokój sypialny



Most Jenny



Diabli wodospad i zamek osiecznicki

Jego powrót do miejsca „narodzin” z Zurychu, gdzie na jednym z jarmarków został zakupiony przez Panią Regulę Spinner za kwotę dwóch franków, sam w sobie stanowi historię ciekawą.

Nabywczyni owej pamiątki – z zawodu psycholog – zadała sobie godny dociekliwego badacza przeszłości trud, by ustalić, z jakiej części Europy pochodziły zawarte w zeszycie rysunki.

Udało się jej to znakomicie. Szkicownik nabyła w roku 1962, ale dopiero po trzydziestu dwóch latach przywiozła go do Osiecznicy, pragnąc przekazać ludziom, którzy dzięki niemu mogli pełniej poznać przeszłość tej ziemi.

Ustalenie dat rozpoczęcia tworzenia zamieszczonej w szkicowniku kolekcji i powstawania kolejnych rysunków jest ułatwione dzięki temu, że znaczną ich część opatrzone dniem, miesiącem i rokiem wykonania. Powstały one w październiku i listopadzie 1857 roku, a także pomiędzy kwietniem i lipcem roku 1859. Kilka rysunków pochodzi z kwietnia i czerwca 1860 roku oraz z maja 1861 roku.

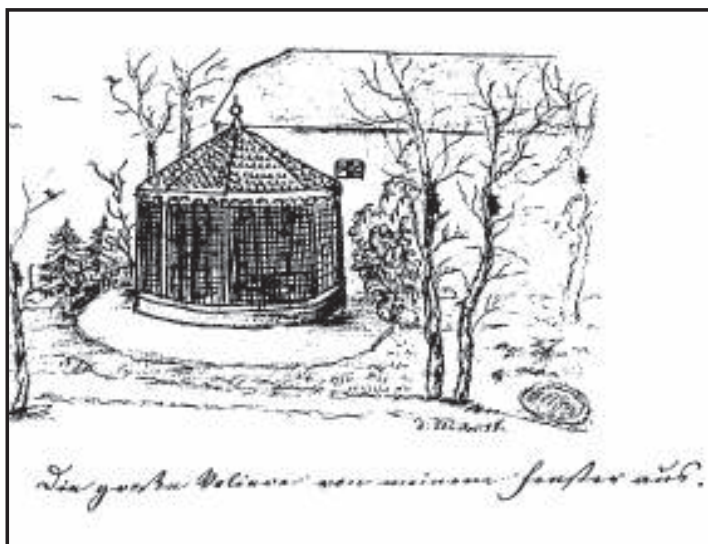
Album składa się z prac kilku autorów. Różnią się one od siebie w sposób dość wyraźny. Jeden rysunek wykonała sama hrabina, Maria zu Solms-Teklenburg z domu von Raven – i w zasadzie można go uznać za ćwiczenie prawidłowego oddania perspektywy na przykładzie alei obramowanej drzewami.



Dom Spannenberga - budynek istniejący do dzisiaj



Szewska Grota



Ptaszarnia



Most zamkowy



Gajówka Marienhaus



*Świątynia przyjaźni- parkowy obiekt,
obecnie nieistniejący*

Dwa szkice innych drzew wykonał ktoś podpisany jako G. Hammer. Z kolei obrazek wklejony do zeszytu to dzieło hrabianki von Renard.

Bodaj najwięcej prac wykonała młodziutka hrabianka Jenny zu Solms-Teklenburg, jedyne dziecko Jana Krystiana Henryka Hermanna hrabiego zu Solms-Teklenburg i Marii z domu von Raven. Sama Jenny, chorowita i melancholijna dziewczynka, o dziwnym dla widujących ją często mieszkańców wsi zachowaniu, zmarła 29 marca 1874 roku. Był to straszny cios dla jej rodziców, o czym szerzej piszemy w innym miejscu.

Szkicownik pod względem artystycznym nie jest wielką rewelacją, natomiast stanowi bardzo ważne źródło, pozwalające częściowo poznać prawdziwy wygląd pewnych

obiektów dawnej Osiecznicy i Kliczkowa. Większość składających się na cały brulion rysunków przedstawia sam zamek i jego bezpośredniego otoczenie – ogród, staw, wille przy głównej budowli.

Łącznie są to siedemdziesiąt cztery szkice. Wśród nich także rysunki wybranych leśniczówek, Szewskiej Groty, form piaskowcowych skał nad Kwisą, zamku w Osiecznicy czy mostu.

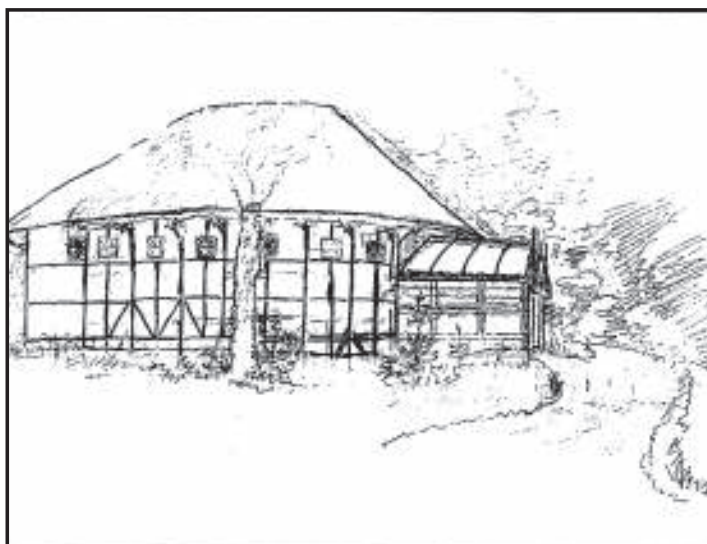
W niniejszej publikacji prezentujemy jedynie kilkanaście prac, przedstawiających zarówno kliczkowski zamek, jak i ciekawsze – naszym zdaniem – fragmenty wsi i jej okolic.



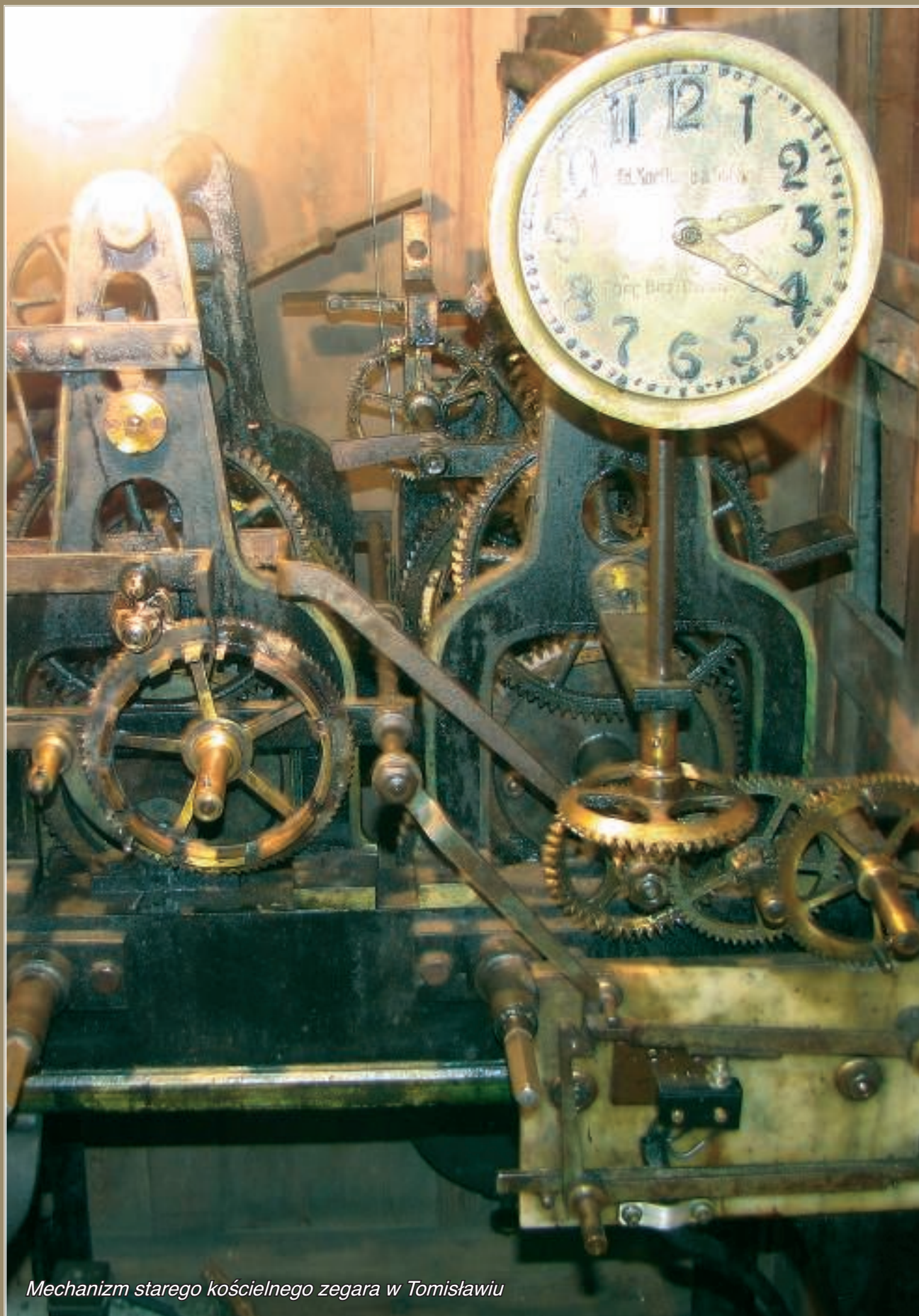
Brama zamkowa



Tomisław



Kryta ujeżdżalnia



Mechanizm starego kościelnego zegara w Tomisławiu

OD AUTORÓW

Oddawane do rąk Państwa Dzieje Zielonej Gminy oparte zostały na wcześniejszym przewodniku Mariusza Olczaka i Zdzisława Abramowicza. Publikacja ta nie jest zbiorem informacji ściśle naukowych. Staraliśmy się bowiem z jednej strony zachować w niej poprawność historyczną, ale też w przystępny, swobodny sposób przekazać wszystko to, co w odległej, a także nieco bliższej przeszłości nosiło znamiona ciekawostek, legend, wydarzeń dramatycznych, czasem tajemniczych – a przez to rozbudzających wyobraźnię i potrzebę osobistego odwiedzenia miejsc ich zaistnienia. Chcieliśmy pokazać, jak czas zmieniał te miejsca, jak często piękno tych ziem ginęło bezpowrotnie w historycznych zawieruchach. Na kartach niniejszego opracowania Czytelnik znajdzie również ogólne opisy zabytków, interesujących budowli i urokliwych zakątków przedstawionych tak, jak sami je postrzegamy. Uzupełnieniem tekstu są zamieszczone fotografie i ryciny. Wspominamy też o miejscach, które ocalały jedynie w przekazach, dokumentach i na starych fotografiach. Zdecydowaliśmy się pominąć w tym wydaniu część informacji o charakterze czysto kronikarskim, których nadmiar mógłby utrudnić czytelnikowi odbiór treści. Nie znaczy to, iż lekceważymy potrzebę rzetelnego, historycznego odniesienia się do minionych dziejów. Ci z Państwa, którzy zechcą wzbogacić swoją wiedzę o bardziej szczegółowe dane dotyczące przeszłości ziemi osiecznickiej, z pewnością sięgną po bogatą literaturę, wskazaną w bibliografii. Nie ma już dworu w Osiecznicy, niektórych domów, a nawet całych wsi, pozostała zawsze piękna przyroda, wiele cennych zabytków, przepięknie odrestaurowany zamek w Kliczkowie. Czas zmienia tę ziemię, lecz wojenne rany, gmina rozwija się i pięknieje. Pragniemy podkreślić, że bez wielkiego wysiłku, włożonego przez naszego przyjaciela, historyka Mariusza Olczaka, w zgromadzenie materiałów źródłowych do Przewodnika Historycznego, ta skromna publikacja nie mogłaby powstać. Celem naszej pracy jest zachęcenie Państwa do osobistego odwiedzenia Osiecznicy, poznania jej niepowtarzalnych walorów. Jeśli tak się stanie – sprawi to nam wielką radość i będzie najlepszą nagrodą za trud opracowania Dziejów...

Joanna Sawicka, Zdzisław Abramowicz

Autorzy serdecznie dziękują za udostępnienie materiałów ikonograficznych:

Pani Krystynie Horyń

Wójtowi Gminy Osiecznica – Panu Waldemarowi Nalazkowi

Dyrektorowi Zamku Kliczków – Panu Adamowi Różyckiemu

Panu Jarosławowi Giszterowi

Panu Jarosławowi Leszczyńskiemu

Panu Stanisławowi Soroce

Panu Bogusławowi Wołakowi

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE

- Abram W., *Ławszowa nad Kwisą*, Osiecznica 2008;
- Beck E., *Der Kreis Bunzlau*, Bunzlau 1864;
- Bena W., *Dzieje puszczy zgorzelecko-osiecznickiej*, Zgorzelec 1999;
- Bena W., Paczos A., *Z biegiem Kwisy – przyroda i człowiek*, Lubań 2009;
- Bergemann J. Ch., *Chronik der Stadt Bunzlau*, Bunzlau 1829–1931;
- Bolesławiec – zarys monografii miasta*, praca zbiorowa pod redakcją T. Bugaja i K. Matwijowskiego, Wrocław – Bolesławiec, 2001;
- Chłopek W., *Świętoszów wczoraj i dziś*, Żary 2004;
- Chorowska M., Dudziak T., Jaworski K., Kwaśniewski A., *Zamki i dwory obronne w Sudetach*, tom II: Księstwo Jaworskie, Wrocław 2009;
- Demidziuk K., *Archiwalia do archeologii ziemi bolesławieckiej*, Bolesławiec – Wrocław 2007;
- Dewitz E., *Geschichte der Kreises Bunzlau*, Bunzlau 1885;
- Gmina Osiecznica*, Osiecznica 2004;
- Heude K., Gocke A., *Heimatbuch des Kreises Bunzlau*, Bunzlau 1925;
- Horyń J., *Historia obozów jenieckich w Świętoszowie*, Świętoszów 2004;
- Ledwoch J., *Waffen SS*, Warszawa 1994;
- Mielnik E., *Dzieje miasta Bolesławca w latach 1945–1948*, maszynopis pracy magisterskiej, Wydział Historyczny UAM, Poznań 1998;

Mizia S., *Historia Śląska, popularny zarys dziejów*, Wrocław 1997;

Mulek B., *Osiecznica. Historia gminy*, „Głos Bolesławca” II 1996, s.5; III 1996, s.5; IV 1996, s.4; IX 1996, s. 6;

Olczak M., *Kampania 1813*, Warszawa 2004;

Olczak M., Abramowicz Z., *Osiecznica i okolice*, Warszawa 1999;

Olczak M., Abramowicz Z., *Przewodnik historyczny po gminie Bolesławiec*, Bolesławiec 1998;

Olczak M., Abramowicz Z., *Dzieje Nowogrodźca i okolic*, Warszawa 2000;

Olczak M., Abramowicz Z., *Gromadka. Przewodnik historyczny*, Warszawa 2003;

Olczak M., Abramowicz Z., *Węgliniec i okolice*, maszynopis autora;

Primke R., Szczerepa M., Szczerepa W., *Wojna w dolinie Bobru. Śląsko-łużyckie bitwy i kampanie*, Jelenia Góra 2009;

Raesfeld. S. von, *Das Rotmild*, Berlin 1899;

Raport o stanie środowiska w województwie jeleniogórskim w 1994 roku, Jelenia Góra 1995;

Starzewska M., Jeżewska M., *Śląska porcelana*, Wrocław 1987;

Wilczyński A., *Lubań 1945. Ostatnie zwycięstwo III Rzeszy*, Warszawa 2006;

Williamson G., *SS – Gwardia Adolfa Hitlera*, przeł. L. Erenfeicht i H. J. Kuberski, Warszawa 1994;

Gmina Osiecznica

NAZWY WSI

Nazwa polska	Dawna nazwa niemiecka
Bronowiec	Schnellenfurt
Kliczków	Klitschdorf
Ławszowa	Lorenzdorf
Dawna część Ławszowej	Schöndorf
Nowoszów (przy autostradzie)	Lipschau
Ołobok	Mühlbock
Osiecznica	Wehrau
Osieczów	Aschitzau
Parowa	Tiefenfurt
Poświętne	Heiligensee
Przejęsław	Prinzdorf
Świątoszów	Neuhammer a. Queis
Tomisław	Thommendorf

SPIS TREŚCI

Przedmowa Wójta Gminy Osiecznica.....	4
Od Wehrau do Osiecznicy	6
Miejsce na mapie Europy	13
Osiecznickie lasy – łowiecki Eden	51
Miejsca ściśle tajne.....	73
Nie tylko puszcza.....	107
Osiecznickie legendy i dramaty.....	147
Miejsca kultu.....	171
Ludzie niezwykli.....	192
Historia z wodą w tle.....	199
Miejsca przepiękne.....	213
Miejsca, których już nie ma.....	225
Kliczkowski szkicownik.....	229
Posłowie autorów.....	235
Wskazówki bibliograficzne.....	236
Słowniczek nazw.....	238



ISBN 978-83-922106-1-0

WYDAWNICTWO:
USŁUGI POLIGRAFICZNE BARTOSZ ŁAPIŃSKI,
ul. PACA 3/6, 16-400 SUWAŁKI
TEL: 0606 104 124
Druk: ENERGOPOL-TRADE-POLIGRAFIA



OSIECZNICA DZIEJE ZIELONEJ GMINY

OSIECZNICA



DZIEJE ZIELONEJ GMINY

ISBN 978-83-922106-1-0



9

788392210610